

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/634-8/635 2000



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

A. KORASZEWSKI: **CZY POLACY SIĘ LUBIĄ?**

M. STROŃSKA: **TŁUMOKRACJA**

A. WISZNIEWSKI:

O PROBLEMACH NAUKI W POLSCE

Wł. PAWLUCZUK:

BIAŁORUŚ A SPRAWA POLSKA

A. BIERŃACKI: **ROTMISTRZ ZAWODZIŃSKI**

SPIS RZECZY

Andrzej Koraszewski:	<i>Czy Polacy się lubią?</i>	3
Anna Strońska	<i>Thumokracja</i>	12
Mariusz Wilk:	<i>Karelska tropa (II)</i>	20
Stanisław Ficowski:	<i>Polska: wczoraj, dziś i jutro</i>	34
WIERSZE		
Remigiusz Grzela:	<i>Idziesz...; Dwoje na ławeczce</i>	47
Wojciech Kawiński:	<i>Duchy na jawie; Wersy bez tytułu</i> ..	48
Halszka Olsińska:	<i>***</i>	49
Mira Kuś:	<i>Wierzba; Lilie rosną wysoko;</i>	50
WYWIADY „KULTURY”		
Henryk Ratajczak:	<i>O problemach nauki w Polsce. Rozmowa z ministrem Andrzejem Wiszniewskim</i>	52
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Co nam grozi od SLD</i>	67
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	75
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	94
SĄSIEDZI		
Włodzimierz Pawluczuk:	<i>Białoruś a sprawa polska</i>	106
Bohdan Osadczyk:	<i>Między Nowym Jorkiem a Kijowem</i> ..	117
Andrzej Stach:	<i>Niemieckie dziedzictwo kulturowe w Polsce</i>	127
CI, CO ODESZLI		
Tadeusz Drewnowski:	<i>Parę refleksji na pożegnanie</i>	130
Czesław Miłosz:	<i>Filozof odchodzi</i>	135
Richard Pipes:	<i>Adam Ulam</i>	141
Kamila Chylińska:	<i>Szymon Jakubowicz</i>	144
NOTATKI REDAKTORA		
SPRAWY I TROSKI		
—	<i>Cenne informacje dla ekspertów</i> ..	149
KRONIKA KULTURALNA		
Andrzej Biernacki:	<i>Rotmistrz Zawodziński</i>	151
Tadeusz Chrzanowski:	<i>Pochwała pracowitości i umiłowania</i>	164
Leszek Szaruga:	<i>Między wierszami (2)</i>	170
Mieczysław Pruszyński:	<i>Nagrody prywatnego mecenatu</i>	175
Dariusz Długosz:	<i>Rękopisy z Qumran</i>	184
Bolesław Taborski:	<i>Jubileuszowy Kontakt 2000</i>	188

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 224

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień/Juillet-Août 2000

INSTYTUT  LITERACKI

określenie tego zjawiska jest w pewnym sensie nieprecyzyjne, jednak w angielskim brakuje mu słowa, które by wyrażało dążeń...
 dawłoby wyświadczenie. Zapewne element z nazwą i
 jej definicja skłania go do napisania krótkiego rozdziału na
 temat społeczeństwa włoskiego, które jego zdaniem jest jako
 wyjątkiem, przekładem, w tym: Andrey, jeżeli chodzi o
 Rzymie i ten ogólny wykład dla Włoch i dla mieszkańców
 tego kraju. Zawsze miał o Włochach przydomkiem
 słów: Bapolo (Cawo) i w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie
 Włochy i ten wykład, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie
 duxa, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie

Czy Polacy się lubią?

Od dawna dręczyło mnie pytanie, czy Polacy się lubią i
 kusił mnie próba uporządkowania własnych myśli na ten te-
 mat. Do postawienia tego pytania kilka lat temu sprowoko-
 wał mnie amerykański przyrodnik Robert Ardrey.

Podobnie jak wielu innych irytowałem się na wieczną
 agresję w polskim społeczeństwie. Emigracja wyostrzyła tę
 irytację, bo już nie tylko drażniła mnie agresja innych, ale i
 obserwacja, że przemieszczając się ze Szwecji czy z Anglii do
 Polski, stawałem się innym człowiekiem, zdolnym do nagłego
 podniesienia głosu, do głośnego wyrażania uzasadnionej, czy
 irracjonalnej złości, marudzącym na wszystko i na wszystkich.
 Teraz, po powrocie na stałe do Polski, mając kontakt z
 młodzieżą w gimnazjum, widzę jak wcześnie u młodych ludzi
 ujawnia się jakaś absurdalna mizantropia. Wszelkie zło jest
 pochopniej generalizowane niż dobro, ba, ci młodzi ludzie
 wydają się cierpieć na jakiś rodzaj ślepoty – nie dostrzegają
 przykładów dobra i uczciwości, w koncentracji na tym co złe,
 gubią również fascynację tym, co ciekawe.

Szczyt popularności Roberta Ardreya przypadał na lata
 sześćdziesiąte. Ukazało się wówczas kilka jego książek poświę-
 conych obserwacji zachowań społecznych różnych gatunków
 zwierząt. W „The Territorial Imperative” w pewnym momen-
 cie używa terminu *noyau*. Zapożyczył go od swojego fran-
 cuskiego kolegi, który wprowadził go dla określenia społecz-
 ności, w której jedyną liczącą się więzią jest więź rodzinna i
 którą cechuje silny wewnętrzny antagonizm. Ardrey jest tro-
 chę zażenowany. W amerykańskim czy angielskim społeczeń-
 stwie agresji nie brakuje, użycie francuskiego terminu na

KULTURA

Złote • Opowiadania • Sprawozdania

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

M. Cyrta, Sydney (Australia) – po raz 2-gi – dol. 50,00	F. 320,00
C.P. Czuchwicki, Panorama (Australia) – po raz 26-ty	F. 200,00
Henryk Ratajczak, Paryż, po raz 14-ty	F. 500,00
Tadeusz Wyrwa, Paryż – W 30-tą rocznicę śmierci śp. Ojca, Jó- zefa Wyrwy (ps. „Furgalski”, „Stary”), jednego z najbliż- szych współpracowników „Hubala”, później dowódcy sa- modzielnego oddziału partyzanckiego i następnie dowódcy 2-go Batalionu 25-go pułku AK	F. 500,00

DZIĘKUJEMY

Włodzisław Pasiecznik: Naturali i sprawa polska
 Bohdan Osiński: Młody człowiek z Krakowa
 Andrzej Stach: Niemieckie dramatyczne kulisy
 Polska

CIĘ DO ODEŚLI

Tadeusz Drewnowski: Paryż refleksji na powrocie
 Czesław Miłosz: Filozofia i polityka
 Richard Pipes: Władza i demokracja
 Katarzyna Chylińska: Władza i demokracja

WYKAZ RECYKLORA

SPRAWY I TEATR
 Cenne informacje dla czytelników

KRONIKA KULTURALNA

Andrzej Biernacki	Wspomnienie	102
Tadeusz Chrząstowski	Nachwała parafrazystyki i unifikacji	104
Leszek Szaruga	Mistrz wojennych (2)	179
Mieczysław Proszowski	Nagrody i wyróżnienia	171
Dariusz Długosz	Wspomnienie	181
Bolesław	Wspomnienie	181

określenie tego zjawiska jest w pewnym sensie niesmaczne. A jednak w angielskim brakuje mu słowa, które natychmiast dawałoby właściwe skojarzenia. Zapewne dylemat z nazwą i jej definicją skłania go do napisania krótkiego rozdziału na temat społeczeństwa włoskiego, które jego zdaniem jest laboratoryjnym przykładem *noyau*. Ardrey spędził kilka lat w Rzymie i ma ogromną sympatię dla Włoch i dla mieszkańców tego kraju. Zaczyna rozdział o Włochach przypomnieniem słów Benso Cavoura, który miał powiedzieć: „stworzyliśmy Włochy, a teraz musimy stworzyć Włochów”. Zdaniem Ardreya to drugie zadanie okazało się niewykonalne. Włosi są narodem tylko z nazwy, ich prawdziwa lojalność pozostaje na poziomie rodziny.

Moja znajomość Włoch ogranicza się do kilku urlopów spędzonych w tym kraju i do mało systematycznych lektur. Czy ściśnięte na kilku stronicach uwagi amerykańskiego przyrodnika można traktować poważnie? Chyba tak, wielu innych wydaje się potwierdzać jego obserwacje. Ardrey pisze, że lojalność Włochów ogranicza się do rodziny, że w gruncie rzeczy, mimo całej swojej otwartości, są dość samotni, nieskłonni do przyjaźni, że w porównaniu z innymi, patriotyzm nie jest dla nich szczególnie ważny. W słonecznej Italii częściej spotkać można geniusza niż bohatera, dla Włocha każda okazja jest dobra, żeby wyrazić nieufność i złość wobec innego Włocha. Włoch – pisze Ardrey – może nie cierpieć swojej rodziny, ale jest na nią skazany, grupy wykraczające poza rodzinę są jej odbiciem i przedłużeniem, co znajduje swój wyraz we wszechobecnym nepotyzmie. Ardrey sądzi, że to włoskie *noyau* nie zmieniło się od czasów rzymskich, z czego mogłoby wynikać, że są na ten typ stosunków społecznych skazani, nic się nie da zmienić.

Czy są tu jakieś analogie do naszej polskiej rzeczywistości? Dzisiejsza socjologia straciła zainteresowanie dla problematyki więzi społecznej, ale jeszcze w latach sześćdziesiątych i później w licznych badaniach znajdowano, że Polacy deklarują bardzo silne więzy rodzinne i dość abstrakcyjnie pojmowany patriotyzm. Natomiast to, co nazywamy więzią lokalną, zawodową, religijną czy przyjacielską, było w życiu Polaków mało istotne. W owych czasach interpretacja wyników tych badań narzucała się sama – winny jest komunizm z jego

świadomym i systematycznym niszczeniem wszelkich spontanicznych więzi społecznych. Zdawać by się mogło, że upadek komunizmu zaowocuje błyskawiczną odbudową więzi lokalnych oraz więzi opartych na wspólnocie zawodowej czy na wspólnych zainteresowaniach. Sądząc po liczbie zarejestrowanych w ostatnich latach partii politycznych oraz wszelkiego rodzaju stowarzyszeń, tak się właśnie stało. Nie trzeba jednak badań socjologicznych, żeby stwierdzić, że ten proces odbudowy więzi społecznych jest bardzo wątpliwy. Stosunki społeczne w Polsce wydaje się dominować wzajemna nieufność i wewnętrzny antagonizm, znacznie silniejszy niż w większości społeczeństw zachodnich. Oczywiście trudno byłoby tę obserwację potwierdzić wiarygodnymi badaniami, z tej prostej przyczyny, że teorie socjologiczne nie dają się falsyfikować, ale nawet codzienne obserwacje nie pozostawiają tu wielu wątpliwości. Lektura niezliczonych artykułów na temat tego, co popularnie nazywa się chamstwem, również.

Porównując prezentowany przez Ardreya opis społeczeństwa włoskiego z własnymi odczuciami na temat społeczeństwa polskiego widzimy, że polskie *noyau* wydało zdecydowanie mniej uznanych w świecie geniuszy, za to herosów mamy tylu, iż w naszym, dość słabo zurbanizowanym kraju brakuje nam ulic dla ich uczczenia. Na ile ta różnica jest istotna? Trudno powiedzieć. Ze względu na nikłe poparcie społeczne i słabe przygotowanie logistyczne, nasi bohaterowie to z reguły bohaterowie tragiczni, a ich tragedia może być również po części interpretowana jako konsekwencja owych słabych więzi społecznych.

Stosunkowo najczęściej zauważa się podobieństwo polskiej i włoskiej sceny politycznej. Rozproszenie partii politycznych, ciągłe polityczne swary, ustawiczne rozpadanie się rządowych koalicji, nepotyzm i skorumpowanie polityków. I tu i tam obserwujemy toczące się przez dekady boje o ustanowienie ordynacji wyborczej kładącej kres ciągłemu kleceniowi gabinetów rządowych z wielopiętrowych koalicji, a tym samym zdominowaniu sceny politycznej przez targa o stołki. Podejrzewam, że ten charakter sceny politycznej jest również efektem słabych więzi społecznych. Zatomizowane społeczeństwo z jednej strony często oczekuje od władzy rzeczy niemożliwych, z drugiej strony, ta władza nie ma żadnego auto-

rytetu; każdy jest przekonany, że najlepiej skrzyknąć sobie swoją własną partijkę i przemawiać w imieniu wszystkich Polaków. Między politykiem a wyborcą nie ma żadnego partnerstwa, widać to szczególnie wyraźnie na szczeblu samorządowym. Mieszkańcy gmin nie tylko nie są, ale i nie bardzo chcą być partnerami samorządu. Jest to zapewne spowodowane tym, że obywatel z reguły występuje wobec władzy jako indywidualna jednostka. I tu natychmiast wyłania się pytanie: dlaczego Amerykanie, Anglicy, Szwedzi czy Niemcy potrafią znacznie sprawniej organizować się w grupy niż Polacy? Nie ma nic nudniejszego niż „nocne Polaków rozmowy”, zmienia się czasem przedmiot utyskiwań, ale nie ton. Łączy nas wspólnota niezadowolenia ze wszystkiego i brak fascynacji czymkolwiek. Wszelkie działania pozytywne pozostawiamy władzom i jesteśmy z góry przekonani, że sobie z nimi nie poradzą. Najbardziej przeraża udzielanie się tych postaw młodemu pokoleniu, które z natury rzeczy powinno być skłonne do łatwego zawierania przyjaźni, tworzenia grup wspólnych zainteresowań, do występowania z inicjatywami i do prób ich realizacji własnymi siłami. Nasza kultura formalna przygotowuje jednak młode umysły do życia u cioci na imieninach, a kultura nieformalna do pokazywania języka za plecami.

Ardrey pisze, że o ile agresja między Włochami jest czymś stałe obecnym, to świadkiem konfliktów z rękoczynami był znacznie częściej w Stanach Zjednoczonych. Fascynuje go społeczność zdominowana przez wzajemną wrogość, samotność, niezdolność do współdziałania. Ardrey jest przyrodnikiem, charakterystyka *noyau* była mu potrzebna dla opisu zbiorowych zachowań różnych gatunków zwierząt. Dla nas istotna jest hipoteza, że więzi społeczne są w polskim społeczeństwie słabsze niż w wielu społeczeństwach zachodnich i że stanowi to utrudnienie w budowaniu sprawnych, demokratycznych struktur.

Samo pojęcie więzi społecznej było centralne dla socjologii minionego stulecia. Część socjologów ubolewała z powodu ich osłabienia przez urbanizację i wzrost ruchliwości społecznej, inni poświęcali swoje badania procesom alienacji i zagubienia jednostki w nowoczesnym świecie, bardzo wiele było jednak badań nad równoległym uczestnictwem jednostki w wielu grupach zarówno formalnych jak i nieformalnych.

W końcu, wydaje się, że socjologowie stracili serce do tej całej problematyki.

Demokratyczne społeczeństwo wspiera realizację istotnych dla jednostki celów za pośrednictwem dobrowolnych zrzeszeń. To, co ludzi łączy w tego typu zrzeszeniach, to więc wspólnego celu i przekonanie, że wszyscy uczestnicy tego rodzaju grupy coś zyskują. Tymczasem, jeśli lojalność uczestników grupy jest kwestionowana lub jeśli istnieją widoczne oznaki, że jej nie ma, działanie tego rodzaju dobrowolnego związku zaczyna być dominowane wzajemną podejrzliwością, która prowadzi do inercji, działań pozorowanych, gier polegających na wzajemnym przechytrzeniu się i do ustawicznych prób realizacji partykularnych celów poszczególnych jednostek, kosztem innych uczestników grupy. Trudno sobie wyobrazić demokrację w państwie bez demokracji w gminie. Trudno sobie wyobrazić demokrację w gminie bez odbudowy więzi lokalnej opartej na dobrowolnych stowarzyszeniach. Tu jednak nie widać żadnego ożywienia. Tradycyjne stowarzyszenia typu parafia, klub sportowy, ochotnicza straż pożarna, spółdzielnia, czy lokalny oddział partii politycznej, wydają się tkwić w tradycji, w której nie widać poważniejszych zmian. Czytane z kartek przemówienia, sztywna pompa, festyn i śpiewane ochryplymi głosami „sto lat”. Patriarchalny model organizacji, hierarchiczne struktury, brak spontaniczności, lęk przed publicznym występem, bardzo mało innych form wspólnoty niż zakrapiana alkoholem biesiada. Z tego punktu widzenia „Pomarańczowa Alternatywa” była w tej naszej tradycji niezwykle doświadczeniem. Mogło się zdawać, że jej korzenie tkwią gdzieś za czeską granicą. Tworzyła wspólnotę łączącą sprawy najpoważniejsze z żartem. „Pomarańczowa Alternatywa” wygasła jednak wraz z upadkiem komunizmu i nawet Major nie był w stanie zapewnić jej kontynuacji w warunkach wolności.

Część Polaków tęskni dziś nie tyle za komunizmem, co za więzią społeczną jaką rodził opór wobec tego systemu. Kombatanckie wspominki są z tego punktu widzenia niesłychanie interesujące, wydają się wskazywać na to, że był to okres zawieszenia wszechobecnej tradycji nieufności, pod wieloma względami przypominają „nostalgię” starszego pokolenia za okresem wojny. Pamiętam z czasów studenckich długą

dyskusję na temat pojęcia *morale*, uczucia mówiącego o gotowości daleko idących poświęceń ze strony jednostki na rzecz wspólnych celów grupy lub w obronie innych uczestników grupy. W nadzwyczajnych warunkach to uczucie prowadzi do gotowości ryzykowania własnego życia. W warunkach wojennych jest ono „naturalne” we wszystkich ludzkich społeczeństwach, ale – jak pisze Ardrey – u Włochów to *morale* zarówno podczas pierwszej wojny światowej, jak i podczas drugiej wojny światowej, było bardzo niskie. W polskim społeczeństwie obserwujemy zupełnie inny fenomen – niesłychanie wysokie morale w warunkach najwyższego zagrożenia państwa i niezwykle wręcz niskie morale w warunkach pokojowych. Szpital, straż pożarna, policja, wszystkie organizacje, w których często toczy się walka o ludzkie życie, tam gdzie od kooperacji zależy własne bezpieczeństwo, tam z natury rzeczy jest wyższe morale i tam wytwarzają się znacznie silniejsze więzi między ludźmi. (Jest to jeden z głównych powodów popularności serii telewizyjnych pokazujących działanie tego typu instytucji i pracujących w nich zespołów.) Nie u nas. Odnosi się wrażenie, że wzajemna nieufność i konkurencja jest u nas dominująca nawet w tych zespołach, które funkcjonują w warunkach wysokiego stresu i wzajemnej zależności. Dopiero kiedy ciśnienie gwałtownie się zmienia, polskie zespoły zmieniają nagle styl funkcjonowania. Niejednokrotnie obserwowałem wspólną współpracę polskich zespołów w nadzwyczajnych warunkach i rozpad krótkotrwałych więzi natychmiast po zniknięciu zagrożenia. Wysokie morale w warunkach wojennych nie przekłada się u nas na elementarną przyzwoitość wobec sąsiada w warunkach pokoju, a natrętnie deklarowany patriotyzm wydaje się nie mieć żadnego związku z poszanowaniem prawa, czy moralnością podatkową.

Pewien socjolog szwedzki zwrócił mi swego czasu uwagę na to, że w języku polskim mówimy: „władza i społeczeństwo”, tak jakby władza mogła być czymś zewnętrznym wobec społeczeństwa. W warunkach zaborów czy okupacji władza może być czymś zewnętrznym wobec narodu, niedemokratyczna władza może być czymś zewnętrznym wobec ludu, my jednak mamy odczucie jakby władza była czymś zewnętrznym wobec społeczeństwa. Czy jest to efekt słabości więzi

społecznych, szczególnie forma tego, co Ardrey nazywa *noyau*? Wydaje się jakby w świadomości większości mieszkańców Polski społeczeństwo było jakąś niezorganizowaną magmą, jakby państwo to było tylko terytorium plus pewna liczba zamieszkujących to terytorium jednostek. Przy takim pojmowaniu społeczeństwa każdy z osobna czuje się idealnym reprezentantem wszystkich. W tym kontekście spory, których powodem jest odmienna interpretacja faktów, nieporozumienie lub zwykła ludzka nierzetelność, natychmiast zyskują u nas interpretację polityczną. Ardrey zwraca uwagę na fakt, że we Włoszech praktycznie rzecz biorąc nie ma ksenofobii. Włoch – pisze – może cudzoziemca okraść czy oszukać, ale nie ma w tym żadnej dyskryminacji. Nawet faszyzm nie zdołał wyzwolić w nich antysemityzmu. U nas przeciwnie, abstrakcyjny patriotyzm, bez silnych więzi społecznych, prowadzi do ciągłych prób wyłączenia z definicji Polaka każdego, kto myśli inaczej, czy też w jakikolwiek sposób nam się nie podoba. Antysemityzm i inne formy niechęci do obcych w przedziwny sposób wydają się być manifestacją wewnątrzgrupowej agresji. Istnieje tendencja do absurdalnego zawężania kategorii „prawdziwych Polaków” i do zupełnie dowolnego operowania pojęciami „Żyd” czy kosmopolita. Wyimaginowana obcość sąsiada wydaje się tu być znacznie ważniejsza niż jakaś rzeczywista obcość. Z prymitywnymi formami niechęci do „obcych” korespondują bardziej wyszukane formy pogardy dla ludzi znajdujących się niżej na drabinie społecznej. Na przykład stałym elementem kultury części środowisk inteligentkich jest demonstracyjna wręcz niechęć do mieszkańców wsi.

Zorganizowana niechęć do zewnętrznego czy wewnętrznego, faktycznego, czy wyimaginowanego wroga jest starą jak świat techniką wzmacniania więzi społecznych. W przypadku rzeczywistego zagrożenia, na krótką metę, czasem skuteczną, częściej utrudniającą pozytywną integrację. Więź oparta na wspólnym ujawnianiu wyimaginowanego wroga jest ewidentnym przykładem zbiorowej paranoi. Pozwala na wypełnianie czasu i na kwestionowanie celowości podejmowania praktycznych kroków mających ograniczyć faktyczne dolegliwości wynikające z otaczających nas zjawisk. W pewnym sensie podobne jest zjawisko wysokich oczekiwań pod

adresem władzy i równoległej odmowy współpracy z tą władzą. Szczególnie dobrego przykładu dostarcza nam tu problem przestępczości. Społeczeństwo stale domaga się bardziej skutecznego zapobiegania i ścigania przestępczości, ale obywatele jak ognia obawiają się podejrzania, że gotowi są współpracować z władzą na tym polu.

Powstające organizacje z reguły stawiają sobie cele znacznie szersze aniżeli możliwości uczestników tych organizacji. Bardzo mało powstaje stowarzyszeń wyznaczających sobie konkretne i realne zadania. Znacznie więcej mamy gminnych obrońców ojczyzny i strażników najświętszych wartości aniżeli kółek takich czy innych hobbystów. Ponieważ obrońcy ojczyzny zajmują się zwalczaniem siebie nawzajem, więc żyją często w przeświadczeniu, że więcej jest w kraju masonów niż cyklistów. Dyskusje o patriotyzmie sprawiają wrażenie jakbyśmy codziennie stali przed zadaniem budowania państwa od zera. Model polskiego patriotyzmu wydaje się bazować na tradycji szlacheckiej, która ograniczała pojęcie narodu do jednej warstwy i wyłączała lwiał część społeczeństwa z kategorii obywateli oraz na znacznie późniejszej tradycji ludowej, w której obietnica włączenia się w obronę bytu państwowego ustawicznie splatała się z oczekiwaniem uznania elementarnych praw obywatelskich. Wątek mieszczański w polskiej myśli państwowej był niebywale słaby i z konieczności podczepiony pod tradycję szlachecką, a dokładniej pod mający nikłe poparcie szlacheckiej braci nurt reformatorski. W efekcie mamy dziś ustawiczne naprawianie ojczyzny bez troski o naprawienie płotu, oczekiwanie na doskonały rząd, przy nikłej świadomości, że jakość rządów zależy od sprawności samorządów, pogłębiającą się, a nie topniejącą wzajemną nieufność w społeczności lokalnej i wobec każdego człowieka spoza najbliższego kręgu. Na dzisiejszej polskiej wsi możemy mówić o patriotyzmie obrzędowym, wtopionym w religijność, ale odległym od łączenia patriotyzmu z postawami obywatelskimi w życiu codziennym. Również wśród inteligencji, chociaż w inny sposób, patriotyzm jest rytualny, z gotowością do romantycznych zrywów, ale bez prób tłumaczenia go na coś tak nudnego jak codzienna etyka obywatelska. Społeczeństwo nie wymaga lojalności, bo nie ma żadnej struktury.

Czy jest tak, jak to pisał Ardrey w odniesieniu do Włochów, że jesteśmy skazani na ten typ stosunków społecznych? Czy istnieje szansa na tworzenie silnych wspólnot wykraczających poza rodzinę? Wydaje się, że próby tworzenia takich więzi podejmują wszyscy, począwszy od Radia Maryja, a skończywszy na znakomitych akcjach Jurka Owsiaka. Dlaczego zatem te związki międzyludzkie wydają się być tak rzadkie i tak słabe? Możemy tu tylko postawić bardzo chwiejną hipotezę, że główną barierą jest marna jakość komunikacji, brak umiejętności organizowania i prowadzenia zebrań, nieumiejętność dyskusowania. Więzy wspólnego celu wymaga umiejętności dogadania się. Nie bardzo wierzę, że jesteśmy skazani na ten typ stosunków społecznych, nie jest jednak tak, że mam jasną koncepcję odchodzenia od tego naszego *noyau*. Najczęściej cytowanym powiedzeniem Benso Cavoura jest stwierdzenie *Italia fara da se*. (Włochy stworzą się same.) Był to pogląd zacieklego pozytywisty, zwolennika pracy u podstaw, liberała dążącego do wzmocnienia gospodarczego kraju i stopniowej integracji politycznej. Wśród naszych polityków tamtej epoki podobne idee miał Stanisław Staszic, hrabia Andrzej Zamoyski, czy margrabia Wielopolski. Ten typ pozytywizmu pojawił się już u schyłku oświecenia i został w znacznym stopniu wyparty przez romantyzm, dający wzniósłe poczucie wspólnoty w momentach zrywu, powrót do samotności po niemal nieuchronnej klęsce i codzienność nacechowaną wzajemną nieufnością. Powrót do pozytywizmu wymaga zmiany stosunku do nauk ścisłych, racjonalizmu, fascynacji otaczającym nas światem. Jestem przekonany, że towarzystwo miłośników ptaków produkuje więcej przyjaźni i więzi niż towarzystwo różańcowe, obawiam się jednak, że chwilowo jestem w moich poglądach dość odosobniony. Mam wrażenie, że Polacy się potwornie nie lubią i że chwilowo ta wzajemna niechęć raczej wzrasta niż maleje.

Andrzej KORASZEWSKI

Tłumokracja

Kiedy znany bokser, oskarżony o pobicie, wchodził na salę rozpraw, zrywały się okrzyki: „proszę wstać... Andrzej idź”. Czasy, w których publiczność rozpraw z respektem traktowała sędziów i strony procesowe, należą do przeszłości. Widownia reaguje gwizdem, lub brawami. Częściej gwizdem. Kiedy w innym mieście toczył się proces nastolatka oskarżonego o brutalne morderstwo, jego rówieśnicy demonstrowali pod budynkiem sądu, ogłaszając, że teraz oni zaczną zabijać. Siekierami.

Sędziowie i prokuratorzy pracują pod presją, nieznaną ich poprzednikom w przedwojennej Polsce. Przede wszystkim tamci byli poza zagrożeniem. Jeśli jakiś złodzieiś okradł przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości, wystarczyło powiadomić renomowanego złodzieja, wiernego klienta Temidy, a „fanty” rychło wracały do właściciela z zapewnieniem, że skandal już się nie powtórzy, winowajca dostał odpowiednią naukę. Brzmi jak sentymentalna bajeczka, ale tak to wyglądało. Codzienne, robotnicze ryzyko wymierzania sprawiedliwości – to nowe zjawisko.

Trzeba wysokiego morale, autentycznego poczucia odpowiedzialności, żeby nie uzależnić się od tłumu, lub też – co nie lepsze – od władz. I nie do gawiedzi procesowej zgłaszała bym pretensje. Wygaś prestiż zawodu, koniec z wysoką pozycją społeczną sędziów, kiedyś przecież niekwestionowanej elity. To już są ludzie o bardzo różnym poziomie, ich sposób wyśławiania się, formułowania myśli, niekiedy zdradza elementarne braki w wykształceniu – przynajmniej ogólnym: z kontroli prokuratorskich i sądowych wynika, że niestety i znajomość prawa

pozostawia tu wiele do życzenia. Zawód prawnika, jeden z tych, w których biegłość profesjonalna powinna iść w parze z kulturą osobistą, z poziomem umysłowym, uległ wyraźnemu zdeprecjonowaniu. Wiele wskazuje, iż jest to postępujący proces.

Pierwsza policyjna pensja – w granicach ośmiuset złotych, czyli niespełna dwustu dolarów miesięcznie. „Po jedenastu latach w policji mam miesięcznie 1100 złotych” – oznajmia funkcjonariusz. Jego rozpoczynający pracę kolega otrzymuje niecałych siedemset. A to ciężka służba, ryzykowna nie tylko ze względu na ewentualności, przed którymi nie do końca asekuruje kuloodporna kamizelka. Zachodzi jeszcze ryzyko konfrontacji z protestującym społeczeństwem. Niezręcznie o tym mówić, ale w Trzeciej Rzeczypospolitej już raz i drugi zaniósł się na sytuację, w której pacyfikatorzy w razie jakiegoś *virment* politycznego mogliby za to zapłacić wyrokiem sądowym. Dzisiaj wypełniając rozkaz, jutro policjant może się znaleźć w sytuacji milicjanta spod kopalni „Wujek”.

Tłumokracja – bo tak sobie nazwałam wyraźniejszą w Polsce tendencję – wręcz groźnie potwierdza się w badaniach opinii publicznej. Aż 55 procent Polaków życzy sobie, żeby sądy, wyrokując w poszczególnych sprawach, uwzględniały opinię publiczności tych procesów, żeby wymiar kary korespondował z oczekiwaniami tak zwanych „szarych obywateli”. Skóra na człowieku cierpnie. Poproszony o komentarz, przewodniczący Krajowej Rady Sądownictwa przyznał oględnie, iż poziom kultury prawnej w ojczyźnie nie jest za wysoki.

Poziom agresji akceptowanej społecznie przekroczył dopuszczalne granice – opiniuje socjolog. Myślę, że to nieomijalny punkt wyjścia do oceny równoczesnego poczucia zagrożenia społecznego w Polsce. Tak, to poza wątpliwością są zjawiska skorespondowane, z jednej strony rosnący niepokój, z drugiej – nadmierna tolerancja postaw własnych – i środowiskowych, uproszczone, nadal coraz bardziej upraszczane rozumienie warunków własnego bezpieczeństwa.

„Policjanci nagrodzeni oklaskami” unosiła się prasa z okazji – zgódźmy się – nie za dużej, po zatrzymaniu młodzieńców kradnących samochód. Brawury bym się w tym nie dopatrywała. Policjanci, owszem, zadbali o duże widowisko, powalając zatrzymanych na chodnik. Twarzami do chodnika.

Poleżeli sobie, choć nie znaleziono przy nich broni. No, ale efekt został osiągnięty. Wyjątkowo solidarny zachwyt gazet wszystkich opcji dowodzi, jak bardzo spragnieni jesteście skuteczkich działań policji.

Z równym entuzjazmem ulica przyjęła śmierć innego złodzieja, przyłapanego na kradzieży samochodu. Uciekając cudzym wozem, potrącił policjanta. Mimo wezwań nie zatrzymał się, więc dostał kulę, w niekwestionowanej zgodzie z prawem. W prasie pojawiły się aprobujące teksty. *Życie* informowało, że „akcja stołecznych funkcjonariuszy zdobyła uznanie warszawiaków. Policjant, który zastrzelił przestępcę próbującego przejechać go samochodem, prawdopodobnie otrzyma nagrodę. Brawa dla policjantów...”.

A więc wreszcie aktywność, która nas satysfakcjonuje? Jak widać jedna kula wystarczy żeby poprawić reputację policji, przynajmniej na tydzień. Posypały się listy z podziękowaniami „za stanowczą postawę”. Rzecznik Stołecznej Komendy odczytał dziennikarzom fragmenty epistoł od obywateli. „Jeśli bandyta jest niebezpieczny, jeśli ucieka, prosimy was, strzelajcie do niego. Będziemy wam wdzięczni”.

Uznanie dla policjanta, zabijającego niechby w obronie koniecznej – to zupełna nowość w Polsce. Dotąd bywaliśmy mniej wyrozumiali.

Publiczność oklaskuje śmierć: za jakie grzechy nie zginąłby delikwent, jest w tej euforii coś obrzydliwego. Huczny aplauz dostał funkcjonariusz, który przepisów nie naruszył, miał prawo do tego strzału i wykorzystał je. Nikt spośród zachwyconych nie znał zabitego, nie orientowali się, dlaczego ucieka.

Niegdyśjszy autorytet organów wymiaru sprawiedliwości, ostrożność gazet w komentarzach do wyroków, to przeszłość. W prasie charakterystyczne tytuły: „Spętana Temida”, „Nierychliwe sądy”, „Miłosierni sędziowie”, „Najgorszy sąd w Polsce”, „Prokurator i łapówka”, „Winny, ale wolny”. Nawet ostrożna *Polityka* przyznaje, że „Łagodność polskich sądów potwierdzają badania Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości. Z oceny wyroków, które zapadły w połowie lat 90-tych, a więc jeszcze pod rządami poprzedniego kodeksu, uznawanego za bardzo represyjny, wynika, że tylko w 10 proc. spraw orzeczono kary bezwzględnej pozbawienia wolności. Dla

przeciętnego obywatela wniosek jest jeden: 90 proc. skazanych przestępców znajduje się na wolności. Instytut analizował wyroki w ponad 30 krajach – okazuje się, że łagodniejsze wyroki w tych samych kategoriach przestępstw zapadają jedynie w Austrii, Niemczech, Wielkiej Brytanii i na Węgrzech. Jeżeli za pobicie trafia u nas do więzienia niespełna 10 proc. sprawców, to np. w Danii blisko 60 proc. Za kradzież idzie za kratki około 10 proc. polskich złodziei, a np. w Grecji ponad 60 proc.”.

W *Życiu* niby o tym samym, ale nie tak samo. „90 proc. skazanych wychodzi z sali sądowej jako te wolne ptaki” – gromi „miłosiernych sędziów” reporter. I dalej „My łapiemy, sądy wypuszczają – skarżą się policjanci”.

Jasne postawienie sprawy. To się ulicy podoba. Ulica nie od dzisiaj wie, że (znów cytuję) „polscy sędziowie są nie tylko liberalni. Są ultraliberalni...”.

Tylko patrzeć, jak zaczną być „ultraliberalni” z przykrej konieczności. *Trybuna* podała, że „Codziennie do aresztów śledczych i zakładów karnych trafia około 250 osób. Bywa, że nawet 500. To dwa bataliony wojska...” W Polsce jest 60 więzień. Przepelnionych.

W odczuciu społecznym nie istnieje domniemanie niewinności. Czytając prasę niekiedy odnosi się wrażenie, że sąd jest zbyt dużą instytucją, że z powodzeniem można by poprzestać na usprawnionych działaniach i werdyktach policji. Żadna okoliczność łagodząca nie wchodzi w grę, gdy zagrają emocje.

„Zawracanie głowy z sądem”, „Pasy drzeć i solą sypać”, „Ja to bym wieształ i spokoj”. Opinie już dominujące wśród tak zwanych prostych ludzi, a wiadomo, jak rozciągliwe to zaszeregowanie. Prostack wali na odlew, co mu w duszy gra, inteligent ogłędniej dobiera słowa, ale nie pojęcia. Kiedy w Polsce – w peerelowskiej Polsce – narastała fala chuligaństwa, bardzo znany, nieżyjący już dzisiaj krakowski reporter zupełnie serio proponował zakuwanie winnych w dyby i publiczną karę chłosty pod Sukiennicami. Miejsce wybrał dobre, bo tam gęsto od turystów, tylko widowisko – myślałby kto – spóźnione o kilka stuleci. A tak nie jest. *Vox populi* publiczny wymiar kary zachwala jako trafny sposób (drugi po maksymalnym zaostreniu wyroków) na wygłuszanie przestępczości.

Zarysowała się niebezpieczna tendencja. Sędziowie zaczynają się usprawiedliwiać. Oceniając główną przyczynę społecznych dąsów na Temidę – tendencję do łagodzenia wyroków – sędzia z Katowic uspokaja, że „po ostatnich krytykach prasowych to się zmieni”. Co do mnie, wolałabym, żeby sądy nie uzależniały się od gazet. Wymiar sprawiedliwości jest ostatnią z dziedzin, w których wolno ulegać nastrojom ulicy.

W relacji z sali rozpraw warszawska telewizja przekazała uzasadnienie wyroku, który, jak podkreślił sędzia, powinien sprostać oczekiwaniom społecznym. I rzeczywiście: był w guście ogółu. Nie wątpię w jego słuszność, tylko po co te flirty z publicznością?

Życząc sobie, by sądy – wyrokując – uwzględniały opinie „zwykłych obywateli”, 55 procent ankietowanych Polaków nieświadomie dopomina się o kontynuację czasów, w których karę wymierzało się nie tyle podług winy jednostkowej, ile podług z góry założonej, generalizującej funkcji wyroku. Najczęściej funkcji politycznej. To były lata karania dla przykładu. Wlepiając chłopu piętnaście lat więzienia za nielegalny ubój, starano się zastraszyć wieś. Sam podsądny był pionkiem karanym drakońsko, ale pionkiem: pograżając go, państwo groziło innym swoim niepokornym. Pomijane dzisiaj w relacjach – na rzecz *stricte* politycznych, procesy gospodarcze w latach 50-tych były haniebnym przykładem uzależnienia sądów od systemu. Warto przyjrzeć się ówczesnym wyrokom. Za „mięso” karano nawet śmiercią.

Prawo w dzisiejszej Polsce bywa niekompletne, zdezaktualizowane, zaczynając od kodeksu karnego – wymaga zmian i uzupełnień. Tym bardziej niepokoi bagatelizujący stosunek Sejmu do elementarnej przeciw sprawy w Państwie.

Stos przepisów czeka na nowelizację, jeśli nie na anulowanie. W prasie fotomigawka z podpisem „Sejm obraduje nad zmianami w kodeksie handlowym i cywilnym”. Oglądamy minister Suchocką, przemawiającą do krzesel. Dziesięć długich rzędów pustych, w kąciaku jeden (tak, jeden) słuchacz. Poseł, czy ochroniarz? *Nota bene* wśród polskich posłów niewiele jest prawników.

Hanna Suchocka bardzo (czy aby nie za bardzo), publicznie obsztorcowała prokuratorów. Za słabo oskarżają,

za małych kar żądają, za rzadko apelują. Jako prokurator generalny pani Suchocka jest *capo di tutti capi*, lecz jednocześnie pełni funkcję ministra sprawiedliwości, a to już nadaje połajance trochę inny ciężar gatunkowy.

W swoim raporcie *Polityka* nalega: „oskarżać zamiast umorzyć” i kwestionuje pojęcie znikomej szkodliwości czynu. Istotnie nie sposób oceniać tej szkodliwości, nie pytając o zdanie społeczeństwa. Jak zauważa przedstawicielka prokuratury „kategoria znikomej społecznej szkodliwości musi być odnośna do szerokiego społecznego odczucia sprawiedliwości”.

Kiedy w małym miasteczku na Białostocczyźnie powstał twór Polakom znany raczej z filmów – straż obywatelska – Supraśl od razu nagłośnił się na cały kraj. Podobno zaczęło się od tego, że nieznanymi, ale tylko policji nieznanymi sprawcami, zgwałcili dziewczynę, dochodzenie nic nie dało, dopiero kilku energicznych obywateli wzięło się do dzieła, odnalazło tych nieustalonych i ukarało bardzo odczuwalnie, mniejsza o szczegóły. Tak głośniła wieść gminna, sprzeczna z policyjną, ale zgodna ze społecznym gustem.

Supraśl żyje samosądem – konstatuje prasa. Co by o tym nie myśleć, straż obywatelska w Supraślu zaistniała, bo miejscowi nie odczuwali istnienia policji. Jeśli profesjonalści przez rok nie są w stanie odnaleźć przestępcy, którego z łatwością ujmują amatorzy, to doprawdy nie próbujemy przekonywać Supraśla, że samosąd nie jest najlepszym rozwiązaniem w cywilizowanym kraju. Tyrmand w dziesiątkę trafił, wymyślając „Złego”.

Czarny rynek sprawiedliwości, tendencja groźna ale zrozumiała, gdy notorycznie zawodzi policja i prokuratura, a skuteczność sądów w odczuciu ogółu jest mizerna.

Dobrze napisany reportaż pod znamienym tytułem – „Sprawiedliwość po obywatelsku” (*Przegląd Tygodniowy* z 17. marca 1999) relacjonuje, jak okradzani, napadani, bici i terroryzowani mieszkańcy Supraśla postanowili wreszcie wyręczyć policję. Co też czynią z dobrym skutkiem, a wszyscy się cieszą, że ktoś wreszcie pogonił bandziorom kota.

Reportaż kończy się konkluzją podsłuchaną na rynku w Supraślu: „A na co idą nasze podatki?! – (...) To ja ci powiem na co (...) Na takie prawo, jakie mamy, bo jeden z ko-

leżków tych sukinsynów powiedział, a sam to słyszałem, że paragrafy są po ich stronie”.

Gończo przyjęte i fetowane w mediach Stowarzyszenie Pomocy dla Ofiar Zbrodni patronuje daleko posuniętej samodzielnoci społecznej w ściganiu przestępców. Pokrzywdzone rodziny redagują i kolportują prywatne listy gończe, prowadzą dochodzenia, niekiedy zakończone sukcesem. Kilku zabójców ujęto i przekazano policjantom. Czy jest się z czego cieszyć, czy jest się czego bać?

Ustalenie, a nawet doprowadzenie sprawcy dopiero przez rodzinę ofiary, to już żaden ewenement, tak było i w Kołobrzegu. Ludzie sami redagują i kolportują listy gończe, rozwieszają plakaty z fotografiami ofiar i domniemanych morderców. Jeden z pokrzywdzonych zdobył zdjęcie podejrzanego, zrobił odbitki i poroszył zaopatrzone krótkim tekstem „szukam mordercy mojej żony, matki dwojga dzieci”. I dopiero po tej prywatnej akcji coś drgnęło, sprawca został ujęty i skazany na najwyższy dopuszczalny w Polsce wymiar kary, na 25 lat więzienia.

W TV czyjaś opinia, że rodziny ofiar mają moralne prawo do prywatnego śledztwa.

Moralne, czy emocjonalne? Bo to jest różnica.

Życzymy sobie, żeby kije baseballowe zagrały również w drużynie sprawiedliwych. Powoli bo powoli, tłum bierze sprawy w swoje ręce. Nie każdego zadowolą Czarne Marsze, zwane również Marszami Milczenia, dojmujące demonstracje gniewu i beziły. Przed dwoma laty zebrano 85 tysięcy podpisów pod apelem o surowsze kary dla piratów drogowych. Łódzcy, a następnie warszawscy taksówkarze przy innej okazji organizowali opinię, zbierając od pasażerów podpisy na petycji o przywrócenie kary śmierci. Śmierć za śmierć, widniało w tytule. Petycja powędrowała do marszałka Sejmu. Prasa z nabożeństwem cytowała poglądy tak zwanych szarych ludzi, którzy chętnie rozwodzili się o swych nadziejach związanych z przywróceniem kary głównej. Będzie bezpiecznie... przestaną kraść... napadać... Otóż nie przestaną, akurat tych przestępstw śmiercią się nie karze, przynajmniej w Europie.

Czarny rynek sprawiedliwości świeżo obrodził w Polską Partię Biednych. Wnioskując z propozycji, na wiecach partii

zgłaszanych do „obywatelskiego mikrofonu”, nasze tradycyjne prokuratury oraz sądy będą miały dodatkowe zajęcie, prędzej czy później dojdzie do kolizji z realizatorami „sądów społecznych”, wyrokujących – otóż to – na ulicy. Siłami tłumu. Biedni gromadzą się przed wybraną instytucją i skazują notabla na zwrot zagarniętych pieniędzy i zakaz pełnienia funkcji publicznych przez długie lata. To się podoba, prasa znów wyraża przychylnie zainteresowanie.

Wbrew powszechnym oczekiwaniom, wbrew optymizmowi resortu – zaostrenie przepisów kodeksu karnego nie wpłynie na spadek przestępczości. Z doświadczeń wszystkich wysoko rozwiniętych, zatem kontrolujących swoją kondycję społeczeństw wynika, że liczba zabójstw niestety pozostaje niezależna od wprowadzenia czy zniesienia kary śmierci, podobnie jak na statystykę innych lżejszych przestępstw nie mają zauważalnego wpływu ani ostre wyroki, ani twardy więzienny regulamin. Kara jest tylko i wyłącznie rozprawą ze skutkiem, ale nie z przyczyną. Jeśli resort sprawiedliwości chce sprowadzić prewencję do karania – efekt będzie mizerny. Lepszy skutek dałaby świadomość, że sprawcę czeka kara.

Wyższa, niższa, ale nieuchronna.

Wyroki wyrokami, prewencje prewencją, ale rozmiary i rodzaje przestępczości mają czytelne społeczne uwarunkowania, są zależne od standardów ekonomicznych. Śmiem twierdzić, że i od moralnych nieporządków w państwie.

Zabezpieczeń kodeksowych nie przeceniam. Ilekroć przysłuchuję się politykom, z takim żarem żądających coraz to nowych zmian pisanych, przypominają mi się, co Napoleon zauważył, jakby *à propos* obecnej polskiej sytuacji: „nowa forma rządu nie oznacza nic, byle obywatele byli równi co do praw i byle sprawiedliwość była dobrze wykonywana”.

Anna STROŃSKA

Karelska tropa (II)

24 czerwca

Wododział – skalny płaskowyż, pokryty lasem i błotami, rozdziela jeziora Matko i Wadło – jak grzęda. To najwyższe wzniesienie na drodze Kanału. 102 m ponad poziomem morza. Wody stąd spływają tarasami jezior i kaskadami rzek na obydwie strony: na prawo do Białego Morza i przez Gorło do Oceanu Lodowatego, na lewo do Jeziora Onieńskiego, stamtąd rzeką Swir do Ładogi i dalej Newą do Bałtyku i Oceanu Atlantyckiego.

Dawniej wiodła tędy jedna z głównych dróg Nowogrodów z Obonieża w Zawołcze. *Obonieżem* nazywali ziemię wokół Jeziora Onieńskiego, nie mylić z *Przyonieżem*, to jest ziemiami leżącymi wzdłuż rzeki Oniega, ani z *Zaonieżem*, które jest częścią Obonieża, leżącą za jeziorem Onieńskim, patrząc i z Nowogrodu, i z Moskwy. *Zawołoczem* zaś zwali kraj za Wołokiem – działem wodnym między Bałtykiem i Morzem Białym, przez który *wołoczyli* (włóczyli) swe łodzie. Z Moskwy w Zawołcze też chadzali przez Wołok, tylko inny – wododział zlewiska Morza Białego i Barentsowskiego z jednej strony, oraz Wołgi z drugiej. W literaturze przedmiotu często się to gmatwa.

Dzisiaj tu łodzi włóczyć nie trzeba, zeka przeryli Wododział sześciokilometrowym kanałem (na mapie oznaczony numerem 165), łącząc jeziora Matko i Wadło, i zarazem basen Morza Białego z Bałtykiem. Aby wyrównać poziom wód (Matko leżało niżej Wadła), przy wejściu z jeziora Matko do kanału 165 zbudowali dwukomorową ósmą śluzę. Wchodzimy.

8 śluza. Najdroższe urządzenie Kanału, kosztowała 11 milionów rubli. Cały Kanał – ponad 101 mln. Budżet planowali na 400 mln, trzy czwarte tej sumy zaoszczędzili na wypłatach. Teraz też oszczędzają na ludziach, półsenne kobity, które nas służują, pół roku nie widziały pieniędzy. Lecz humoru bynajmniej nie tracą i proponują nam wspólną kąpiel w śluzie. Wpół do drugiej w noc Kupąły! Nie wierzysz – przyjmij za baję!

165 kanał. Istne cacko. Wąziuteńki, zaledwie 36 metrów szerokości, po obu stronach bladezielona ściana brzoź, dołem szary granit, co 20–40 m kaszyce. Pusto. Głuszmy motor. Cicho, jak makiem siał... Po wielu godzinach terkotu silnika (w Kanale nie wolno chodzić pod żaglami!), raptem taka cisza – ogłusza. Ni krzyku ptaka, ni szelestu. Suniemy w tej niemocie siłą bezwładności. Matowa czerń wody.

Trudno sobie wyobrazić, że tam – pod nami? – w ogromnym wykopie pracowało 30 tysięcy zeka, jeździła kolejka wąskotorowa i przygrywały orkiestry dęte. Do tajenia śniegu wiosną 1933 roku musieli przeryć Wododział, w przeciwnym razie wezbrana woda mogła znieść gotową już Powienczanską Lestnicę i termin 1 maja, naznaczony przez Stalina na oddanie Kanału, brał w łeb. Zarządzono VII Wszecłagierny Zlot Przodowników Pracy, a na nim 7 stycznia ogłoszono szturm Wododziału pod hasłem: „Zamienimy srogi styczeń w żarki lipiec!”. Autorem hasła był Uspienski. Wszystkie oddziały Bielbałtagu delegowały na Wododział najlepsze trudkolektywy. Między innymi przybyły: *Put'k isprawleniju*, *Wpieriod k 1 octabria*, *Pokoritiel skał*, oraz słynna żeńska *Krasnaja zaria*. Tyrali sto dób na zabój, dniem i nocą (przy reflektorach) na zmiany w lodowej żyży po kolana. Szturm zakończyli 23 kwietnia, ostatnie 48 godzin pracując bez ustanku – bez jedzenia, i bez snu. Brygada Podlepińskiego pobiła rekord: 852% normy na członka, to znaczy 17 zeka zrobiło robotę za 144 ludzi. Dostali za to sztandar od karelskiego Komitetu Partii – płachtę z czerwonego pluszu, obrzeżoną złotym frędzlem, z okrągłymi kutasami.

165 kanał wychodzi na farwatek Wadła dwiema kamiennymi gozlami. Stajemy za jedną z nich na parę godzin snu... Gigantyczna jama, jak otwarty brzuch ziemi, na dnie pęłżają ludzie śród grud błota, umazani błotem, trudno rozróżnić,

gdzie człek, gdzie gruda, tylko po pełzaniu, niektórzy nieruchomieją jak błoto, inni pełzają po nich, czasem gruda ożywa jak człowiek i pełźnie z innymi wśród ludzi, przed chwilą znieruchomiących w brei...

— Pssst, Mar — w luku gęba Sani, z palcem na ustach. Daje mi znak, bym cicho wyjrzał. Wynurzam się i... zatyka mnie. Ze 165 kanału wypływają dwa łabędzie, bezgłośnie. Efekt jest niezwykły, bo odbijają się w czarnej toni, a jednocześnie jakby unoszą w próżni. Patrzymy, oczarowani. Wtem mat z kubryka, i dym. Wasia rybę przypalił. Okazuje się, że gdy ja śniłem tamtą jamę, muzyki nałowili siei, czyli *siegow* po ichniemu.

Łabędzie znikły. I nie wiem, czy to mat Wasi je spłoszył, czy były przywidzeniem? Zanim kolejna sieja się usmaży, kąpię się. Pyszna woda. Opływam groble, nurkuję. Brzegi 165 kanału, wyłożone kamieniami do samego dna, przypominają mury jakiegoś zatopionego grodu, omszałe, oślizgłe, bez wyjścia. Kaszyce pod wodą wyglądają jak wartownicze budki we mgle. I nie wiadomo skąd raz po raz unoszą się w górę pęcherzyki powietrza.

Smażona sieja i chłodne piwo po kąpieli — cóż może być lepszego na śniadanie?

O dziewiątej trzydzieści wyruszamy. Słońce przypieka, skóra pobolewa, tną gzy. Wadło jezioro, Woło jezioro, jedno z drugim się zlewa (dzięki podniesieniu poziomu Woła przez ósmą służę), po drodze znówu ostrowy, ostrowy... Jedne o nazwach połażiernych, jak wyspa Udarników czy Podlepin-skiego, inne po prostu — Bolszoi, Primietnyj, Wostocznyj, i tak dalej, jak okiem sięgnąć, niczym klomby na wodzie. Gama zieleni: od przyćmionych świerków do spłowiących brzóz i seledynu łożin, są szmaragdowe tataraki i pienista, jakby zmydlona, łożina, zgniła zieleń traw podwodnych, jadowitozielonkawe mchy. Jeno gdzieś na tle tych zieleni czerni się czasem bryła baraku, zmurszały saraj, lub porzucona łódź. Ni żywej duszy.

Aż nie chce się wierzyć, że była tu „Pierwsza dziecięca kolonia BBK”, opisana przez Sołowiewicza. Dzieci pilnowały

się same: 4000 bezprizornych pracowało pod nadzorem 300 takichże bezprizornych, specjalnie wybranych i tresowanych pod okiem komendanta Czenikały. Jak dorosłe GPU, owych trzystu mieszkano w lepszych barakach i otrzymywało lepsze jedzenie, na rękawach i na piersiach ponaszywano im czerwone gwiazdy, i zajmowali się — jak dorośli — donosami, śledztwem, robili obławę, aresztowali, rewidowali... I byli znienawidzeni przez resztę, dziką nienawiścią. A wszystkim było od 10 do 15 lat.

Za wyspą Szlegela pokazują się powienieckie nabieżniki. Na prawo baza remontów. Przystań, kutry, woń ropy. Może nas zatankują? Podchodzimy do pomostu. Muzyk w brudnej fufai (mimo upału!), bez zbędnych słów, robi ruski gest: jest wypić? Nazywam go „ruskim”, bom nigdzie indziej tak złożonych palców nie spotkał: kułak z wyprostowanym do góry kciukiem i małym palcem odstawionym w bok (czasem gest bywa jeszcze bardziej wymowny, bo tym kułakiem czynią ruch, jakby kufel wychylali). Gdzie indziej pokazują „V”, czyli „zajączka”, lub „fuck you” czy „O.K.”, a tu nieme pytanie o szyło. Którego mamy pod dostatkiem. Zatem machniom. W mgnieniu oka brzeg zaroił się muzykami. Jakby spod ziemi wypęczali. Sania im szyło, oni nam solarkę. Ręce się trzęsą, łyka nie wiążą.

Korzystam z chwili i zamieniam parę słów ze stróżem bazy — jedynym trzeźwym. Starzyk przeklina szyło, muzyków i Jelcyna do kupy. Kiedyś za *proguł* (bumelkę) do Leśnej Rzeczki zsyłali i tam wykańczali. Nic dziwnego, że się bali. A teraz, tfu, jedriona mać. Nikt nic nie robi, Kanał zapuszczają, niedługo rzesą zarośnie. Próbuje oponować, że ofiary, i w ogóle... Starzyk przerywa i macha ręką w stronę muzyków:

— Wszak oni tak czy tak pozdychają, a wtenczas choć pożytek z nich był.

Mam wrażenie, że gdzieś to czytałem? Ależ tak, sto lat temu podróżował tędy etnograf Majnow. W jego książce „Pojezdka w Oboniezie i Korefu” jest epizod, w którym autor rozmawia z miejscowymi muzykami o Carskiej drodze. Na pytanie, czyż nie za dużo ludzi ginęło z woli cara, muzyki przyznali, że owszem dużo, lecz jeśli by nie zginęli, to i drogi by nie było, a przecież i tak pomarliby, tu więc z pożytkiem dla dzieła oddali życie.

Na odchodnym zaglądam pod okap saraja, tam w cieniu rozłożyli brezent poplamiony ropą, na nim ogórek, czosnek, i sól na zwitku gazety, chleb razowy, słonina. Już rozpili po pierwszym stakanie, błogostan. A praca? – Naplewać. 7 śluz. Początek Powienchanskiej Lestnicy, którą bym spolszczył na Powienieckie Wschody, używając przestarzałej formy „schodów” dla podkreślenia ogromu budowli. Siedem śluz, jedna za drugą, jak wielkie wodne stopnie, po których powoli schodzimy do Jeziora Onieńskiego.

6 śluz. Betonowa bania. Żar z nieba, ściany nagrzane.

Między 6 i 5 śluzą rzeka Powienchanka się rozlewa, tworząc niewielkie jeziorko. W dole widać Oniego.

5 śluz. Upał zatyka.

4 śluz. – Blin, żopa wysiadła! – Wasia zowie „żopą” sputnikowy przyrząd do nawigacji, który powyżej 60°C wyłącza się.

3 śluz. Stop, musimy czekać. Naprzeciw nam wylazi Wołgobałt, czarny i wielki. Czwarty na naszej trasie, plus osiem naftorudowozów, nie licząc drobnicy i tych, które przepuściliśmy podczas postoju w Nadwoicach, oraz w czasie snu. Lecz to jeszcze nic, Sania opowiada, że w latach 60-tych i 70-tych, czyli w tak zwanym „okresie zastoju” był tu taki ruch, że statki godzinami czekały w kolejce na śluzowanie. Dlatego nie dowierzam Sołżenicynowi. Isajewicz pobywał na Powienchanskiej Lestnicy w 1966 roku. Planował przepłynąć Kanał na barce, bo – jak sam pisał – chciał się mierzyć z „brygadą” Gorkiego, ale dokumenty sprawdzali, jego nazwisko od razu wyzwałoby podejrzenie – po co jedzie? Dla dobra „Archipelagu Gułag” wolał nie ryzykować, więc tylko się przeszedł wzdłuż parę śluz pieszo, na brzegu posiedział, z ochroną pogadał. Wszystkiego spędził tu około 8 godzin. W tym czasie z Powieńca do Soroki przeszła jedna barka z drzewem i z Soroki do Powieńca też jedna, i też z drzewem. Isajewicz podliczył i wyszło mu zero.

Sołżenicyn lubi zaokrąślać. Weźmy trupy. Porachował wedle słuchów, że tylko za zimę 1931-1932 sto tysięcy zeka na Kanale wymarło, a że Kanał budowali dwie zimy i jedno lato, to wyszło mu ćwierć miliona. Iwan Czuchin, który wiele lat poświęcił historii Kanału, dotarł do dokumentów, i do świadków, twierdzi, że na Kanale ogółem pracowało ćwierć

miliona zeka, a zginęło sto tysięcy. Podobnie szacował Sołżenicz, który tu siedział. Warto pamiętać te cyfry, by różnić, gdzie rośnie drzewo, a gdzie klukwa.

2 śluz. Most zwodzony, droga z Miedwieżej Gory na Piałmę i Pudoż. Samochody, ludzie.

1 śluz. Ostatnia!

Na betonowych palach koryta wychodzącego z Kanału do Jeziora Onieńskiego opalają się powienieckie podrostki. Smukłosmagłe ciała dziewcząt. Jedna z nich skacze do wody, pod sam nos „Antura”, i ze śmiechem się wynurza z drugiej strony. Sania mówi, że zjadłby ją. Ja też.

Powieniecka Zatoka, stajemy u mola. Po prawej, nieco z tyłu, został Powieniec. Zajedziemy tam w powrotnej drodze. Zaś przed nami zwój błękitu, przestrzeni, światła – Oniego. Tak kiedyś nazywali Jezioro Onieckie. Tafla bez zmarszczki, bez wiewu. Pod słońce słabo widać Gażyj Nawołok, rozedrganne pasmo cypla, za którym leży Miedgora. Aż się prosi iść na skrót, ale pacany, prążące się na zardzewiałym kadłubie na pół zatopionego tankowca opodal mola, uprzedzają nas, że mielizna i lepiej się trzymać farwatera. Tak, łązega po jeziorze to nie to samo, co chodzenie po morzu. Tam przyplawy, odpływ, i można na małej wodzie próbować szczęścia, a jeśli nawet przysiadiesz na łasze, to prędzej czy później przyplaw cię ściągnie. A tutaj raz się nadziejesz na dno, i do widzenia. Lecz Wasia polega na mieczu i decyduje ściąć drogę. Pacany powątpiewają.

Ruszamy na najmniejszych obrotach z maksymalnie wypuszczonym mieczem. Woda przejrzysta, widać dno, piach i wielkie głazy, odpychamy się, Wasia wspomaga sterem, Junga pilnuje miecza. Motor ledwie pyrka. Droga się dłuży, raz i drugi szorujemy o płyciznę, gasimy motor, unosimy miecz na cał, spychamy się, włączamy motor, znów szorujemy, gasimy, jeszcze cał, spychamy się, idziemy kawał na kołach, jak na szudłach, włączamy motor, niby nieco głębiej, ale znów gład, koły zgrzytają, przeskoczyliśmy, jeszcze jeden, dno ucieka w bok, ciemno, wypuszczamy miecz, dna nie widać. – Uf, przeszliśmy.

Dalej też, niestety, drepemy na „dżinie” (czyli na motorze – po Wasinemu) o zaglu mowy nie ma. Flauta. Słońce dosłownie oszalało, niebo jak spopieląte. Co chwilę

któryś z nas skacze do wody i ciągnie się za jachtem na sznurze. Pęd wody zrywa Wasi gacie. Ejże, gatki ruskiego muzyka! Żal gaci, robimy pętlę za nimi. Ślepnie tną do krwi. Pojawiły się owady – żółto-pręgowane bestie wielkości trzmieli. Przy rozduszeniu trzeszczą. W mig kokpit jest pełen ich trupków. Zza Gażego Nawołkoka wysuwa się Kużostrow, na widnokręgu rysują się wzgórza Miedgory, obramiające północny kraniec Jeziora Onieńskiego – Bolszoją Zatokę. Miedwieża Gora coraz bliżej. Już widać port, wysokie dźwigi, hałdy węgla, wagony na boczniczy. Obok plaża, naród się kąpie, pisk dzieci. Smród ryb. A ponad wszystkim góruje monstrialna wyszka, sterzcąca zza drzew.

Stajemy za falochronem z kamieni, oddzielającym port od jeziora. Siódma wieczór, słońce praży, odbite w wodzie o barwie niklu – niemilosierne. Na falochronie siedzi kobieta z wędką, o twarzy przedwojennej inteligentki. Oczy ma zblakłe jak sprany perkal, głowę zakutała w białą chustę.

Miedwieża Gora *by night*. Z jeziora do centrum wiedzie ulica Kirowa. Spękany asfalt, drewniane domy. Kwitnie czeremcha.

Na skrzyżowaniu Kirowa i Sowieckiej niby-park: cztery sosny, dwa klomby, ławka i pomnik szeregowego Faniegina, który 30 czerwca 1943 roku powtórzył wyczyn Morozowa. Po powrocie zapytałem Wasię o ten wyczyn. Wasia się szpetnie wyrugał i wyjaśnił, że ów to przyglup, co swoją pierśią zasłonił ambrazurę, zamiast tam granat rzucić. Przy pomniku na ławce śpi ałkasz, obok pusta butelka po portwajnie.

Na koniec dworzec, zbudowany w 1916 roku. Z zewnątrz przypomina cerkiew. Nic dziwnego, że zeka wychodząc z wagonu, kłaniali się i żegnali z rozmachem. W środku bar, woskowe światło. Jak w „Nighthawks” Hoppera. Śpiewa Zemfira, jest Pilsner z lodówki. Przysiadam. Po drugiej stronie smutny makijaż i szklane oczy. Pytam o posiołek Arnoldowy? Makijaż robi zdziwioną minę, nie słyszał o takim.

– A kogo szukasz, może znam?

– Kiedyś tam mieszkał Aleksiej Łosiew z żoną.

W szklanych oczach pusto. Bo i skąd mogłaby znać. Wszak filozof Łosiew, pogrobowiec Srebrnego Wieku, żył tutaj jesienią 1933 roku, kiedy ani jej, ani jej rodziców, jeszcze na świecie nie było. Aresztowany w 1930 roku za „Dialektyku mifa”, po 17 miesiącach Łubianki, z tego 4 miesiące w pojedynce, najpierw trafił do Swirłagu, potem do Miedwieżej Gory. Po długich staraniach uzyskał zezwolenie na zamieszkanie z żoną w wynajętym pokoju w Arnoldowym posiołku, dniami pracował w łagiernej Monografii, oddziale zajmującym się historią budowy Kanału, a nocami pisał dziwne opowieści (w stylu E.A. Poe’go), w których łączył *genre* dialogów platońskich z realiami Biełbałtłagu. Na przykład we „Wstreczi” zeka dyskutują o... muzyce i jej roli w nowym społeczeństwie. A sama konstrukcja opowieści, niestety niedokończona, przypomina Beethovenowską Sonatę op. 106, z jej czterema częściami Allegro, Scherzo, Adagio i niedopisaną Fugą, oraz refrenem:

Kak my lubim – oj-oi-oi! –

Nasz wielki Białmorstroj!

Jeszcze zimą, gdy planowałem tę *Tropę*, przełożyłem kawałek „Wstriecki”, gdzie Łosiew opisuje białą noc w Miedgorze. Teraz, brodząc w jej opalowej poświacie, porównuję:

„Była cudna północna biała noc. Kocham, tajemną i trwożną miłością kocham północną białą noc. Kocham to długie, dręczące oczekiwanie, ów chłodny, hipnotyczny półmrok, kiedy słońce tuż-tuż, dosłownie w tejże chwili się pojawi, lecz nie pojawia się i nie pojawia! Coś niepokojącego i przenikliwego zarazem tli się w tym znużonym, sennym, bladoliliowym niebie, i żal mi się robi czegoś nieodwracalnego, czegoś bezzwłocznie utraconego, jak żal bywa beztroskich i czystych dni dzieciństwa.

(...)

A zachód słońca zlewał się ze wschodem, oblewając nas złowieszczym, lecz nieostrym, błękitnym światłem – bez cienia. Z jednej strony niezwykle uduchowanie, z drugiej nerwowa pobudliwość, – oto jakim amalgamatem żyje owa magiczna, somnambuliczna biała północna noc. Oniryczny

świat – oto tajemnica białej nocy Północy. Niepokojąca i bezwolna, beznadziejna i męcząca – oto ona, straszna maska bytu, senne widzenie rzeczywistości, majaki bezsilnego absolutu”.

Ani się obejrzałem, jak znalazłem się na ulicy Dzierżyńskiego, przed domem-widmem – jako żywo ilustracja do „Wstriechni” – potężne kolumny z szarego granitu, okna wysokie w dwa piętra i ślepe, fasada martwa, boczne skrzydła w mroku, a na zwieńczeniu galeria podniebna w kształcie wyszki, którą widzieliśmy z jeziora. Całość w stylu monumentalizmu lat 30-tych (*nota bene* go lubię!). W sąsiedztwie bloków, tzw. „chruszczówek”, oraz drewnianych ruder sprzed wojny, wygląda jak – dajmy na to – Pałac Kultury, w Suwałkach. Paradne wejście zabite na głucho dechami, żadnej tablicy. Tylko z boku na drzwiach napis, że to muzeum miejskie. Sądząc po zaledwie kilku „żywych” oknach, muzeum zajęło w tym widmie parę pomieszczeń, reszta jawnie pustuje. W kępie czeremchy nie opodal, jakby się ukrywał, stoi pomnik-czek Kirowa. Mały jakiś.

W drodze powrotnej skwerek (tam gdzie ul. Sowiecka przechodzi w Dzierżyńskiego), na nim kiosk z piwem, czynny całą noc, stoły z faniery pod odkrytym niebem, młódzież, miejscowa szpana. Osobnik, jawnie „lico kaukaskiej nacjonalności”, sprzedaje szaszłyki. Ryczy muzyka. W pobliżu cuchnie wychodek, w trawie walają się jednorazowe strzykawki.

Im dalej od skweru, tym muzyka mniej wyraźna, aż mi się jęło zdawać, że tamten refren słyszę:

Kak my lubim – oj-oi-oi!

Nasz wielikoj Bielomorstroj!

25 czerwca

W świetle dnia Miedgora traci. Ot, prowincjonalne miasteczko, jedno z wielu, jakie widywałem w swych wędzaniach po rosyjskiej głubince. Ulice koślawe, domy byle jakie, ludzie szarzy, na twarzach znużenie. I wszędzie *griazi*! (błoto, brud), o której niegdysiejsi podróżnicy pisali, że jest piątym żywio-

łem Rusi. Pierzchły gdzieś wabne zwiady i nocne przywidzenia, i nawet czeremcha dniem tak nie pachnie... Jedyne jaskrawe szyldy całodobowego sklepu (pełniącego rolę meliny) są tu nowinką – reklamy Pepsi i Snickersów. Tudzież gmach w guście „nowych ruskich” przy ul. Sowieckiej, w nocy go nie zauważyłem, bo stoi w głębi, za płotem, nieomal ze kościół – z czerwonej cegły, z krużgankami, z podcieniami, niedokończony.

– Zali cerkiew wam budują? – zasięgam języka u przypadkowego przechodnia.

– Jaką cerkiew, jołki pałki, to miał być bank. Za Gajdara go wymachali, dosłownie w parę miesięcy, a jak Gajdar poleciał, to i oni splajtowali, postawili płot i dali nogę.

Kto by pomyślał, iż w latach 30-tych Miedgora była „stolicą” olbrzymiego „państwa w państwie” – Bielomorsko-Bałtyckiego Kombinatoru – utworzonego w 1933 roku, po ukończeniu budowy Kanału. Do głównych zadań Kombinatoru należała kolonizacja i eksploatacja terenów przyległych do trasy wodnej. BBK nie tylko pochłonął całą Kerelię, lecz i władzę administracyjną w niej pochwyił. Jego włości sięgały od Pietrozawodska do Murmańska i obejmowały przemysł drzewny, wydobywczy i energetyczny, fabryki, zasoby ryb i zwierzyny leśnej. Ludność tego „państwa w państwie” była podzielona pod względem statusu i przywilejów, jak w dawnej Rusi, gdzie *raby* były i *smerdy*, i *chotopy*, i *zakupy*, tak i w Kombinacie żyli *zeka* i *specposielańcy*, i *administracyjnosylni*, i *wolnosylni*, i *tuziemcy*. A władali tym wszystkim czekiści – *bojary* sowieckiego chowu. Przy tym *zeka* nie najgorzej się powodziło, w jeszcze gorszym położeniu byli *specposielańcy*, zesłani bowiem z całymi rodzinami pod nadzór BBK, nie mieli nawet łagiernego pajka. Każdy marzył o Miedgorze.

Miedwieża Gora była najbardziej uprzywilejowanym miejscem Bielbałtłagu, który z kolei był najbardziej uprzywilejowanym ze wszystkich łagrów w ZSSR. Dookoła Miedgorzy, w promieniu 25-30 km, rozmieszczono kilkanaście manufaktur i różnego typu – od szwalni i cechu meblarskiego do rzeźni i fermy mlecznej – gdzie parę tysięcy *zeka* pracowało na potrzeby „stolicy” (tylko oranżerie sowchozu Wiczka zajmowały 2 ha ziemi pod szkłem). W samej zaś Miedgorze,

na południe od stacji kolejowej, mieścił się walny posiołek – tam był klub, bazar, sklepy świetnie zaopatrzone, Gosspirt i Torgsin. Słowem, wszystko jak należy. Na brzegu jeziora (w pobliżu miejsca naszego postoju), znajdował się ośrodek „Dynamo”, i bufet z cenami kooperatywy GPU (to znaczy: półdarmo), wypożyczalnia łódek i koszy plażowych... Sołowiec opisał, jak pewnego razu spotkał się tam z Uspenskim, w tym czasie już naczelnikiem Biełbałtągu. Obydwaj goli na plaży popijali koniak z lodem pod smakowitą okroszkę (też z lodem) i omawiali detale łagiernej spartakiady, którą on (z/k z art. 58) miał zorganizować. Jak to możliwe, pomyślisz, naczelnik łagru i zeka na plaży. Goli? To niemożliwe!

Podobnie zapewne sądzili czytelnicy brytyjskiej gazety w zabawnej farsie „Mr. Stupid”, wystawionej na scenie łagrowego teatru. Tytułowy bohater, korespondent z Anglii, przyjechał do Biełbałtągu, aby znaleźć tutaj potwierdzenie pogłosek o nieludzkim traktowaniu więźniów. Tymczasem trafił na zjazd udarników w Miedgorze, gdzie zeka karmili kanapkami z kawiozem. A kiedy napisał o tym do swojej gazety, to w Anglii pomyśleli, że biedak zwariował, ha! ha! Nikołaj Pawłowicz Anciferow, który siedział wśród zeka na widowni, wspominał potem w „Iz dum o bytóm”, że najśmieszniejsze było to, że w rzeczy samej na zjazdach przodowników pracy podawano kanapki z ikrą. Ha! ha!

Anciferow nazywa Miedgorę „stolicą rosyjskiej inteligencji lat 30-tych”. Kto tylko tu nie siedział? Filozof Meier, dla przykładu, studiował w łagrze Goethego i napisał rozprawę o „Fauście”, Łosiew wykładał teorię względności Einsteina, a Lichaczow się zajmował filologią *blatnej fienii*. Tutaj mieściło się Główne Biuro Projektowe, w którym pracowali najlepsi sowieccy inżynierowie, i Koło Przyjaciół Książki, gdzie omawiano wydawnicze nowości (m.in. książkę Bachtina o Dostojewskim), i teatr dramatyczny, i orkiestra symfoniczna (grały tam pierwsze skrzypce filharmonii wiedeńskiej, dyrygowała mama mej znajomej z Sołówek), a także redakcja *Pieriekowki*, posiadającej trzy tysiące siedmiuset pięćdziesięciu *łagkorów*, czyli łagrowych korespondentów, oraz znakomicie zaopatrzona biblioteka, typografia, kino, *atelier*, stadion i muzeum krajoznawcze, którego twórcą był sam Nikołaj Pawłowicz.

W jego wspomnieniach słychać niekiedy nutę nostalgii:

„Być może ze wszystkiego, co tutaj opowiadam, najniezwyklejsze były te nasze ekspedycje naukowe w dni wolne od pracy. Ja sam je organizowałem przez wiele miesięcy, od czasu gdy przywrócili nam wychodne, brałem na swoją odpowiedzialność dwudziestu zeka za pokwitowaniem i wędrowaliśmy kilometrami za łagier, w zależności od celu wycieczki. Archeologią u nas kierował Gorecki. Poszukiwaliśmy resztek ceramiki neolitycznej z charakterystycznymi wzorami, prowadziliśmy badania wykopaliskowe i w taki sposób uzupełnialiśmy zbiory naszego muzeum. To były szczęśliwe godziny, zapominaliśmy o niewoli, rozkoszowaliśmy się surową przyrodą, a przy ognisku czytaliśmy poemat dekabrysty Glinki pod tytułem ‘Karelia’”.

– Dzisiaj niewiele się ostało ze zbiorów Nikołaja Pawłowicza w muzeum Miedwieżegorska. Znaczoną część wywieziono wraz z łagrem, coś przepadło, nieco ukradziono – twierdzi Jewgienij Osipowicz, mój *cicerone*, którego naraiła mi sympatyczna Jelena Jurewna, zarządzająca zbiorami (akredytacja *Kultury* podziałała na nią jak paryskie duchy!!). Specjalnie dla „korespondenta z Paryża” wyzwała przez telefon autora jedynej czynnej wystawy, poświęconej historii Miedwieżej Gory, i do jego przybycia bałamuciła mnie, aż strach... (Przy okazji się dowiedziałem, że ten gmach-widmo, gdzie się znajdujemy, zbudowano pod hotel dla cudzoziemców, którym zamierzali pokazywać Biełbałtąg jako wzorcowy łagier w Sowietach!)

Jewgienij Osipowicz T., na pierwszy rzut oka typowy zapijaczony inteligent z rosyjskiej prowincji, okazał się człowiekiem o maksymalnych horyzontach. Jego wystawa dziejów Miedwieżegorska zaczyna się – ni mniej, ni więcej – tylko od Wielkiego Wybuchu (narysowanego przez Osipowicza tuszem na planszy), od niego bowiem Wszystko się zaczęło. Obok, w gablotach pod szkłem, różne granity, bazalty i anabazy – resztki tegoż Wybuchu. Dalej skorupy ceramik z neolitu (ani paleolit, ani mezolit nie zostawiły tutaj śladów), świadczące o przybyciu plemion ich używających z terenów Oki i Wołgi. Zatem brązowe groty strzał i foty pietroglifów saamskich, kawałek łódki, łuk, i łapcie karelskie, skrawek latopisu z najstarszą wzmianką o Karelach z roku 1143, jakieś gramoty monastyrskie. Moją uwagę zwrócił portret Oziereckowskiego,

pierwszego podróżnika po Oboniezu i tekst pod spodem – strzęp z jego książki, gdzie uczyony opisuje miejsce położenia przyszłej Miedgory: „... a nieco dalej wpadają do jeziora dwie rzeki Kumsa i Wiczka, w pewnej odległości od ujścia tej drugiej, leży porzucona huta żelaza kupca Olchina”

– Pan słyszał o Oziereckowskim? – na licu Jewgienija Osipowicza odmalowało się zdumienie. Kiedy mu powiedziałem, że i owszem, i że od dłuższego czasu szukam „Putieszestwija po ozioram Ładożskomu i Onieżskomu” z 1792 roku, to się zaśmiał i dał mi własny egzemplarz, zamiast przewodnika na dalszą drogę.

W drugiej sali „trzy filary”, na których wzniosła się Miedgora – tartak Zachariewych, droga żelazna i Biełbałtag. Ekspонатów niewiele: kilka pozółkłych fotografii kupców, jak jabłka wiszących na drzewie genealogicznym (rysunek Osipowicza), wycinki ze starych gazet o budowie linii kolejowej do Murmańska i rycina dworca (gdzie w nocy piłem Pilznera), kajło, taczka i kuwadła w kącie, makietka Kanału z tektury, parę numerów *Stalinoskoj trassy* (dawnej *Pieriekowki*), afisze i programy orkiestry symfonicznej teatru NKWD w Miedwieżej Gorze (m.in. z „Pajaców”), ogłoszenie o meczu piłkarskim między miejscowym „Dynamem” i powienieckim „Udarnikiem”, kilkanaście zdjęć zeka i garść drobiazgów bez znaczenia.

Za to trzecia, ostatnia sala – ba! Jak gdyby dalszy ciąg wczorajszej fantasmagorii. Znalazłem się w klasie szkolnej sprzed lat, bo ja wiem, czterdziestu? Ławki z kałamarzami, tablica, jakieś wykresy i mapy na ścianach, globus z ogromną czerwoną plamą ZSSR na pół kuli, znajomy portret Iljicza nad drzwiami, Puszkina i Łomonosowa po bokach. Nagle poczułem krótkie spodenki. Ale najdziwniejsze były dwie wnęki w ścianie za tablicą, jakby dwa niewielkie pomieszczenia, w jednej z nich wnętrze kuchni z lat 60-tych, z kredensem, fajansem i maszyną do szycia na stole, w drugiej pokój z tamtych lat – meblościanka ze sklejki, leżanka, makatka, telewizor i bajan. Okazuje się, że Osipowicz jest belfrem w miejscowej szkole. Proszę usiąść, mówi, powtórzmy ostatnią lekcję historii Miedgory... Nagle się znalazłem w szkole podstawowej numer 66 we Wrocławiu – ta sama ławka z kałamarzem, jeno przykusa nieco, i taże skuczna woń. Czyż

mogłem wtedy pomyśleć, że będę się włóczył po północy Rosji, po wielkich jeziorach Karelii, że przejdę Kanał na jachcie? I że w ogóle jest taki Kanał? Załkała harmonia. Nie, tego już za wiele! Osipowicz siedział we wnęce pokoju, grał na bajanie z zamkniętymi oczami i śpiewał o dzikiej Karelii. Wymknąłem się chyłkiem.

W drodze powrotnej zajrzałem do Uprawnienia Kanału po sąsiedzku. Nad wejściem do budynku sowieckie godło, wewnątrz zapach świeżej kawy. Michaił Jakowlewicz Amigud, naczelnik Kanału, przyjął mnie z otwartymi ramionami. Niedawno słyszał mój wywiad w peterskim radiu i bardzo mu się podobał żart-naśladowanie z Custine’a, że przyjechałem do Rosji jako przeciwnik rabskiego trudu, ale po przeżyciu w niej ośmiu lat nie jestem już taki pewny, iż liberalny *put’* (droga) jest tu lepszy. Sekretarsza wniosła kawę, koniak ormiański i cytrynę. Michaił Jakowlewicz dostał z szafy panczernej wykresy Kanału, z nich wynikało, że największe natężenie ruchu było w latach 1965-1985, później nastąpił spadek do 1996 roku i krzywa znowu poszła w górę.

– A perspektywy na przyszłość?

– Kanał ma się dobrze, a nawet lepiej, chociaż różni diermokraci chcieliby go zamknąć. Niedawno Czubajs się przymierzał, ale Jelcyn powiedział: „Nie myśmy go odkrywali, nie my go będziemy zakrywać”.

Na pożegnanie Michaił Jakowlewicz podarował mi kartę Kanału, tylko poprosił, abym odbiór jej pokwitował jako Dmitriew, kapitan jachtu, bo to do użytku służbowego i cudzoziemcom się nie należy. Po południu wyszliśmy z Miedgory. Nasza tropa pobiegła po Oniego, przecinając jezioro z północnego na południowy kraniec. Słońce paliło jak wściekłe.

Mariusz WILK

Polska: wczoraj, dziś i jutro

Wiek XX dobiegł kresu. Polska, zmartwychwstała w 1918 roku po długim okresie rozbiorów, ma 82 lata. Na skali historii to niewiele, a jednak w ciągu tych ośmiu dziesięcioleci zmieniło się tak wiele: granice i kształt państwa, ustrój polityczny i sojusze, skład etniczny i struktura społeczeństwa, system gospodarczy i standard życia Polaków. W tym niedługim czasie zamknęły się dzieje Drugiej Rzeczypospolitej i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (PRL), i rozpoczęła się historia Trzeciej Rzeczypospolitej w świecie jakże innym aniżeli ten, w którym toczyły się dzieje jej poprzedniczek.

Pierwsze dwudziestolecie nowego bytu Polski to budowa fundamentów państwa. W stosunkowo krótkim czasie Druga Rzeczypospolita dokonała politycznej i gospodarczej integracji ziem, które przez długie lata pod rządami trzech zaborczych mocarstw coraz bardziej oddalały się od siebie. Stworzyła jednolity system zarządzania państwem, wojsko, policję, sądownictwo, sieć edukacji, służbę zdrowia, zbudowała ogólnopolski system monetarny, podatkowy, celny, bankowy, ubezpieczeniowy i wiele instytucji o państwowym znaczeniu. Jeśli uświadomimy sobie, że jeszcze w 1920 roku walczyliśmy o nasz byt państwowy, to trzeba te dokonania uznać za wielki sukces i pochylić czoła przed jego twórcami.

Niestety Drugiej Rzeczypospolitej nie udało się zmniejszyć luki gospodarczej pomiędzy naszym krajem a Europą Zachodnią. W końcu międzywojennego dwudziestolecia gospodarka polska znajdowała się pod względem wielkości globalnej produkcji na poziomie niewiele odbiegającym od poziomu 1913 roku (ziemie polskie), podczas gdy uprzemysłowo-

wione kraje europejskie znacznie przekroczyły rozmiary swej przedwojennej produkcji. Ponieważ zaś tempo naturalnego przyrostu ludności było w Polsce (zwłaszcza na obszarach wiejskich) o wiele wyższe aniżeli w niemal wszystkich uprzemysłowionych krajach europejskich, a możliwości emigracji były bardzo ograniczone, dystans gospodarczy dzielący nas od Europy Zachodniej, mierzony wielkością produkcji na głowę mieszkańca, powiększył się w przeciągu międzywojennych dwudziestu lat. Również odziedziczone po przeszłości wielkie zróżnicowanie w dochodach i poziomie życia poszczególnych grup ludności i regionów kraju nie uległo zmniejszeniu, a ogólnoswiatowy kryzys gospodarczy lat 1929-1933, którego skutki Polska odczuła boleśnie, nawet pogłębił i zaostrzył te nierówności w przekroju socjalnym i przestrzennym.

Zmniejszenie dystansu gospodarczego dzielącego nas od Europy Zachodniej nastąpiło w wyniku drugiej wojny światowej i decyzji zwycięskiej koalicji wyznaczającej nowe granice Polski.

Oddano Związkowi Sowieckiemu zacoferane gospodarczo województwa wschodnie, zamieszkałe przez ludność w większości biedną, a uzyskaliśmy na zachodzie i północy kraju ziemie zamożniejsze, o bez porównania większym potencjale gospodarczym. Równocześnie ludność Polski zmniejszyła się w stosunku do 1939 roku o około 11 milionów. Wskutek tych zmian zwiększył się zarówno majątek jak i produkt narodowy, przypadający na głowę mieszkańca. Z szacunków wykonanych w 1949 roku przez Sekretariat Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ, którym kierował znakomity ekonomista szwedzki Gunnar Myrdal, wynika, że luka dzieląca nas od uprzemysłowionej Europy Zachodniej (bez Niemiec i Austrii), mierzona wielkością dochodu narodowego na głowę mieszkańca, była w 1948 roku o około 25% mniejsza aniżeli w 1938 roku.

Przesunięcie granic i uprzemysłowienie kraju, forsowane przez PRL, przyniosły wielkie zmiany w strukturze społecznej. Według spisu z 1931 roku mieszkańcy wsi stanowili aż 73% ogółu ludności Polski, a w 1970 roku już tylko niecałe 48% i odsetek ten zmniejszał się w dalszym ciągu, choć w wolniejszym tempie. Tej przemianie demograficznej towarzyszyły: szybka likwidacja analfabetyzmu, rozbudowa szkolnictwa,

opieki przedszkolnej, sieci placówek oświatowo-kulturalnych, służby zdrowia, Sfinansowanie uprzemysłowienia i rozbudowy infrastruktury socjalnej były możliwe przy bardzo niskich płacach i stosunkowo dużej akumulacji, która pozostawała w kraju. Lata 50-te i 60-te to okres gospodarki ekstensywnej, w której szybki wzrost mocy produkcyjnych i rozmiarów produkcji zależał w dużym stopniu od powiększania zatrudnienia, często nisko kwalifikowanej siły roboczej, jakiej wówczas nie brakowało w Polsce. Kiedy jednak w latach 70-tych na Zachodzie zakończył się okres energo- i materiałochłonnego wzrostu gospodarczego, opierającego się na taniej ropie naftowej, a na scenę gospodarczą wkroczyły przemysły „wysokiej techniki”, coraz bardziej nasycone elektroniką i informatyką, system ekonomiczny realnego socjalizmu, ukształtowany w okresie prostej, ekstensywnej gospodarki i ciężkiego przemysłu masowej produkcji, funkcjonujący w zamkniętym obszarze krajów RWPG, nienadążający za światowym postępem technicznym, pozbawiony dynamizmu innowacyjnego, przedsiębiorczości i elastyczności, stanął wobec konieczności otwarcia się na dopływ zachodniej wysokosprawnej, wydajnej technologii i podjęcia ograniczonych reform gospodarczych. Jednakże polska próba modernizacji przy pomocy zachodnich kredytów i importu technologii zawiodła. Zabrakło niezbędnej wiedzy i doświadczenia (*know-how*), a centralnie zarządzana, nieelastyczna, niewrażliwa na sygnały światowego rynku gospodarka polska nie była w stanie zapewnić eksportu, który mógłby dostarczyć środków na spłatę zaciągniętych kredytów. Koniec lat 70-tych przyniósł załamanie, a fala strajków i wielkie zakłócenia w funkcjonowaniu gospodarki lat 80-tych dramatycznie pogorszyły sytuację gospodarczo-społeczną kraju i spowodowały długotrwały regres. Poczynając od 1979 roku dystans gospodarczy pomiędzy Polską i Europą Zachodnią powiększał się gwałtownie, nie tylko niszcząc sukces drugiej połowy lat 40-tych (zmniejszenie luki gospodarczej po przesunięciu granicy), lecz osiągając wymiar dużo większy aniżeli ten z czasu Drugiej Rzeczypospolitej.

Ostatnie dziesięciolecie XX wieku przyniosło wielki przełom. Upadł system komunistyczny, a w Polsce raczej „realny socjalizm”. Rozpadły się Związek Sowiecki i Rada Wzajemnej

Pomocy Gospodarczej (RWPG). Polska stała się członkiem, uczestnikiem światowego systemu kapitalistycznego. Nie jest to kapitalizm okresu Drugiej Rzeczypospolitej. Tamten był kapitalizmem gospodarek narodowych, operujących zespołem instrumentów, mechanizmów i instytucji, które suwerenne państwo mogło wykorzystać i wykorzystywało dla zabezpieczenia interesów narodowych. Kapitalizm, do którego włączyła się w 1989 roku Trzecia Rzeczpospolita, jest systemem globalnym, transnarodowym, ograniczającym coraz bardziej suwerenność państwa. Ten kapitalizm nie zamyka się w ramach gospodarek narodowych poszczególnych państw; sceną jego działania jest cały świat bez granic. Dziś, po swym historycznym zwycięstwie, jest bez konkurencyjnej alternatywy. To on pokonał komunizm, dostarczył Zachodowi najnowocześniejsze technologie i najsprawniejszy sprzęt produkcyjny, zbudował potęgę gospodarczą i zapewnił przewagę militarną Zachodu, a przede wszystkim Stanów Zjednoczonych nad Związkiem Sowieckim, wykazał dynamizm i znakomicie wyższą sprawność i efektywność gospodarczą, wobec której system realnego socjalizmu musiał skapitulować.

W 1989 roku Polska stała się uczestnikiem właśnie tego systemu kapitalistycznego i to on będzie wpływał na jej dalsze dzieje. Zarówno „wyłączenie się” Polski z realnego socjalizmu, jak i jej „włączenie się” do systemu globalnego kapitalizmu nie nastąpiło bezboleśnie. Procesowi temu towarzyszył w latach 1980-1991 głęboki regres gospodarczy, który dramatycznie pogorszył kondycję gospodarczą Polski, a o jego rozmiarach i nasileniu może świadczyć fakt, że dopiero w połowie lat 90-tych odbudowany został poziom produkcji z końca lat 70-tych.

Wzrost gospodarczy, który nastąpił po tym długim okresie załamania, a poczynając od 1993 roku osiągnął tempo znacznie wyższe aniżeli w krajach Europy Zachodniej, otwiera, zdaniem wielu polityków i działaczy gospodarczych, jasną przyszłość dla Polski, zwłaszcza jeśli zostanie zabezpieczony oczekiwanym pełnym uczestnictwem naszego kraju w Unii Europejskiej. Opinie o polskiej gospodarce światowych instytucji finansowych i prestiżowych, wpływowych agencji, oceniających osiągnięcia poszczególnych krajów, są pozytywne, często wręcz bardzo pochlebne, a Polska

uznawana jest jako najbardziej dynamiczny kraj obszaru przechodzącego przez proces transformacji gospodarczej.

Na przebytą przez Polskę drogę w okresie ostatnich 82 lat spogląda dziś kilka pokoleń. Ci, którzy przeżyli swą młodość w Drugiej Rzeczypospolitej, wiedzą z autopsji, że pomimo kryzysów i załamania jakich doznała gospodarka polska, standard życia obywateli Polski roku 2000 jest wyższy aniżeli tych z okresu międzywojennego. Młodsze pokolenia mogą się o tym przekonać z roczników statystycznych, wspomnień ich rodziców i dziadków, a nawet literatury obrazującej życie lat 20-tych i 30-tych. Lecz wyraźna poprawa poziomu życia Polaków w ciągu tych ośmiu dziesięcioleci nie oznacza jednak zmniejszenia dystansu gospodarczego i cywilizacyjnego dzielącego nas od Zachodu, który w tym czasie nie stał w miejscu, lecz rozwijał się szybciej niż Polska; oddalał się od nas. Rozmiarów narosłej luki gospodarczej nie sposób ocenić i ująć w formie jakiejś jednej syntetycznej liczby. Warto może jednak przytoczyć tu parę wskaźników, które ilustrują raczej kierunek i nasilenie negatywnych zmian w minionym okresie aniżeli ich dokładne rozmiary. Według danych opublikowanych w Roczniku Statystycznym Głównego Urzędu Statystycznego RP, w roku 1929 wartość produkcji rolniczej, górniczej i przemysłowej na głowę ludności była w Polsce 2,9 razy mniejsza niż w rozwiniętej gospodarczo Europie Zachodniej. Oceny dystansu gospodarczego pochodzące z innych źródeł potwierdzają, że przed drugą wojną światową nie przekraczał on relacji 1:3 lub kształtował się w jej pobliżu. A w końcu XX stulecia dystans ten mierzony wielkością produktu krajowego brutto na głowę mieszkańca osiągnął relację 1:6. Może warto jeszcze wspomnieć tu o kształtowaniu się wskaźnika eksportu na głowę mieszkańca, który ilustruje sprawność gospodarki narodowej. Otóż w 1928 roku był on w Polsce prawie sześciokrotnie mniejszy aniżeli w grupie rozwiniętych krajów zachodnioeuropejskich, a w końcu XX stulecia już ponad dziewięciokrotnie mniejszy.

Można dyskutować techniczne szczegóły tych ocen i porównań, można spierać się co do przyczyn, które spowodowały taki stan rzeczy, lecz trzeba uznać fakt historyczny: u kresu XX wieku dystans gospodarczy dzielący Polskę od Europy Zachodniej jest większy aniżeli dystans z czasu Drugiej

Rzeczypospolitej, i to pomimo przesunięcia granicy państwa na zachód, co zwiększyło nasz majątek narodowy i potencjał produkcyjny.

Na tle światowych trendów gospodarczych ten relatywny regres gospodarczy Polski nie jest czymś niezwykłym i zaskakującym. Nierówności gospodarcze i społeczne pomiędzy krajami wysoko rozwiniętymi a gospodarczo słabymi i zacofanymi powiększały się przez ostatnie stulecie. A w okresie globalizacji gospodarki światowej trend narastania nierówności uległ przyspieszeniu. Tak np. w 1960 roku 20% ludności świata, zamieszkujące najbogatsze kraje, uzyskało dochód 30 razy większy aniżeli 20% ludności krajów najuboższych, a w 1997 roku już 74 razy większy.

Lecz ta historia rosnących nierówności zna wyjątki. Niektórym słabo rozwiniętym krajom, zarówno w Europie jak i poza nią, udało się znacznie zmniejszyć dystans gospodarczy, oddzielający je od grupy krajów najbogatszych, a nawet w nielicznych przypadkach zostały one członkami klubu zamożnych. Czy Polska ma szansę przedłużyć tę krótką listę wyjątków? Wszelkie porównania z doświadczeniami i sukcesami innych krajów, osiągniętymi w przeszłości, nawet stosunkowo nieodległej, tracą dziś sens wobec szybkości i zakresu zachodzących przemian gospodarczych, technologicznych i organizacyjnych, przebiegających na tle demograficznym, które również ulega zmianom o bardzo istotnym znaczeniu dla wzrostu gospodarczego. Dlatego zamiast podejmować beznadziejną próbę odpowiedzi na postawione wyżej pytanie, może ograniczymy się do zarysowania kluczowego, gwałtownie narastającego problemu społecznego, który będzie mieć decydujące znaczenie dla procesu wzrostu gospodarczego w Polsce. Tym problemem jest szybko postępująca polaryzacja społeczna i marginalizacja coraz większej części społeczeństwa. Zjawiska te zarysowały się w Polsce wyraźnie już w latach 90-tych na skutek procesu transformacji, restrukturyzacji oraz przejścia części majątku narodowego, wytworzonego wysiłkiem milionów ludzi, przez ograniczoną liczbę przedsiębiorczych obywateli. A dalsze wielkie przemiany gospodarcze, techniczno-organizacyjne i demograficzne będą w nadchodzących dziesięcioleciach gwałtownie pogłębiać różnicowanie się społeczeństwa.

Polska, chcąc modernizować swą gospodarkę, będzie w coraz większym stopniu coraz intensywniej włączać się do transnarodowej sieci gospodarki globalnej, która dysponuje właśnie tym, co Polsce jest dla modernizacji niezbędne, tzn. kapitałem, nowoczesną techniką i organizacją, praktyczną wiedzą (*know-how*), jak również kontroluje w coraz szerszym zakresie dostęp do globalnego rynku światowego. Oceniając dotychczasowy napływ kapitału i zagranicznych inwestycji do Polski, przedstawiciel jednego z potężnych banków zachodnich, odpowiedzialny za współpracę z największymi klientami na terenie Europy Środkowej i Wschodniej, stwierdził krytycznie w wywiadzie prasowym (styczeń 2000): „Historia gospodarcza nie zna kraju o średnich rozmiarach i 40-milionowej ludności, tak szybko zdominowanego przez strategicznych inwestorów zagranicznych”. Wydaje się jednak, że błędem nie jest szybki dopływ obcego kapitału i tzw. bezpośrednich inwestycji zagranicznych, lecz traktowanie przez stronę polską tego dopływu wyłącznie jako sposobu finansowania potrzeb budżetu państwa i wyrównywania ujemnego salda obrotów zagranicznych, wynikającego z rosnącej nadwyżki importu nad niewydolnym eksportem. Każda transnarodowa korporacja, wchodząc na polski rynek, ma jasno wytyczone cele i działa zgodnie ze swoją strategią globalną, regionalną i krajową, ma sprawną organizację dla realizacji tych strategii i oddane swym interesom kadry zarządzające. Polska nie ma ani długookresowej strategii rozwoju gospodarczo-społecznego i udziału w nim zagranicznych inwestycji, ani elit politycznych, administracyjnych i gospodarczych, zdolnych do zabezpieczenia nadrzędnego interesu polskiego państwa i społeczeństwa. I dlatego Polska nie będzie w stanie wykorzystać możliwości jakie stwarza globalizacja, lecz odczuje w pełni jej negatywne konsekwencje społeczne. Scenariusz zagrożeń rysuje się dość wyraźnie.

Uczestnictwo i coraz większe zaangażowanie Polski w globalnej gospodarce światowej, której głównymi aktorami są potężne transnarodowe korporacje, będą narzucać naszej gospodarce konieczność dostosowania się do zasadniczych reguł, wymagań i cech transnarodowej produkcji, wymiany i finansów. Jak wskazuje doświadczenie, nowoczesna technika i organizacja, stosowane przez transnarodowe korporacje, ich

rozsiarne na całym świecie filie i ich kooperantów, jak również przez uzależnione od nich i kontrolowane lokalne przedsiębiorstwa, prowadzą do coraz szerszego zastępowania pracy ludzkich mięśni i mózgow przez wysokosprawną sprzęt techniczny, nasycony coraz potężniejszym ładunkiem wiedzy i informacji. Efektem tego jest ograniczanie ilości miejsc pracy, zwłaszcza tej niskokwalifikowanej. Wzrost gospodarczy nie wymaga wzrostu zatrudnienia (*jobless growth*), lub wymaga go coraz mniej. W warunkach polskiej transformacji gospodarczej ten typ wzrostu będzie utrudniał rozwiązywanie dramatycznych problemów społecznych, towarzyszących restrukturyzacji i modernizacji, zwłaszcza górnictwa, hutnictwa i rolnictwa. To prawda, że inwestycje transnarodowych korporacji na terenie Polski przynoszą w pierwszej fazie zatrudnienie, a w wielu przejmowanych sprywatyzowanych przedsiębiorstwach inwestorzy zwykle zobowiązują się do utrzymania stanu zatrudnienia na niezmiennym poziomie przez kilka lat, lecz w drugiej fazie pojawia się zdecydowana tendencja do jego ograniczania i redukcji, zgodnie z ogólnoswiatowym trendem, który zmierza do zastępowania człowieka wysokosprawną maszyną i do obniżania w ten sposób kosztów produkcji, co jest warunkiem utrzymania się na konkurencyjnym, globalnym rynku światowym i powiększania w nim swego udziału. W pewnych zaś przypadkach inwestorzy zagraniczni, po przejęciu za stosunkowo niską cenę sprywatyzowanych przedsiębiorstw polskich, będą ograniczać ich produkcję, a nawet unieruchamiać je, aby zmniejszyć podaż konkurencyjną wobec własnej produkcji z zachodnich zakładów, często dysponujących nadmiarem mocy produkcyjnych. A otwarcie gospodarki polskiej na świat ujawniło już, i będzie jeszcze przez jakiś czas ujawniać, niezdolność wielu przedsiębiorstw do sprostanienia konkurencji ze strony transnarodowych korporacji.

Często można spotkać się z poglądem, wspieranym doświadczeniem amerykańskim, że pracownicy eliminowani z przemysłu przez nowoczesną technikę i organizację, zostaną zatrudnieni w rozwijającym się dynamicznie sektorze usług. Wydaje się, że ten optymistyczny pogląd nie znajdzie potwierdzenia w warunkach polskich. To prawda, że w Stanach Zjednoczonych sektor usług wchłonął milionowe rzesze

zwolnionych z przemysłu lub zupełnie nowych pracowników, lecz model amerykański nie jest wzorcem dla Polski, kraju o zupełnie innej strukturze społeczeństwa i gospodarki. W Polsce około 38% ludności mieszka na wsi, a 27% ogółu pracowników jest zatrudnionych w rolnictwie i wytwarza zaledwie 6% globalnej produkcji kraju, co oznacza bardzo niską siłę nabywczą ludności wiejskiej. Jeżeli do tego dodamy wielką rzeszę emerytów i rencistów, otrzymujących niskie świadczenia i bezrobotnych, to okaże się, że większa część polskiego społeczeństwa nie stanowi potencjalnych nabywców bogatego i zróżnicowanego asortymentu usług, dla których w Stanach Zjednoczonych istnieje olbrzymi, chłonny rynek. A tymczasem nowoczesna technika i organizacja, wzbogacane niesłychanie szybko rozwijającą się informatyką, wkraczają coraz szerszym frontem do usług i tam również wypierają człowieka. To nie tylko małe sklepy z ich personelem są eliminowane przez potężne transnarodowe supermarkety, lecz sieć internetowa zaczyna w krajach rozwiniętych przejmować w coraz szerszym zakresie funkcje handlu detalicznego i innych usług (np. bankowość), a ostatnio można zaobserwować tam szybki rozwój elektronicznych transakcji między przedsiębiorstwami. Te przemiany zapowiadają ograniczanie liczby pracowników, wykonujących dotychczas swe funkcje w ramach tradycyjnych struktur i technik operacyjnych. Oczywiście to wszystko nie znaczy, że w Polsce sektor usługowy nie będzie rozszerzał się, lecz nie wydaje się aby mógł on stać się odpowiednio dużym rezerwuarem absorbującym zbędnych pracowników z innych sektorów gospodarki i nową siłę roboczą wkraczającą na rynek pracy.

Zarysowane tu społeczne konsekwencje procesu wzrostu gospodarczego w epoce globalizacji będą nakładać się na już istniejące specyficzne polskie problemy socjalne, przede wszystkim zacofanego rolnictwa i ulegającego restrukturyzacji górnictwa. A spoglądając w przyszłość, nie można pominąć wpływu zmian demograficznych, a przede wszystkim procesu starzenia się społeczeństwa, na kondycję gospodarczo-społeczną Polski. Już w drugim dziesięcioleciu XXI wieku liczba ludzi starych stanowić będzie niemal jedną czwartą ogółu ludności kraju, a na 100 osób w wieku produkcyjnym przypadać będzie w 2020 roku aż 35 osób starszych, podczas

gdym w 2000 roku było ich 24. Ten 45% bardzo szybki wzrost oznacza olbrzymie obciążenie gospodarki narodowej, budżetu państwa i służby zdrowia problemem starości w krótkim czasie 20 lat. Pewna ograniczona liczba emerytów, którzy zarabiali stosunkowo dobrze, będzie mogła zapewnić sobie jakąś godziwą emeryturę w niedawno powstałych prywatnych funduszach emerytalnych i niezbędną pomoc medyczną. Natomiast sytuacja przeważającej części starego społeczeństwa, w zasadniczej mierze zależna od budżetu państwa i państwowej służby zdrowia, prawdopodobnie znacznie pogorszy się zarówno w wymiarze finansowym (realna siła nabywczą emerytur i rent), jak i rzeczowym (opieka zdrowotna), co przyczyni się do poszerzenia i pogłębienia marginalizacji społeczeństwa. Warto tu dodać, że niedawno powołane do życia prywatne fundusze emerytalne będą lokować powierzone im zasoby finansowe w akcjach i domagać się od przedsiębiorstw i giełdy coraz wyższej dywidendy od nabytych akcji, czyli powiększania zysku, co w praktyce oznacza przede wszystkim obniżanie kosztów produkcji, a więc zastępowanie człowieka coraz bardziej wydajną maszyną i coraz bardziej sprawną organizacją, wykorzystującą możliwości, jakie stwarza elektronika.

Tak więc wiele sił, zarówno tych zrodzonych z ogólnoswiatowych trendów, jak i tych o specyficznie polskim charakterze, będzie oddziaływać w kierunku nasilania społecznej polaryzacji, powodując coraz bardziej dramatyczne i groźne zmiany piramidy reprezentującej strukturę polskiego społeczeństwa.

Na górze tej piramidy będzie znajdować się stosunkowo nieduża grupa ludzi przedsiębiorczych, ambitnych, mobilnych, na ogół dobrze lub bardzo dobrze wykształconych, rozumiejących zachodzące przemiany i umiejących przystosować się do szybko zmieniającej się rzeczywistości, poruszających się z łatwością w elektronicznej sieci, dysponujących bieżącą informacją, często powiązanych ze światem polityki, utrzymujących stosunki profesjonalne i osobiste z zagranicą, uzyskujących dobre lub znakomite dochody ze swej działalności czy pracy najemnej. Będą oni wspierać partie i polityków, dążących do obniżenia podatków (podatek liniowy), aby móc odprowadzać jak najmniejszą część swych dochodów do

budżetu państwa, a korzystać z usług prywatnego sektora dla siebie i swojej rodziny (edukacja dzieci, zdrowie, ubezpieczenie, ubezpieczenia).

Na szerokim dole tej piramidy będzie rozciągać się wielka rzesza ludzi zmarginalizowanych, biednych od urodzenia lub zbiedniałych w czasie swego życia, nieprzygotowanych technicznie (wiedza) i finansowo do włączenia się i poruszania w nowej rzeczywistości, raczej oczekujących na ofertę i zabezpieczoną, rutynową pracę, niemobilnych, pozostających poza siecią informatyczną, niechętnych wobec zmian, jakie niesie współczesna cywilizacja i globalizacja gospodarki. Ta grupa będzie obejmować dużą część mieszkańców wsi, emerytów i rencistów otrzymujących bardzo niskie świadczenia (wraz z ich małżonkami), ludzi zwolnionych z pracy w wyniku restrukturyzacji gospodarki i administracji bez odpowiedniego wsparcia finansowego i nie posiadających kwalifikacji do wykonywania innego zawodu, długookresowych bezrobotnych, bezdomnych, itd. Powstanie wielkie niebezpieczeństwo, że młodociani członkowie tej grupy (np. dzieci bezrolnych mieszkańców wsi) utracą szansę wydobyć się z niej na skutek biedy swych rodziców i braku dostępu do wiedzy i informacji, niezbędnych dla przesunięcia się w górę piramidy społecznej. Takie nieuchronne dziedziczenie biedy i nieszczęścia nie tylko naruszałoby fundamentalną zasadę demokracji, jaką jest równość szans obywateli, lecz zagrażałoby funkcjonowaniu społeczeństwa.

Pomiędzy niewielką „górną” grupą i rozległą „dolną” grupą piramidy społecznej lokuje się grupa pośrednia, zróżnicowana, której członkowie będą starali się dołączyć do górnej grupy zwycięzców i bronić przed degradacją, spadkiem do dolnej grupy przegranych i nieszczęśliwych, co jednak nie wszystkim się uda.

Uczestnicy szczytowej grupy piramidy społecznej będą czuli się bardziej bliscy uczestnikom takich samych grup w krajach zachodnich, aniżeli swym rodakom należącym do dolnej grupy biedaków. Będą wobec nich coraz bardziej niechętni, uważając, że obciążają oni ich budżet, są wielkim balastem społecznym. A wśród członków dolnej grupy będzie narastać poczucie opuszczenia ich przez państwo, pozbawienia wszelkich korzyści wzrostu gospodarczego przechwytywanych

przez „górną”, a co gorsze, zawiść i wrogość wobec tych, którym „udało się”. Niektórzy uczestnicy dolnej grupy piramidy, pogrążeni w biedzie i beznadziejności, dotychczas zrezygnowani i politycznie bierni, mogą nagle zagrozić demokracji swą kartką wyborczą, gdy pojawi się charyzmatyczny lider populistyczny, obiecujący im lepsze jutro. Lecz najbardziej agresywnymi w walce o swe żywotne interesy będą ci z dołu piramidy, którzy mieli pracę i godziwy zarobek, lecz utracili je i czują się opuszczeni przez państwo i społeczeństwo, a także ci ze środka piramidy, którym grozi utrata pracy, zarobku i stoczenie się na dół piramidy. To oni będą najbardziej zagrażali ładowi, porządkowi, funkcjonowaniu państwa, społeczeństwa i gospodarki. Rozszerzająca się i pogłębiająca polaryzacja i marginalizacja społeczna będą prowadziły do konfliktów społecznych i coraz groźniejszych wybuchów niezadowolenia, rozpaczy i nienawiści, destabilizujących państwo i system demokratyczny, uniemożliwiających kontynuowanie procesu wzrostu gospodarczego, wyniszczających gospodarkę narodową.

Jest rzeczą naturalną, że martwimy się przede wszystkim tym, co dotyczy nas, naszego kraju, naszego społeczeństwa. Ale globalizacja niesie wyzwania całemu światu, nie tylko Polsce. Strategiczne decyzje gospodarcze, inwestycyjne i finansowe wpływające na losy państw i społeczeństw, podejmowane są przez coraz potężniejsze megakorporacje, kierujące się swym nadrzędnym celem, jakim jest maksymalizacja zysku. Nie zajmują się one społecznymi skutkami swych decyzji. Pozostawiają to państwu. A państwo, coraz bardziej ograniczane w swej suwerenności, w swych możliwościach działania, staje się coraz bardziej bezradne wobec narastających wyzwań.

Może wraz z rozwojem i umacnianiem globalnej gospodarki światowej powstanie globalna struktura polityczna zdolna zarządzać światem? Ale czy taki światowy rząd byłby w stanie zapewnić suwerenność swej władzy i sprostać ogromowi i różnorodności społecznych problemów dziesięciu miliardów mieszkańców planety w XXI stuleciu, którzy przez wieki żyli w swych odrębnych strukturach polityczno-społecznych, w swych wspólnotach posiadających własną historię, język, religię, tradycję, obyczaj, kulturę i tak bardzo różniących się poziomem rozwoju cywilizacyjnego i

gospodarczego? A może bardzo prawdopodobny krach finansowy, a w jego następstwie kryzys gospodarczy o dramatycznych konsekwencjach społecznych w skali światowej, przywróci władzę państwu, jako jedynej politycznej strukturze organizacyjnej, zdolnej do zapewnienia ładu i realizacji celów wspólnot ukształtowanych przez długie wieki? A może...

Nie próbujemy zgadywać jak potoczy się historia, bo ona zrealizuje swój własny scenariusz, jakże inny od tego, który napisalibyśmy przy dzisiejszym stanie naszej wiedzy i techniki, dzisiejszym pojmowaniu i postrzeganiu świata.

Stanisław FICOWSKI

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Wiersze

Remigiusz GRZELA

idziesz
gdzie bramy
na wół otwarte
między tu i tam
idziesz by zniknął
pomiędzy

dwoje na ławeczce
jak teatralna dekoracja
nieruchomi
wpatrzeni w siebie
bezszelestni
przysypani liśćmi
nie wstaną
nie ukłonią się
nie zejdu z sceny
za starzy do tych ról

a na gałęzi
nad nimi
gołąb i gołębicą
czekają...

- Remigiusz GRZELA

Wojciech KAWIŃSKI

DUCHY NA JAWIE

głos, śpiew
z radia próbuje mnie czarować, ale jestem
bardzo odporny;

kos
przecina powietrze swoim gwizdem, lekko
poruszają się liście tego drzewa;

z ekranu
wieje grozą, rytmicznie przesuwane obrazy
komponują się z dźwiękiem ulewy;

w buszu
wielkiego miasta świecą ognie końca wieku,
słysząc wosk topniejący * * *

we włosach sekund; samoloty lecą w dal bezpowrotną,
trwa porozumienie; duchy kontynentów bronią się samotnie...

II 2000

WERSY BEZ TYTUŁU

rządzi nami
polityka i instynkt; brudne
potrzeby i subtelne głupstwa –

świat prywatny (a nie
instynkt publiczny) zawładnął
przeważając mniejszością –

z drugiej strony
wiatr podwiewa sukienki, wysokie
trawy i statystyczną obojętność –
aby to zrozumieć
musimy myśleć jak hans magnus
z furią, racjonalizującą anarchię i postęp –

będzie nie to
co ma być; ale lądujące bezustannie
wydarzenia, samoloty, martwe cyfry, wizje...

IV 2000

Wojciech KAWIŃSKI

Halszka OLSIŃSKA

* * *
sztychem bomby
przeięta na pół
chwila już nie
zrodzi następnej
skona w aureoli
łuny nad miastem
dzieląc los kropli
wody mleka krwi
przemieszczonych do
bezużytku pychy
ludzi rojących
sny o sprawiedliwości

Halszka OLSIŃSKA

Mira KUŚ

WIERZBA

J.G.

Nowy, świąteczny but, który otarł mi piętę
 wychynał z pamięci po latach,
 kiedy siedząc na polnym kamieniu,
 na skraju ścieżki, wytrzępywałam drobne kamyki
 z mokasynów. Kaczeńce, jak przed laty, żółciły się na bagnach
 pod ciepłym okiem pastelowej wiosny
 i w bezlistnym zagajniku rześki gwizd kosa
 budził ospałe serca. Zielone, skórkowe czótenko,
 jedno z tych, które mama kupiła dla mnie
 z okazji święcenia Wielkanocy, wyniesione na powierzchnię
 pamięci

zdało się wyraźnie świadczyć,
 że w głębi, pod lustrem dzisiejszego dnia,
 czas mego dzieciństwa puchnie i podnosi się ku
 terazniejszości.

Kiedy uniosłam głowę, słońce miało się już ku zachodowi
 i powietrze było zimne.

Brodząc po pas w latach minionych
 ocknęłam się wierzwą, w delikatnych objęciach
 przedwieczornej mgły.

Pamiętam, że pąki zwiniętych w sobie baziów jutro –
 w ciepłe wiosenne słońca – nadstawią swe kosmate ucha
 na jasnoliliowe dzwoneczki lata.

LILIE ROSNĄ WYSOKO

lilie rosną wysoko
 lecz ich zapach
 rozchwiewa spójność umysłu

i wyzwala
 głęboko pogrzebane słowa
 – bladuróżowe płatki
 kwitnącej jabłoni pieszczą oczy
 usta słowa tak ciche
 że tylko widać mgielkę
 na porannych liściach

słowa czułe jak słowa
 i delikatne jak słowa
 które drzemią w opuszkach palców
 i na dnie rozmiłowanych oczu

Mira KUŚ

Wywiady „Kultury”

O problemach nauki w Polsce

(Z MINISTREM NAUKI, PRZEWODNICZĄCYM
KOMITETU BADAŃ NAUKOWYCH, PROF.
ANDRZEJEM WISZNIEWSKIM ROZMAWIA
HENRYK RATAJCZAK)

Henryk RATAJCZAK: *W ostatnim roku ukazało się w Kulturze kilka artykułów i wywiadów poświęconych sytuacji nauki w III RP. Wynika z nich mizéria i to zarówno finansowa, jak i organizacyjna. Jak Pan Minister ocenia stan i poziom nauki w Polsce w stosunku do innych państw europejskich?*

Andrzej WISZNIEWSKI: Sądzę, że większość wypowiedzi na temat sytuacji polskiej nauki przyjmuje perspektywę utrudniającą bezstronną ocenę. Bywa to często albo „propaganda sukcesu”, w stylu: „Polak potrafi”, albo – i obecnie znacznie częściej – „propaganda klęski”, głosząca umieranie polskiej nauki z finansowego niedożywienia. Na dodatek lubimy porównywać się do najbogatszych krajów świata zapominając, że kontekstem wszystkich takich porównań winien być produkt krajowy brutto (PKB) liczony na głowę mieszkańca. Dodam, że dla rzetelności porównań dobrze jest operować dolarami amerykańskimi, z uwzględnieniem parytetu siły nabywczej (\$ PPP). Przy takim przeliczeniu 1 \$ PPP jest równy w przybliżeniu 2 zł. Za „zwykłego” dolara trzeba w banku zapłacić ponad 4 zł.

Przy takim przeliczeniu polski PKB *per capita* wynosi

niedużo ponad 8.000 \$ PPP, podczas gdy większość krajów Unii Europejskiej przekracza 20.000 \$ PPP. Prawda jest taka, że gdy wejdziemy do Unii, będziemy w niej relatywnie najuboższym krajem. Nawet Czesi i Węgrzy mają PKB *p.c.* półtora razy większy, niż Polska.

Nakłady na naukę pochodzą z dwóch źródeł: z budżetu Państwa (czyli z kieszeni podatników) i z instytucji gospodarczych. W Polsce całość nakładów – czyli tzw. GERD (*Gross Expenditures on Research and Development*) wynosi ok. 0,76% PKB. Przy czym 0,45% PKB czyli blisko 2/3 tych nakładów pochodzi z budżetu. Z krajów europejskich nie znam żadnego, w którym przy PKB poniżej 20.000 \$ PPP *p.c.* nakłady budżetowe wyrażane jako procent PKB byłyby większe. Te 20.000\$ tworzy dziwną granicę: Kraje sytuujące się powyżej, finansują naukę szczerze, kraje będące poniżej – finansują skromnie, właśnie tak, jak Polska.

Natomiast nieco inny obraz uzyskujemy, jeśli przeliczymy nakłady na 1 pracownika naukowego. Wówczas, z naszymi ok. 40 tys. \$ PPP na jednego naukowca, spadamy niemal na samo dno międzynarodowych porównań i to z trzech względów. Po pierwsze, o czym już wspominałem, nasze PKB jest bardzo niskie. Po drugie, mamy stosunkowo bardzo liczną kadrę pracowników naukowych – ok. 0,32% wszystkich zatrudnionych, w przeliczeniu na ekwiwalentny czas pracy. (Jest to na poziomie krajów znacznie od nas zasobniejszych, takich jak Hiszpania, Włochy czy Austria.) Wreszcie po trzecie, o czym już była mowa, ze względu na niskie finansowanie prac badawczo-rozwojowych przez jednostki gospodarcze. W krajach rozwiniętych, 2/3 środków na badania pochodzi z tych instytucji. W Polsce tylko 1/3. I te trzy czynniki powodują, że nasi naukowcy czują się zapomniani przez polityków, ustalających corocznie budżet państwa.

Natomiast pozycja naszej nauki, jeśli mierzyć ją liczbą publikacji odnotowanych w międzynarodowej filadelfijskiej bazie danych, jest całkiem niezła. Zajmujemy 21. miejsce wśród krajów świata, a w roku 1999 nasi naukowcy opublikowali blisko 8.400 artykułów. Czyni to 1,17% wszystkich światowych publikacji. I należy zauważyć, że w ciągu ostatnich 20 lat liczba publikacji polskich naukowców wzrosła dwukrotnie (czyli o 100%), podczas gdy liczba światowych

publikacji tylko o 66%. Nasi węgierscy bratankowie zwiększyli w tym czasie swą publikowalność tylko o 46%.

Te wskaźniki wyglądają nieźle, jednak optymizm maleje, gdy wziąć pod uwagę dwa czynniki. Po pierwsze, liczebność naszego kraju. W przeliczeniu na milion mieszkańców, polscy uczeni publikują niemal dwukrotnie mniej, niż Węgrzy czy Czesi, i blisko trzykrotnie mniej niż Włosi czy Hiszpanie. Z krajami bogatszymi lepiej się nie porównywać. Po drugie, w minionym dwudziestoleciu wiele krajów odnotowuje znacznie szybszy przyrost publikowanych artykułów. Brazylia – o 350%, Grecja o 310%, Portugalia o 1100%, Hiszpania o 510%. Rekordzistką jest Pdn. Korea: aż 4700% wzrostu publikowalności. Jeśli Turcja utrzyma obecne tempo wzrostu publikowalności, to i ona wyprzedzi Polskę w niedalekiej przyszłości.

Trzeba też dodać, że ponad połowa polskich publikacji pochodzi tylko z dwóch dziedzin: chemii i fizyki. Natomiast zupełnie katastrofalnie przedstawia się publikowalność w naukach społecznych, ekonomii, psychologii czy naukach prawnych. Jest to związane z ogromną nierównomiernością rozwoju poszczególnych nauk w Polsce podczas minionego 55-lecia.

H.R.: – *Jakie warunki funkcjonowania nauki należałoby polepszyć lub zmienić, ażeby móc zwiększyć efektywność i poziom badań naukowych w Polsce?*

A.W.: – Po pierwsze, trzeba ograniczyć największą zmołę polskiej nauki, jaką jest wieloletniość. Powstały przed dziesięcioleciem wielki popyt na wyższe wykształcenie i niedostawanie do niego finansowania szkolnictwa wyższego oraz uregulowań ustawowych sprawiły, że powstające masowo wyższe szkoły prywatne zatrudniają u siebie pracowników uczelni państwowych. Podobno krajowy rekordzista jest zatrudniony na 14 etatach. Podejrzewam, że może to być rekord międzynarodowy, warty odnotowania w Księdze Guinnessa. W warunkach powszechnej wieloletniości nie może się rozwijać nauka.

Po drugie, trzeba zrestrukturizować dużą część polskiej nauki. W rozwiniętych krajach świata większość naukowców

pracuje w prywatnych instytucjach, a w Polsce niemal wszyscy zatrudnieni są przez państwo: albo w wyższych uczelniach, albo w instytutach PAN, albo też w Jednostkach Badawczo-Rozwojowych (JBR-ach).

Po trzecie, trzeba zmienić model budżetowego finansowania prac badawczych i rozwojowych (B+R). Trzeba przyznawać środki za osiągnięte wyniki, a nie za samo istnienie poparte umiejętnością lobbowania.

Po czwarte, trzeba wprowadzić zachęty fiskalne dla jednostek gospodarczych, by opłacało im się inwestować w naukę. Istniejące obecnie są dalece niewystarczające.

Po piąte, trzeba przyjąć wieloletni model zwiększania budżetowych nakładów na naukę. Wzrost ten powinien być co najmniej dwukrotnie większy, niż roczny przyrost PKB – ten model był przyjęty przez większość krajów europejskich gdy były na takim poziomie rozwoju, na jakim jest obecnie Polska. Uważam to za absolutne minimum.

H.R.: – *Czy system zarządzania nauką w Polsce, jak wiemy opracowany przez demokratyczną opozycję w latach 80-tych, a więc stworzony dla funkcjonowania nauki w systemie rządów totalitarnych, sprawdza się w ustroju demokratycznym? Nie znam bowiem innego kraju, z wyjątkiem Polski, w którym rząd i parlament przekazywałby środki finansowe jak i prawo podejmowania decyzji wybranym przedstawicielom środowiska naukowego. Zresztą system ten został ostatnio poddany krytycznej ocenie przez jego współtwórców – profesorów Witolda Karczewskiego i Andrzeja Ziabickiego w Kulturze (styczeń, 1999) i Pana Ministra w Nauce i Przyszłości (luty, 2000) oraz w ostatnim numerze Spraw Nauki (styczeń/luty, 2000).*

A.W.: – Zgadza się. Uważam, że polski system zarządzania jest anachroniczny, bowiem powstał przy milczącym założeniu konfliktu pomiędzy władzą a społeczeństwem. A dziś, gdy władza – przy wszystkich swych ułomnościach – jest wybraną parlamentarną reprezentacją społeczeństwa, system ten musi doprowadzić do zderzenia pomiędzy naukowcami i politykami. A wszystko dlatego, że każda ze stron inaczej definiuje pojęcie „dobra nauka”. Dla naukowców jest to nauka

zgodna z wewnętrznymi kryteriami doskonałości, z których najważniejszymi są: oryginalność, ścisłość, obiektywizm i weryfikowalność. Natomiast w tym rozumieniu dobra nauka jest indyferentna, jeśli idzie o cele, a zatem przydatność znajduje się gdzieś na bardzo dalekim miejscu hierarchii. Z kolei dla polityków dobra nauka to taka, która przynosi pożądane skutki społeczne lub gospodarcze dla danego kraju, w dającej się przewidzieć – względnie bliskiej – przyszłości. Jeśli zatem naukowcy prowadzą badania dla własnej przyjemności i jako swoisty „produkt uboczny” innej działalności – zazwyczaj pedagogicznej – to mogą mieć całkowitą swobodę uprawiania „dobrej nauki”. Jeśli natomiast korzystają z pieniędzy podatników, to nie mogą ignorować punktu widzenia polityków, bowiem to oni są – lub przynajmniej powinni być – wyrazicielami społeczeństwa. Tak więc uważam, że to właśnie politycy i działacze gospodarczy powinni formułować politykę naukową, czyli priorytety przyjmowane przy wydatkowaniu środków. Natomiast gremia naukowe winny oceniać zarówno zamierzenia jak i rezultaty badawcze. Zresztą tak właśnie jest we wszystkich rozwiniętych krajach świata.

H. R.: – *W krajach rozwiniętych prowadzona jest elastyczna polityka naukowa państwa, oparta z jednej strony na przekazywaniu uczonej (głównie szkołom wyższym) stosunkowo dużej swobody w podejmowaniu tematów badawczych, kontrolowaną poprzez rozsądną politykę przyznawania grantów, z drugiej zaś strony wprowadzane są priorytety badawcze, czy nawet centralne programy, które podporządkowane są rozwojowi pewnych dziedzin gospodarki narodowej lub polityce badań wyprzedzających. Do tego celu są powołane państwowe placówki naukowo-badawcze. Rolę taką mogłyby pełnić instytuty PAN oraz niektóre instytuty resortowe, które de facto są placówkami państwowymi. Temat ten porusza w Kulturze (czerwiec, 1999) prof. Andrzej Hrynkiwicz. W Polsce po dziesięciu latach budowania III Rzeczypospolitej nie dopracowaliśmy się jeszcze ani klarownej polityki gospodarczej państwa, ani polityki naukowej, która byłaby ukierunkowana na rozwój kraju. W dalszym ciągu, po 10-letnim doświadczeniu,*

obowiązuje ultraliberalna zasada „niewidzialnej ręki”. Dlaczego?

A. W.: – Z tą „niewidzialną ręką rynku” – bo o nią chyba tu chodzi – trudno mi się zgodzić. Właśnie na skutek braku polityki naukowej oraz złego systemu zarządzania nauką, mamy nie tyle „niewidzialną rękę”, lecz raczej „niewidzialny układ wzajemnych powiązań i interesów”. Przecież gdyby rządziła ta „ręka”, to KBN nie finansowałby instytucji i projektów związanych z upadającym górnictwem i nie wydawałby aż 40% środków na finansowanie jednostek badawczo-rozwojowych, z których przynajmniej połowa jest skansenem PRL-u. Wszak wiele dziedzin techniki w Polsce wyrobiło sobie tak silną pozycję przed rokiem 1989, że w demokratycznych wyborach do KBN-u ich przedstawiciele uzyskują poważną reprezentację, skutecznie przeciwstawiając się tej „niewidzialnej ręce”. To, co w tej chwili robimy w KBN, nowelizując ustawę o Komitecie oraz drugą, o JBR-ach, to próba wzmocnienia tej ręki, ale też wyposażenia jej w głowę, która powinna formułować politykę naukową. Przy czym te wszystkie procesy chcemy rozłożyć w czasie, bowiem nauka źle znosi rewolucje organizacyjne.

H. R.: – *W jakim stopniu nauka polska jest kreatywna, podejmująca tematy nowatorskie, rozwija nowe dziedziny badań? Mam wrażenie, że obecny system finansowania nauki wymusza podejmowanie tematów, które będzie można zrealizować, które na pewno „wyjdą”. Potwierdza w pewnym stopniu moją obserwację fakt, że liczba prac polskich uczonych jest stosunkowo mało cytowana przez innych autorów w stosunku do liczby wszystkich prac opublikowanych przez Polaków. Wyjątek stanowią naukowcy z nauk ścisłych, których prace są najczęściej cytowane. Być może wynika to z faktu, że oni (zwłaszcza fizycy i chemicy) najlepiej rozwinęli współpracę naukową z partnerami zagranicznymi, głównie w USA i krajach Europy Zachodniej.*

A. W.: – To prawda, ale należy powiedzieć, że to „spojrzenie wstecz” zamiast „spojrzenia wprzód” jest niestety powszechne

we wszystkich krajach, w których trzeba ubiegać się o środki na badania naukowe. Bowiern gremia decyzyjne opierają się na tzw. *peer review*, czyli na ocenie przez innych naukowców, a ci raczej bazują decyzję na dotychczasowych sprawdzonych osiągnięciach, niż na niepewnym rezultacie zwanego pomysłu. A u nas jest to jeszcze spotęgowane. Jeśli bowiem nad karkiem badacza stoi kontrola KBN, a nad KBN-em stoi kontrola NIK, to trudno się dziwić, że każdy woli zgłaszać propozycje projektu badawczego, który już ma na ukończeniu. To zarówno lepiej rokuje jeśli idzie o decyzje gremiów przyznających pieniądze, jak też jest o wiele bezpieczniejsze.

Albert Einstein powiedział kiedyś, że gdy każe się przeciętnemu człowiekowi znaleźć igłę w stogu siana, kończy poszukiwania po jej znalezieniu. Człowiek kreatywny szuka nadal, by znaleźć wszystkie ukryte w sianie igły. Bowiern pierwsza odpowiedź z reguły bazuje na dotychczasowym doświadczeniu i nie zawsze jest najlepsza.

Szczerze powiedziawszy, mnie marzy się wydzielenie pewnej puli środków na niczym nieograniczone badania właśnie nad zwanymi pomysłami. Tylko trzeba zdawać sobie sprawę, że na 10 takich badań może jedno okazać się sukcesem. Natomiast jeśli ten sukces zaistnieje, to może okazać się rewelacją. Kto wie, może uda się to zrealizować dzięki środkom, jakie Fundacja na Rzecz Nauki Polskiej otrzyma z prywatyzowanych spółek skarbu państwa. To ma być ok. 2% ich wartości, a więc niemało. Marzy mi się uruchomienie programu, który nazwałbym roboczo MISTRZ. W jego ramach właśnie tacy naukowci mistrzowie skupiwszy wokół siebie zespół młodych ludzi otrzymywaliby umiarkowane środki na prowadzenie badań według własnego uznania. Chciałbym, aby tymi mistrzami byli nie tylko naukowcy z tytułami i stopniami, ale także bardziej ambitni nauczyciele szkół średnich. To mogłoby uruchomić olbrzymi potencjał pomysłowości i motywacji, a w efekcie niezwykle pobudzić uśpioną kreatywność. Ci młodzi ludzie mogą znaleźć całe mnóstwo igieł w tym stogu siana.

H.R.: – *Czy uzasadniona jest potrzeba istnienia naukowych instytutów Polskiej Akademii Nauk do prowadzenia badań*

humanistycznych, społecznych, prawniczych etc. Wydaje mi się, że zatrudniona w nich kadra naukowa o wysokich kwalifikacjach zawodowych byłaby bardziej przydatna i lepiej wykorzystana w państwowych szkołach wyższych, np. w powstałych i powstających nowych uniwersytetach, w WSP etc., które odczuwają braki kadrowe. Powszechnie jest wiadomo, że część pracowników PAN podejmuje zajęcia dydaktyczne w szkołach prywatnych kosztem swojej pracy naukowej, którą są zobowiązani prowadzić w placówkach PAN.

A. W.: – Ja też jestem zdania, że oderwanie badań podstawowych od nauczania jest w dużym stopniu marnotrawstwem. Zresztą postulaty włączenia instytutów PAN-owskich oraz niektórych JBR-ów do kształcenia na poziomie wyższym są nieustannie powtarzane i nawet znalazły się w programach wyborczych obecnej koalicji. Niestety, łatwiej postulować, niż zrealizować. I to z kilku powodów. Po pierwsze, pracownicy instytucji PAN-owskich wcale nie marzą o pracy dydaktycznej. No, chyba gdyby to było związane z dodatkowym, pokaznym uposażeniem. W przeciwnym razie studenci „przeszkadzają” badaczom w spokojnej, codziennej pracy. Stąd powstałe przy jednostkach Akademii uczelnie są szkołami prywatnymi, co pracownikom przynosi dodatkowe pieniądze, ale dla mnie jest moralnie dwuznaczne.

Po drugie, instytucje PAN-owskie oraz JBR-y są bardzo nierównomiernie zlokalizowane. Jest ich szczególnie dużo w Warszawie, Krakowie i na Śląsku a więc tam, gdzie i tak w uczelniach istnieje liczna kadra. Natomiast tam, na obszarach nazywanych kiedyś „Polską B”, gdzie dobrzy nauczyciele akademicy byłiby bardzo potrzebni, tych instytutów nie ma.

Sądzę, że włączenie naukowców PAN do nauczania mógłby zmienić tylko przymus ekonomiczny. Gdyby np. KBN przestał przekazywać instytutom PAN-owskim środki na działalność statutową, to zapewne niemożliwe stałoby się możliwym. Ale najpierw powstałyby co najmniej 4 komitety ratowania nauki przed ślepotą niedouczonej polityków, a głowa ministra nauki spadłaby z karku. A to w tej chwili moja głowa, więc ta perspektywa niezbyt mnie zachęca.

Dlatego, choć z westchnieniem, to jednak nie oponuję

przeciw statutowemu finansowaniu instytucji, które zapewne byłyby lepiej wykorzystane, gdyby włączyły się do procesu dydaktycznego. I marzy mi się wielki uniwersytet powołany w Warszawie przez konsorcjum instytutów PAN, kształcący we wszystkich dziedzinach i kierunkach, będący uczelnią państwową, a więc w zakresie nauczania finansowaną przez MEN. Rozwiązałyby to lwią część problemów budżetowych tych instytutów i stworzyłyby znakomitą ofertę dydaktyczną dla młodzieży. A co za poziom mogliby zapewnić znakomici naukowcy z PAN-u! Ale moje marzenia nieczęsto się spełniają.

H. R.: – *Wydaje mi się, że jednym z najważniejszych problemów, jaki stoi przed organizatorami nauki i techniki w Polsce, jest stwarzanie warunków i mechanizmów dla wprowadzania innowacji: technologicznych, organizacyjnych, menadżerskich, edukacyjnych. Nie ulega wątpliwości, że z tym problemem nie potrafiliśmy sobie poradzić w PRL-u, jak również w III RP. Jest to zagadnienie niezmiernie trudne i każdy kraj przed nim stoi i rozwiązuje je po swojemu. Nie ma na to gotowych recept. Jedno jest pewne, że od umiejętności wprowadzania innowacji ściśle zależy rozwój gospodarczy i społeczny regionu, makroregionu, kraju. Czy w tym zakresie robimy coś w Polsce?*

A. W.: – Polska nauka jest mało innowacyjna. Świadczy o tym mała liczba patentów i to zarówno tych, zgłaszanych przez Polaków w Kraju jak i tych – bardzo nielicznych – zgłaszanych za granicą. Świadczy mała liczba sprzedawanych licencji. Świadczy ujemny bilans handlowy w zakresie towarów wysoko przetworzonych. I niestety trzeba przyznać, że głównym źródłem innowacji w polskiej gospodarce jest wprowadzanie importowanych technologii. Takie firmy, jak FIAT, DAEWOO, czy GM bardziej przyczyniły się do innowacyjności w polskim przemyśle motoryzacyjnym, niż wszystkie prace z tej dziedziny naszych naukowców, wykonane w ostatnim 50-leciu. A tak się dzieje, bowiem innowacyjność wymaga nie tylko dobrego pomysłu, nie tylko naukowych i technicznych kompetencji uczonych. Innowacyjność potrzebuje zaplecza technicznego, technolo-

gicznego, organizacyjnego i nawet marketingowego. Jeśli tego nie ma, najwspanialszy nawet pomysł może skończyć swe życie po fazie laboratoryjnej realizacji.

Zresztą, takie doświadczenie było udziałem wszystkich krajów, które starały się doścignąć czołówkę (z Japonią i Koreą włącznie). Przechodziły przez kolejne fazy innowacyjności. Pierwszą jest innowacyjność przez naśladownictwo, czyli kopiowanie – oczywiście legalne, poprzez licencje – rozwiązań zagranicznych. Drugą jest innowacyjność przez modyfikację, polegającą na dostosowaniu zagranicznych rozwiązań do aktualnych potrzeb, na unowocześnianiu ich. Wreszcie trzecia faza to innowacyjność bazująca głównie na krajowych rozwiązaniach. Większa część polskiej gospodarki jest w fazie pierwszej. Obyśmy jak najszybciej przeszli do drugiej i zahaczyli się o trzecią.

Wielu naukowców, ale i polityków, twierdzi, że najsukuczniejszy sposób na wzrost innowacyjności to bardzo znaczny wzrost nakładów na badania naukowe. Niestety, sprawa nie jest tak prosta. Bowiem w tej sferze też obowiązuje prawo popytu i podaży. Gdyby polska nauka zasilona znacznymi środkami znacznie zwiększyła podaż, to jeszcze musiałby istnieć popyt ze strony jednostek gospodarczych, by w efekcie znacząco wzrosła innowacyjność. Ten popyt jest na razie bardzo umiarkowany.

Co robimy w Polsce by to zmienić? No cóż, staramy się zachęcać jednostki gospodarcze do finansowania krajowych badań, oraz wprowadzamy ulgi fiskalne dla przedsiębiorstw inwestujących w polską myśl techniczną. Także współfinansujemy badania, które mają określony cel aplikacyjny i są finansowane przez przyszłych użytkowników. Na pewno jednak zbyt mało robimy by wyjść naprzeciw potrzebom małych i średnich przedsiębiorstw. W tej sprawie sytuacja powinna się rychło zmienić na lepsze.

H. R.: – *Ostatni problem, który chciałbym poruszyć, to środki przeznaczone na naukę i płace w sferze nauki i szkolnictwa. O tych problemach mówi i pisze się najczęściej. Powstał Komitet Ratowania Nauki. Ja tylko chciałbym przypomnieć genezę tego problemu. Latem roku 1991 rząd Jana Krzysztofa Bieleckiego i Leszka Balcerowicza ratując*

budżet państwa poprzez zmianę ustawy budżetowej obniżył środki na naukę o 37%, tj. z 0,76% do 0,48% PKB. Miała to być jednorazowa, doraźna decyzja. Myśmy, wybrani przez środowisko naukowe członkowie Komitetu Badań Naukowych, zaprotestowali przeciwko propozycji rządu o obniżeniu budżetu na naukę o prawie 40%. Mieliśmy już wówczas pełną świadomość, że kolejne budżety państwa będą konstruowane w oparciu o nowe wskaźniki. Odpowiednie pisma zostały przesłane do premiera rządu, J.K. Bieleckiego, marszałka Senatu, prof. A. Stelmachowskiego, marszałka Sejmu, prof. M. Kozakiewicza. Odpowiedź otrzymaliśmy tylko od marszałka Sejmu, który poinformował nas, że naszą petycję przesłał do przewodniczącego Sejmowej Komisji Budżetowej. Muszę jeszcze przypomnieć, że ten sam rząd podjął niezgodną z prawem uchwałę, o przekazaniu 50% środków z Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej do innych resortów, niezwiązanych z nauką. Sejm przyjął projekt rządu. Na szczęście Rada Fundacji, której miałem zaszczyt przewodniczyć, nie wykonała uchwały Sejmu. A chodziło o niebagatelną sumę, bo o ok. 50 mln USD.

Natomiast kolejne rządy (prawicowe, ludowo-lewicowe, solidarnościowe, liberalno-prawicowe) kontynuowały tę politykę. Nieznacznie zwiększały środki na naukę, lecz ten wzrost był znacznie mniejszy niż wskaźniki inflacji. Czy Pan Profesor, jako Minister Nauki i członek rządu, znajduje wyjście z tej trudnej sytuacji, która spycha nas do poziomu państw Ameryki Łacińskiej (opublikowane dane O.E.C.D. na taki kierunek rozwoju wskazują). Czy mamy szansę stać się godnym partnerem państw Unii Europejskiej, do której tak bardzo chcemy się dostać?

A. W.: – To ładny zwrot, podoba mi się: „...spycha nas do poziomu państw Ameryki Łacińskiej...”. Tyle, że przejawia się w nim widzenie Polski przez pryzmat 600-letniej tradycji Akademii Krakowskiej i naszą pozycję cywilizacyjną w okresie, gdy w Ameryce Łacińskiej byli tylko Indianie i Konkwistadorzy. No i aligatory w rzekach Amazonii. To samo, co tak ładnie Pan sformułował, można by powiedzieć inaczej: „Spycha nas do poziomu państw o takim jak Polska PKB na mieszkańca.” I doprawdy nie ma znaczenia, czy to są kraje z

Ameryki Łacińskiej, Azji, czy Europy. Istotny jest poziom gospodarczy kraju i w konsekwencji dochód narodowy. Mnie też marzy się obiecany kiedyś przez Parlament 1% PKB na naukę. Tylko chcąc być uczciwym muszę przyznać, że są na świecie może 2-3 kraje (i to należące do najbogatszych) które z budżetu – podkreślam: z budżetu – taki procent przeznaczają na badania. I – powtórzę to jeszcze raz – nie znam kraju o PKB *per capita* zbliżonym do tego, jaki mamy w Polsce, którego budżet przeznaczałby na naukę więcej, niż my to czynimy. A twórcom Komitetu Ratowania Nauki Polskiej pewnie trzeba przypomnieć, że oburzenie moralne naukowców nie zastąpi rachunku kosztów i zysków.

A teraz trochę o szczegółach. W ciągu ostatnich 2 lat nakłady na naukę wzrastały mniej-więcej o 5% powyżej inflacji. Jest to mniej niż zabiegał KBN, który postulował 15% powyżej inflacji. Natomiast ostatnio zdarzyło się coś niesłychanie ważnego. Decyzją Rządu i Parlamentu 2% przychodów z każdej prywatyzowanej jednoosobowej spółki Skarbu Państwa będzie przekazywane dla Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej. Będzie to zapewne ok. 800 mln. zł, oczywiście rozłożone na czas trwania prywatyzacji. Spowoduje to, że w pierwszym roku obowiązywania tej ustawy realne nakłady na naukę wzrosną o jakieś 12-15%. Czyli o tyle, o ile wzrastały w okresie intensywnego rozwoju nakłady w Korei i w Irlandii – dwóch krajach będących „tygrysami” rozwoju naukowego i gospodarczego.

Oczywiście nawet wówczas nie będzie nas stać na finansowanie wszystkich inicjatyw naukowych, także tych słusznych i potrzebnych. Niezbędne będą priorytety. W Komitecie mamy 3 takie priorytety:

– Po pierwsze, wspomaganie dobrych badań służących edukacji na poziomie wyższym i ponad wyższym.

– Po drugie, wspomaganie badań i prac rozwojowych zwiększających innowacyjność polskiej gospodarki.

– Po trzecie, wspieranie międzynarodowej pozycji polskiej nauki szczególnie poprzez udział polskich zespołów w programach międzynarodowych.

Zgadzam się, że jednym z największych hamulców rozwoju naukowego są niskie płace badaczy. Uważam, że sprawa ta powinna być jak najszybciej rozwiązana. Należy

dobrze płacić i dużo wymagać. A ze wzrostem płac powinno nastąpić drastyczne ograniczenie wieloetatowości. Jeśli uregulowania prawne tego nie wymuszają, to wzrost płac niczego nie załatwi.

H. R.: *Wszystkie liczące się partie polityczne w Polsce w swoich programach przedwyborczych na pierwszym miejscu, lub na jednym z pierwszych, stawiają edukację i naukę jako podstawowy czynnik rozwoju cywilizacyjnego i gospodarczego kraju. Jak doświadczenie ostatnich 10 lat wskazuje, po wygranych wyborach liderzy tych partii kontynuują zapoczątkowaną w roku 1991 przez Bieleckiego – Balcerowicza politykę „niech nauka sama sobie radzi”. Sami zaś uwikłani są w walki polityczne z opozycją i bieżącym lataniem wytwarzanych przez siebie dziur budżetu państwa. Brakuje nam w Polsce polityków posiadających zdolność zrozumienia i przewidywania złożonych zjawisk i procesów zachodzących we współczesnym świecie. Brakuje nam mężów stanu. Przecież powszechnie wiadomo, że Polska nie ze względu na swoje położenie geograficzne, lecz na swoje zacofanie cywilizacyjne i gospodarcze znajduje się na peryferiach Unii Europejskiej. Stan ten będzie się pogłębiać, jeśli rząd nie zerwie z dotychczasową ultraliberalną polityką prowadzoną od lat w stosunku do nauki i edukacji. Państwa UE planują w najbliższych latach znacznie zwiększyć nakłady finansowe na rozwój nauk ścisłych, przyrodniczych i technicznych, a w szczególności na chemię, fizykę i informatykę, z nadzieją, że w ciągu najbliższych 10 lat dorównają gospodarce amerykańskiej. Czy nasz rząd podążać będzie śladami Unii Europejskiej?*

A. W.: – Słów o polskich politykach i mężach stanu nie doczytałem do końca, więc proszę nie oczekiwać, że będę się do nich odnosił. Natomiast chciałbym sprostować pogląd dotyczący tendencji finansowania nauki w krajach Unii Europejskiej. Bowiem od jakiegoś czasu nakłady te maleją. A ogólna polityka sprowadza się do uprzywilejowania tych dziedzin nauki, które przynoszą konkretne rezultaty gospodarcze lub społeczne. Należy do nich informatyka, ale już nie fizyka

i chemia. Można to doskonale prześledzić na przykładzie priorytetów 5. Programu Ramowego Unii Europejskiej Rozwoju Badań Naukowych i Technologicznych. A także na przykładzie Francji, która ustami min. Schwartzenberga sformułowała priorytety naukowe. Są nimi: biologia molekularna, technologie medyczne oraz informatyka z telekomunikacją.

H. R.: – *Zgadzam się. Takie priorytety obowiązują obecnie. Mnie zaś chodzi o myślenie o niedalekiej przyszłości. Tam stawia się na rozwój nanonauki i nanotechnologii, których podstawą jest chemia, fizyka, biologia molekularna, nauki opisujące zjawiska i procesy zachodzące na poziomie atomowym i molekularnym w układach nano. Istnieje nadzieja, że zmienią one oblicze naszej cywilizacji, podobnie jak to zrobiła fizyka jądrowa w pierwszej połowie XX wieku, a fizyka ciała stałego, w szczególności fizyka półprzewodników, w drugiej połowie odchodzącego stulecia.*

A. W.: Zapewne w zakresie badań naukowych Rząd Polski bardzo chciałby podążać śladami Unii Europejskiej. Tylko czy chcą tego sami naukowcy? Udział polskich badaczy we wspomnianym 5. Programie nie daje powodów do optymizmu. Pamiętajmy, w kasie Programu jest ponad 14 mld. euro do wzięcia. Polska płaci swą składkę i jest równorzędnym partnerem. Ale w pierwszym roku trwania Programu nasi naukowcy – a jest ich łącznie ponad 85 tys. – złożyli tylko 855 wniosków. Gdy tymczasem Grecy mający tylko 10 tys. naukowców, złożyli tych wniosków 2500. A Czesi i Węgrzy, choć to kraje 4 razy mniejsze od Polski, złożyli mniej-więcej tyle samo wniosków, co Polacy.

Rząd bardzo chce – choć być może czyni to nieudolnie – „podążać śladami Unii” i aby zachęcić do wspólnego podążania polski świat naukowy dofinansowuje dodatkowo wnioski składane do Brukseli. Te zwycięskie, otrzymują z kasy KBN mniej-więcej tyle samo, ile otrzymały od Unii. Te które nie wygrały, ale były niezłe ocenione, otrzymują środki na pokrycie kosztów przygotowania nowego, poprawionego projektu. Czy można zrobić więcej?

Należy też podkreślić, że już w 4. Programie zauważono

prawidłowość: najlepiej wypadają w nim te kraje, w których uzyskanie środków na badania ze źródeł wewnętrznych było szczególnie trudne. Dlatego też tak dobrze wypadli Grecy, Portugalczycy, Irlandczycy czy Hiszpanie, a tak relatywnie słabo Niemcy i Francuzi.

Na świecie hasłem współczesnej nauki i gospodarki jest tzw. „zrównoważony rozwój”. Uważam, że w Polsce pojęcie to powinno obowiązywać w jeszcze szerszym zakresie. Powinniśmy zapewnić zrównoważony rozwój gospodarki, życia społecznego, edukacji i nauki. I właśnie tym argumentuję postulując, by wzrost realnych nakładów budżetowych na naukę wynosił tylko – czy też aż – 15% rocznie. Dostrzegam bowiem morze potrzeb zarówno w obszarze badań naukowych, jak i w wielu innych dziedzinach życia społecznego. A dobra nauka nie może się trwale rozwijać w oazach na pustyni, w jakichś „Akademgorodkach”, położonych pośród nędzy syberyjskich wsi. Dobra nauka jest elementem równomiernie rozwijającej się gospodarki i życia społecznego. Jeśli jako minister nauki będę mógł się przyczynić do tej równowagi to uznaję, że cztery lata na tym stanowisku (zakładając, że Premier nie odwoła mnie przed końcem kadencji), nie poszły na marne.

H. R.: *Bardzo serdecznie dziękuję Panu Ministrowi za interesującą rozmowę.*

Rozmowę przeprowadził Henryk RATAJCZAK

Kraj

Co nam grozi od SLD?

1.

Kilka zdań wprowadzenia.

Od kiedy SLD znalazło się w listopadzie 1997 r. w opozycji, zaczęto rozważać, jak będzie ewoluowało po klęsce. Wprawdzie prawica z obozu Mariana Krzaklewskiego, która wtedy szykowała się do długotrwałych rządów, nie zaprzętała sobie raczej głowy przyszłą ewolucją SLD. Miała w planach lustrację (w zaostrożonej wersji) i dekomunizację, co by raczej skutecznie sparaliżowało pokonanego wroga, jeśliby zaś SLD zradykalizowało się w opozycji i dokonało regresu ku dawnym pozycjom ideowym, to z punktu widzenia AWS – tym lepiej. Nie należy zapominać, że *rationale* koalicji z Unią Wolności, które sformułował na użytek całej AWS Aleksander Hall, brzmiało: Polska dzieli się na dwa obozy, solidarnościowców i postkomunistów. Nie ma nic ważniejsze- go w polityce niż ten właśnie podział, ugruntowany w historii, w moralności i „w stosunku do wartości”. Gdyby zachowanie SLD dostarczało argumentów potwierdzających tę koncepcję, umacniałoby to racje fundujące koalicję AWS-UW i umacniało jej władzę. Z tych samych powodów Unia Wolności była natomiast zainteresowana losami SLD: chciała, by Sojusz pozostał w szkole demokracji, gdzie sama wykładała, by się jeszcze podciągnął z najważniejszych przedmiotów, zamiast... kończyć na ulicy. Podchowany SLD stałby się dla Unii alternatywnym sojusznikiem. W trwałość układu z AWS nikt z myślących unitów nie wierzył od samego początku, stąd drobiazgowość umowy koalicyjnej.

Otóż SLD nie wpadło w pułapkę radykalizacji, skonsu-

mowało utratę władzy w 1997 jako porażkę wprawdzie, ale nie klęskę – dostało przecież więcej głosów niż w 1993 i to porażkę niezawinioną, bo prawdziwą katastrofą koalicji SLD-PSL był rezultat ludowców. Ale SLD nie stało się również dobrym uczniem w unijnej szkole, ponieważ w ciągu minionych trzech lat odchyłało się coraz wyraźniej od wzorca politycznej poprawności, który mu proponowano. Odchyłało się w podwójnym sensie. Przede wszystkim, odrzucało regułę najzwyczajniej sformułowaną potem przez Ewę Milewicz z *Gazety Wyborczej*, że „wam mniej wolno”. Po uchwaleniu Konstytucji głosami UW, UP, PSL i SLD i zatwierdzeniu jej w referendum, kierownictwo SLD uznało dość wyraźnie, że tekst ten określa sprawiedliwie granice wzajemnych ustępstw i zarazem legitymizuje ostatecznie wszystkich uczestników politycznej sceny. Inaczej mówiąc, SLD reprezentowało pogląd, że wprawdzie zaszłości pozostają ważne – dla historyków, moralistów, wspominkarzy i filozofów... – ale nie dla praktycznych polityków. Każdemu wolno tyle samo. Wypada zwrócić uwagę, że art. 13 Konstytucji stanowi:

„Zakazane jest istnienie partii politycznych i innych organizacji odwołujących się w swoich programach do totalitarnych metod i praktyk działania nazizmu, faszyzmu i komunizmu, a także tych, których program lub działalność zakłada lub dopuszcza nienawiść rasową i narodowościową, stosowanie przemocy w celu zdobycia władzy lub wpływu na politykę państwa albo przewiduje utajnienie struktur lub członkostwa”.

SLD akceptując ten tekst wyrzekło się uroczycie istotnego aspektu własnej przeszłości i tradycji. Nie była to zapewne ani skrucha, ani przeprosiny (wątpliwy zabieg, gdy chodzi o historię), ale... praktyczne zobowiązanie. *Nota bene*, ci, którzy nieustannie szarpiają się z eseldowcami o idee, zdają się nie pojmować, że SLD jest rzeczywiście jako organizacja pragmatyczne aż do bólu, choć to wcale nie znaczy, że poszczególni działacze nie są przywiązani do swych nawyków. Prawdę powiedziawszy i z moich obserwacji sejmowych wnioskuje – znacznie jednak mniej przywiązani niż członkowie innych formacji politycznych.

Drugie odchylenie od wspomnianego wzorca było stopniowe i wcale nie zdecydowane. SLD bardzo długo wahało

się przed frontalnym atakiem na politykę firmowaną nazwiskiem Leszka Balcerowicza. Z przynajmniej trzech powodów. Najpierw podzielał pogląd, że przystąpienie do Unii Europejskiej jest centralnym celem politycznym państwa i obawiał się odwracać od człowieka, który, jak zewsząd zapewniano, reprezentował pełną przystawalność Polski do świata zachodniego w ogóle, a UE w szczególności. To się zmieniło dopiero, gdy Europa Zachodnia wybrała socjaldemokratów: 13 z 15 rządów Unii w rękach socjaldemokratów ośmieliło SLD. Drugim powodem wahań była niechęć do antagonizowania Unii Wolności, ciągle jeszcze branej pod uwagę jako partner w przyszłej koalicji. Ten lęk osłabł, gdy SLD się zorientowało, że unicy sami zaczynają mieć dość Balcerowicza, a trzymają się go i muszą bronić dopóty, dopóki są w koalicji z AWS, dla której Balcerowicz staje się na dobre *bête-noire*.

Trzecim powodem wahań była właśnie świadomość, że Leszek Balcerowicz ściąga na siebie gromy prawicy za to głównie, że opiera się jej pomysłem, od powszechnego uwłaszczenia do pełnej reprivatyzacji. Wszystkie te pomysły ideologów prawicy nacechowane są, po pierwsze, lekceważeniem arytmetyki oraz, po drugie, niezrozumieniem, jak działa kapitalizm, który ludzie ci zdecydowali się zaakceptować wyłącznie na złość Marksowi, Stalinowi i PRL. Proszę zauważyć, w jaki korkociąg myślowy wkręca się nieuchronnie modelowy wyznawca solidarności jako idei organizującej naród, kiedy się nawróci na kapitalizm. Musi teraz uznać, że każdemu wolno szarpać i że każdemu należy dać. Wtedy melduje się arytmetyka i myślenie programowe solidarnościowej prawicy pęcznieje od demagogii. Ale, i to ważne, nie jest to demagogia świadoma i dowolna, jest konieczna i niezbywalna. SLD, które samo świetnie rozumie się na demagogii, ale potrafi się w tym względzie kontrolować, długo nie miało najmniejszej ochoty śpiewać w takim chórze. Dopiero, kiedy analitycy doliczyli się, że SLD może wygrać wybory parlamentarne o własnych siłach i nie musi się w tym celu ograniczać przedwyborczymi umowami (co nie wyklucza sojuszu po zwycięstwie) – otwarto ogień. Było to taktycznie wskazane również z tego względu, że kierownictwo AWS coraz bardziej zatruwało życie wicepremierowi i w każdej chwili koalicja mogła eksplodować, a wtedy SLD nie mógł się zagapić. – Nie

możliśmy pozwolić, żeby nasi wyborcy, zdeorientowani, pytali, czy wolimy w tej sytuacji Balcerowicza czy Krzaklewskiego i z kim zamierzamy grać – tłumaczy mi jeden z przywódców SLD. – Bardzo głośno i z naciskiem mówimy więc, że możliwe są rozmowy z UW, ale bez Balcerowicza. A i tak bliżej nam do Unii Pracy i nawet PSL...

Leszek Miller, który 20 kwietnia udzielił wywiadu *Nie*, sformułował to tak: „Integracja Polski z Unią Europejską, republikański i świecki charakter państwa, poszanowanie prawa i wolności jednostki, to płaszczyzna bliskości Unii Wolności i Sojuszu Lewicy. Nasze koncepcje gospodarcze jednak są bardzo różne i oddalają nas od siebie. Z PSL jest akurat odwrotnie. Wybór może się jednak stać łatwiejszy, jeśli nastąpią zmiany w programie którejś z tych partii.

– Co jest ważniejsze dla SLD: program gospodarczy czy pokrewieństwa w koncepcji państwa i prawa?

– Program gospodarczy i społeczny. Dla Polski najważniejszy jest powrót na ścieżkę szybkiego rozwoju gospodarczego połączonego z wrażliwością społeczną. To priorytet SLD.”

2. Czym jest dzisiaj SLD?

Dawniejsze SLD było konglomeratem złożonym z partii zwanej Socjaldemokracją Rzeczypospolitej Polskiej (SdRP) i kilkudziesięciu zaprzyjaźnionych organizacji z OPZZ w pierwszym rządzie. W praktyce kierował tym układem zarząd jednolitego klubu parlamentarnego SLD (z przewodniczącym, do 1995, Aleksandrem Kwaśniewskim). Przebudowa tej struktury stworzyła jednolitą partię SLD, organizacje zaprzyjaźnione odzyskały całkowitą formalną niezależność, czego owocem jest np. wielość organizacji młodzieżowych przyznających się do bliskości z SLD (pięć). Oficjalnie, rekonstrukcja SLD była wymuszona przez Konstytucję (art. 100: „kandydatów na posłów i senatorów mogą zgłaszać partie polityczne oraz wyborcy”). Trzeba wszakże pamiętać, że wyłączenie innych organizacji było postulowane m.in. przez SdRP. W nowej strukturze kierownictwo polityczne formacji przesuwają się z parlamentu do zarządu, nawet jeśli nie jest to jeszcze widoczne, dopóki SLD jest w opozycji a Leszek Miller chodzi

w butach po Kwaśniewskim. Ale już teraz SLD *novi modo* jest bardziej scentralizowaną formacją. Dobrze to, czy źle?

Nie ma, jak sądzę, jednoznacznej odpowiedzi. Z historii sądząc, centralizacja umacnia zawsze władzę aparatu (biurokracji) partyjnej. Jednakże sytuacja jest nieporównywalna. Wielość ciał obieralnych w państwie, pluralizm polityczny, kontrola ze strony mediów – ograniczają z góry możliwości biurokracji partyjnych. Co najważniejsze, w przypadku SLD większa władza centrali jest raczej zaporą dla rewanżyzmu kadrowego (TKM) po wygranych wyborach. Ta właśnie sprawa, ewentualnego rewanżu kadrowego SLD, jest teraz często debatowana w prasie, przy czym, o dziwo, najbardziej martwią się dziennikarze *Gazety Wyborczej* bliscy Unii Wolności. Ich troska przybiera czasem formy historyczne („Dźdźownice wychodzą na zer” – to tytuł jednego z artykułów). O co chodzi?

O to, że po ewentualnym zwycięstwie eseldowcy wezmą odwet wg procedury TKM. Jest to ponoć tym realniejsza groźba, że do nowego SLD zgłaszają się teraz dawni działacze PZPR, którzy do SdRP nie chcieli się, z różnych powodów, zapisywać. To oni, zwłaszcza pracownicy aparatu i administracji gospodarczej PZPR, mieliby paść żądzą powrotu do szeregów i na posady.

Ten szczególnie passeistyczny charakter „rewanżystów” z SLD wypada, jak sądzę, pomiędzy bajki włożyć. Dawni aktywiści, którzy 10 lat temu wycofali się z polityki, na ogół zorganizowali już sobie życie (bądź emeryturę) a SLD ma i bez nich dostatecznie wielu członków, którzy chętnie by uczestniczyli osobiście w powrocie do władzy. Szeregi nowego SLD pęcznieją. W połowie czerwca założona przed kilku miesiącami partia miała 89 tys. członków, koła SLD istniały już w 90% gmin. Mniej więcej 35% stanowią pracownicy sektora budżetowego, z nauczycielstwem (po 15% robotnicy wykwalifikowani, ucząca się młodzież, emeryci, drobni przedsiębiorcy, 5% rolnicy).

Testem intencji SLD stało się województwo kujawsko-pomorskie, jedyne, w którym SLD ma absolutną większość radnych w sejmiku wojewódzkim i gdzie rządzi też w radach miejskich Bydgoszczy, Włocławka, Grudziądza i Inowrocławia. Prasa ujawniła tam różne przypadki nepotyzmu i

nadużyć władzy, jakich dopuścili się działacze SLD; *nb* pierwszym w Warszawie prasowym sygnałem był artykuł „Kufłowisko” (od nazwiska posła SLD Kufla i jego żony) w piśmie J. Urbana *Nie. Gazeta Wyborcza* i jej współpracownicy terenowi szeroko rozpisywali się o aferze, nie kryjąc, że traktują ją jako papierek lakmusowy przyszłych rządów SLD. Zarząd Krajowy SLD podjął ostatecznie uchwałę o szeroko zakrojonych działaniach uzdrawiających i karach wobec winnych. Autor artykułów w *Gazecie Wyborczej*, Paweł Smoleński: „...Uchwała oznacza, że Sojusz potrafi dostrzec niebezpieczeństwa praktyk rodem z minionej epoki. Kujawsko-Pomorskie nie jest jedyne. Daj Boże, by SLD równie uważnie rozglądało się po całym kraju”.

Potępienie praktyki są może, jak to ujął dziennikarz *Gazety*, „rodem z minionej epoki”, ale prawdziwy dzisiaj problem tkwi w tym, że z różnym nasileniem i pod różnymi pretekstami są one w Trzeciej Rzeczypospolitej chorobą endemiczną. Za bieżącej kadencji choroba ta wybuchła epidemią, którą właśnie zasłużony solidarnościowiec J. Kaczyński nazwał metodą „TKM (Teraz, k... my)”. Czy SLD jej uniknie?

W wywiadzie dla *Nie* (20 IV) Leszek Miller powiedział m.in.: „Szczerze jednak mówię, że nie wiem, czy już po tych wyborach uda się ocalić ludzi, którzy objęli posady z rekomendacji politycznej AWS, a nie okazali się dyletantami ani chciwcami. AWS tak upartyjniła państwo, że zatrzymanie tego procesu będzie trudne.”

Leszek Miller ma zasłużoną opinię „twardziela”. Jest bardzo ostrym, czasem brutalnym polemistą, nie gardzi również efektami retorycznymi w wątpliwym stylu, choć zapewne dobrze trafiającymi do słuchaczy (za rządów SLD śmietniki „posłużą do gromadzenia śmieci, a nie szukania pożywienia czy porzucania noworodków”). Na ten temat w kołach politycznych wiele się rozprawia, w kontekście zupełnie innej stylistyki Aleksandra Kwaśniewskiego: czy jest to sygnał rozbieżności, czy podział ról, czy po prostu różnica temperamentów? Sądzę, że niezależnie od odpowiedzi, odmiennosc stylistyczna obu przywódców jest dobrze wbudowana i sfunkcjonalizowana w strategii SLD. Każdy z tych polityków ma inne miejsce i inne zadania, nie należy sądzić, by różnice prowadziły do konfliktu.

Natomiast zupełnie inną, nieporównanie poważniejszą sprawą jest zacytowana wypowiedź z *Nie*. Jeśli Leszek Miller zamierza z góry usprawiedliwiać run jego własnych towarzyszy na stanowiska dokonania AWS-u, to może nie warto wymieniać siekierki na kijek?

3.

Wybory prezydenckie odbędą się 8 października. Jeśliby parlament dotrwał do końca kadencji, wybory do Sejmu (i Senatu) powinnyby się odbyć w rok potem. Sojusz Lewicy Demokratycznej przystępuje do obu tych prób z bardzo wygórowanym programem.

Prezydent Kwaśniewski, który rozpoczął właśnie objazd 16 województw, zaakceptował bez protestu hasło zwolenników – zwycięstwo już w pierwszej turze – i nawet zapowiedział, że pieniądze zaoszczędzone w ten sposób będą przekazane na pomoc dzieciom. Sondaże istotnie zdają się uprawniać taki optymizm. Ale prezydent nie może nie wiedzieć, że w ten sposób rzuca dodatkowe wyzwanie głównemu politycznie kontrkandydatowi, którym jest Marian Krzaklewski z AWS, nie zaś, mimo lepszych notowań, Andrzej Olechowski, „Kandydat do wynajęcia” – jak go złośliwie nazywa Wałęsa. Oznacza to zapewne, że kampania wyborcza szefa AWS będzie „z ognia i jadu”, bo jeśli plan Kwaśniewskiego się ziści, to kariera polityczna jego rywala dobiegnie końca, a przyszłość AWS stanie pod znakiem zapytania. Jest to bardzo wygórowana stawka jak na wybory prezydenckie. Otwarte pozostaje pytanie, czy hierarchia kościelna przejdzie nad tym do porządku. Biskup Pieronek oświadczył już, że Kościół nie będzie się angażował ani w pomaganie jakiemuś stronnictwu w zachowaniu władzy, ani w przeszkadzanie innemu w jej zdobyciu – ale ten hierarcha nie jest miarodajnym rzecznikiem episkopatu, rzaczej harcownikiem na przedpolu.

Na perspektywy wyborów parlamentarnych, poczynając od ich terminu, oddziała najważniejszy fakt polityczny ostatnich miesięcy, tj. zerwanie koalicji rządowej przez Unię Wolności. W dwa tygodnie po wyjściu ministrów unijnych z rządu, Rada Krajowa UW zaproponowała kierownictwu AWS dobrowolne skrócenie kadencji i wybory parlamentarne na wiosnę. Unia przyłącza się w ten sposób do żądań SLD,

ale za to sugeruje rządowi, że gotowa jest współpracować w uzgodnieniu preliminarza budżetowego. W ten sposób skrócenie kadencji nie byłoby wymuszone brakiem budżetu. To są jednak spekulacje wtórne, pewne jest tylko, że Unia poparła żądanie opozycji i że Marian Krzaklewski natychmiast zareagował negatywnie.

Niektórzy doradcy rządu i AWS są zdania, że czas mógłby otężyć zacząć pracować na rzecz prawicy. Zwarty gabinet kierowany przez odrodzonego premiera poprawi swe notowania; Jerzy Buzek istotnie wyszedł z ostatniej przeprawy z honorem, a ponadto jest „nieusuwalny”, ponieważ ani AWS, ani opozycja nie są w stanie wygrać konstruktywnego *votum* nieufności, chyba żeby wszyscy – UW, SLD i PSL – uzgodniły kandydata na premiera. W gospodarce, według tych samych doradców, wskaźniki się poprawią, wzrośnie PKB i eksport, osłabnie inflacja... Reformy się podprostują, a głównym tematem politycznym może się stać marszruta europejska. Dominacja problematyki międzynarodowej z reguły sprzyja w wyborach partiom u władzy.

Niezależnie od trafności tych kalkulacji rząd nie zgodzi się więc na przyspieszenie wyborów parlamentarnych. Ale Unia Wolności postawiła tymczasem jeszcze jeden krok u układowi z SLD. Co zresztą wcale nie oznacza gotowości do współrzędzenia. Być może, chodzi najpierw tylko o to, żeby SLD nie było po wyborach w stanie rządzić samodzielnie.

Warszawa, 20 czerwca

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Po raz kolejny czytam ponad setkę dzienników kobiet, przysyłanych na konkurs „Miesiąc z mojego życia” do pewnego kobiecego pisma. I ponownie popadam w nałóg podglądania czyjegoś życia. W dzieciństwie, gdy jechałem pociągiem przez kraj, otulony kołdrą nocy, marzyłem, by zaglądać do okien domów, w których paliły się światła. Kim są ci ludzie, jak żyją? I teraz dzięki tym zapiskom, zaglądam.

Autorkami się kobiety w różnym wieku, licealistki i emerytki, kobiety z dużych miast i z małych miasteczek, biznesmeni, a nawet kobiety zajmujące się tylko dziećmi, co dzisiaj jest coraz rzadsze. Opisują swoją codzienność. Większość pisze teksty na komputerze, ma internet, telefony komórkowe. Jak to błyskawicznie wszystko poszło! I nawet nie wiemy, jak ta rewolucja komunikacyjna zmieni nasze życie, to widać dopiero po czasie. Z okazji tej niezwyklej lektury, jestem w wielu domach, pod łóżkiem i w łóżku, przy stole i pod stołem, tyle radości i dramatów, chorób, umierania, narodzin dzieci. To poruszający dokument naszego czasu. Wartością dziennika jest to, że nawet nieporadnie pisany, bywa znakomitym świadectwem. Cała umiejętność stworzenia wartościowego dziennika, to znalezienie własnej formuły na opis mijających dni. Dlatego, to często nie znakomici pisarze tworzą najciekawsze dzienniki, najnudniejszy jaki znam napisał Tomasz Mann, pisarz jest zawsze zagrożony przez swój talent do ubierania rzeczywistości w fikcję, kiedy siłą dziennika jest zwykle jakaś forma nagości.

Wzbogacony ponad setką współczesnych świadectw, pytam ponownie sam siebie, jaka jest dzisiaj Polska? Oczywiście, nie jest możliwa jedna, spójna odpowiedź. Polska jest bardziej różnorodna niż to nam się wydaje, a rozsądna odpowiedź ogólna może być tylko jedna – ona zmienia się szybko i cywilizuje. To ostatnie słowo nie prowokuje już dreszczu ekscytacji, a te zapiski potwierdzają, że nasza cywilizacja jest chora, problem, że nie znamy innej drogi, więc musimy iść tą, która jest.

Jak zwykle najbardziej porusza dramat życia. Nie miałem nigdy złudzeń, że ludzie bardziej się męczą ze sobą osobiście i ze sobą nawzajem, niż okazują to ich codzienne twarze. Co innego jednak wiedzieć teoretycznie, a co innego dotknąć dłonią ukrytych dramatów. Oczyma wyobraźni widzę, jak rano przed wyjściem z domu, każdy z nas poprawia swoją twarz, tę na wynos, kobiety się malują, wszyscy regulują uśmiech, zacierają ślady rozpacz i wychodzą na ulicę.

Ciekawe jak zmieniła się geografia łęków. Lęk przed niechcianą ciążą zmniejszył się wyraźnie, mimo upartej walki naszego Kościoła i skrajnej prawicy z pigułką, za to monstrualnie urósł strach przed utratą pracy, lub dramatem niemożności jej znalezienia. I jest powszechne zabieganie. Zdarza się nawet taka refleksja: „Doznałam kompletnego znieczulenia na sprawy życia wiecznego. Sprawy doczesne tak mnie przyniotły”.

Materializacja naszego życia jest widoczna jak na dłoni. Jedna z autorek pisze: „Teraz jest taki pęd do robienia kariery. Do zarabiania pieniędzy. Wiem, że teraz wystawię się na pośmiewisko, ale wierzę w to, że są jeszcze inne wartości oprócz pieniądza. Włochaty.” Ta włochatość pieniądza jest wspólnym doświadczeniem starszego pokolenia, najmłodsze tuli się czule do jego sierści, chociaż tak często choruje potem na różne uczulenia. Jedna z autorek poetycko pisze o sztuczności naszej cywilizacji, wylicza wiele rzeczy, które są na niby, a potem jest taka refleksja: „Gdy ludzie będą dalej pielęgnować niby-światy nie będzie już dla nich realnej rzeczywistości”. Tak, ja też mam wrażenie, że coraz bardziej żyjemy na niby.

Czasami w dzienniku trafia się pytanie młodych, zabawne już nawet dla mojej generacji: „Jak wyglądał świat za socjalizmu. Jak żyli wtedy ludzie? Co czuli? Obrzydzenie, energię, radość, smutek? Ciekawe.” Ciekawe, że tak to się spatynowało, jakby PRL to była epoka jaskiniowa. Dopiero teraz widzimy, ile było przytulnych miejsc w tych jaskiniach, i że dzisiaj w luksusach naszego wolnego świata, jest nam coraz zimniej.

W dziennikach jak na dłoni widać wielką zmianę obyczajową. Młode dziewczyny piszą niezwykle otwarcie o swoim życiu erotycznym. Nie do pomyślenia, aby Zofia Nałkowska

czy Maria Dąbrowska nawet w przypiływie największej szczerości odnotowały intymne szczegóły dotyczące ich seksu. Nowa generacja pisze dziennik niemal bez wstydu, gdyż wszystko co ludzkie jest naturalne. I jest branie przez kobiety spraw w swoje ręce, to jest jednak wielka zmiana obyczajowa, wymuszona również przez ekonomię. Nie ma więc większego znaczenia, że w Polsce ruchy feministyczne są zaskakująco słabe, Polki i tak odzyskują utracone pozycje. Ciekawe jednak jest pytanie – dlaczego w Polsce feminizm jest tak wąty? Czy to nasz katolicyzm, ornamentalny, ale krępujący jak przyciasna koszulka, ze swoimi antifeministycznymi kokardkami, ale z koronką kultu Maryjnego? To byłoby za mało. Polki mają u nas różne ukryte i jawne gratyfikacje, a historia kazała im tak często zastępować mężczyzn, pożeranych przez smoka powstań. Więc jest u nas pełne sprzeczności połączenie patriarchalnego stosunku do kobiet, z ich tradycyjną ważnością. I te wszystkie gesty, nie zawsze puste, całowanie w rękę, puszczenie kobiet przodem, podawanie płaszcz. Nie ma też wątpliwości, że historia bardziej pokaleczyła polskich mężczyzn, kobietom częściej udawało się ocalić wewnętrzną harmonię. Nasza scena polityczna zdominowana przez paranoi-dalnych mężczyzn, jest tego widocznym świadectwem. A całkowity brak odniesień do naszego życia politycznego w tych dziennikach, jest też znamieny. Dwa lata temu wiele autorek komentowało polityczne wydarzenia, teraz zapewne dla higieny psychicznej przestały się nią interesować. Skoro nie mamy wpływu na przebieg wydarzeń, przestajemy je śledzić. Jest to niepokojące przesłanie dla naszej demokracji.

Mimo, że praca stała się tak ważna, nadal największe przeżycie dla kobiety to cud narodzin dziecka. Ale już z wychowaniem dzieci są problemy, kobiety nie mają na to czasu. Nic dziwnego, że coraz częściej dzieci wymykają się z rąk rodziców, nie ma jednak buntu pokoleniowego, jest raczej bezradne partnerstwo, a rodzice przestali być autorytetem.

Nasi politycy gdyby potrafili słuchać i patrzeć, ale ich wzrok nie sięga dalej niż ich partyjne lamyfundia, nieustannie zagrożone przez wrogich sąsiadów, zobaczyliby, że młode pokolenie odrzuca patriarchalny model w męsko-damskich stosunkach. A to będzie miało konkretny polityczny wymiar. Jeśli nasza narodowo-katolicka prawica nie zmodernizuje

swojego archaicznego myślenia, będzie skazana na polityczne klęski na całe pokolenia.

Sąsiad Ł. jak zwykle prosił mnie abym „mu przytrzymał matkę”. Od lat opiekuje się, schorowaną i sędziwą. Stała się lekka, pomarszczona i jednowymiarowa, podobna do wysuszonego liścia. Wynosił ją na rękach z domu, a moim zadaniem było ją przytrzymać palcem przy ścianie budynku, on podjeżdżał samochodem, do którego ją delikatnie wsadzał. A ja myślałem wtedy – nie mogę pozwolić by doprowadzić się do stanu, kiedy ktoś będzie mnie przytrzymywał palcem, abym nie upadł i nie pokruszył się jak zasuszony liść. Tego dnia kolega kiepsko się czuł, powiedział, że chyba serce. Zaśmiałem się, serce? – przecież jest znany ze świetnej kondycji, wspina się, jeździ na nartach. „Coś zawsze kiedyś zaczyna się” – powiedział ironicznie. I tego dnia, wieczorem, miał zawał.

Kiedy wyszedł z najgorszej opresji, odwiedziłem go w szpitalu na Banacha. Szpital działa na mnie jak ciężka choroba, gdy tylko zbliżam się do tego gmachu, czuję kilkanaście tysięcy chorób, które przyczajone jak drapieżniki, gotowe są do skoku, w dżungli mojego organizmu. Do opisu piekła nie jest mi więc potrzebny Dante.

Strach się przyznać, ale tak naprawdę, to marzę o nagłej śmierci, choćby w wypadku lotniczym. Zapewne dlatego ostatnio zupełnie nie boję się latać samolotem, nic a nic. Taka śmierć wydaje mi się względnie higieniczna, chociaż zapewne innego zdania są ci, którzy zbierają szczątki ofiar.

Zastałem chorego poza pierwszym kręgiem piekła, czyli w holu szpitala. Tam jest granica dwóch światów, gdzie choroby mieszają się ze zdrowymi, tu widać, że choroba i zdrowie, śmierć i życie, są za ścianą z bibułki. Ł. siedział na inwalidzkim wózku, obok miła, młoda, ładna i literacko utalentowana przyjaciółka. Pojawił się też R. – znany fotograf i zrobił nam kilka zbiorowych zdjęć na pamiątkę udanego zawału. Ofiara choroby opalona, artystycznie zarośnięta, trzeba powiedzieć, że sąsiad wyglądał po prostu znakomicie po swoim zawale i był w szampańskim humorze. Nagle ze zdumieniem poczułem, że mu zazdrozczę. On ma przynajmniej ten zawał już za sobą. A na dodatek posiada dobre usposo-

bienie, tego nie da się operacyjnie ani usunąć, ani wszczepić. Zapłacę każde pieniądze, narażę się na ryzykowny zabieg, gdyby można było przeszczepić dobre usposobienie. Ja zawsze wybieram w wyobraźni najgorsze warianty, on widzi zawsze najlepsze. To pierwsze jest wyraźne w moich tekstach w *Kulturze*, dlatego nieraz ostrzegam czytelników, aby wobec mojego ciemnego widzenia byli nieufni.

W przypadku Ł. nastąpiła też ciekawa zamiana ról. Nagle ożywiona matka odwiedziła go w szpitalu, spotkali się oboje na wózkach. Popatrzyła na niego z wyrzutem i powiedziała, że to wszystko dlatego, że źle się odżywał, co mu wypomina od dzieciństwa. Potem oświadczyła: „Muszę ci powiedzieć, że twoja choroba fatalnie wpływa na mój stan zdrowia.”

Kiedy Ł. szykował się do wyjścia na wolność, zamierzał grać w tenisa, ale bez dojść do siatki, nagle dostał wiadomość, że jego serce jest jednak w kiepskim stanie i konieczny będzie *by-pass*. Ja bym od tego dostał od razu następnego zawału, a on się tylko trochę zadumał. Kiedy było już po zabiegu zadzwonił do mnie z telefonu komórkowego. Opowiadał, że niemal przez cały czas musiał współpracować z zespołem operacyjnym, nie było więc czasu na metafizykę. Ale zgadzamy się, wygląda na to, że ludzie zaczynają wchodzić na teren zarezerwowany dla Pana Boga. Złapał mnie tym telefonem w chwili gdy wróciłem ze wsi, szosa była usłana zwłokami drzew powalonych przez nagłą wichurę. Powiedział, że słyszał, że na naszym podwórku drzewo też miało zawał. Ze słuchawką w rękę wychyłam się przez okno i ze zdumieniem widzę, że w mroku leży wielka, stara lipa i swoimi gałęziami jak ramionami pokrywa dramatycznie całe podwórko. A więc o śmierci starego drzewa, które stało za moim oknem, dowiaduję się z odległego szpitalnego łóża, od kolegi, który leży z rozkrojoną klatką piersiową. Takie czasy.

Śmierć drzewa porusza nas. Drzewa są paradoksalnym połączeniem istoty żywej i martwej. Martwe jest zakorzenie w jednym miejscu, ożywia je wzrost, ramiona gałęzi, mowa szumu liści. I ta długowieczność, która uczy nas pokory. Zwalone drzewo ujawnia swoje wstydliwie ukryte korzenie, które po wypadku przypominają ludzkie wnętrza. W miejscu złamania krwawi żywica, a kora niepokojąco przypomina skórę starego człowieka. Powalone drzewo leżało

przez cały dzień w swoim dramatycznym i ostatecznym geście, obejmując ramionami konarów całe podwórko. W środku nocy nie mogłem się powstrzymać, by nie brodzić w jego upadku, chodziłem wśród rozpostartych i zwykle niedostępnych ramion, starając się nie deptać po liściach i gałęziach. Nazajutrz przyjechali grabarze drzew, lipę pocięli i złożyli z niej niepokojąco małą kupkę. Po kilku dniach wszyscy już przyzwyczaili się do nieobecności drzewa, moje okno przywykło do braku cienia, a zmieniony wygląd podwórka osadził się w naszej świadomości jako naturalny. Czy nie jest podobnie z ludźmi, których znałem przez lata, a którzy coraz częściej zaczynają znikać z podwórka mojej pamięci?

Ukradziono obraz Utrilla, jak zwykle u niego to była biała paryska uliczka. Zdumiewające, że ten obraz przetrwał tyle lat niepilnowany na parterze naszej klatki schodowej, wisiał nad skrzynką do listów. Spodziewałem się, że to się stanie, prędzej czy później, a jednak jest mi przykro. Przed wieloma laty ta reprodukcja zdobiła ścianę mojego rodzinnego domu. To był czas gdy nawet kulturalni ludzie wieszali w mieszkaniach reprodukcje wielkich dzieł, zafascynowani rumieńcami kolorów, których nagle nabrały fotografie, dzisiaj te kolory już tylko wzruszają swoją nieporadnością. Powieszenie tego obrazu, to był jeden z kilku aktów estetycznych, których dokonałem w ramach cywilizowania naszej klatki schodowej. W domach starej generacji, klatki schodowe przypominają miejskie ścieki, tak jest nawet w centrum miasta i nic się nie zmienia mimo Wielkiej Zmiany. Starsi mieszkańcy mojej oficyny najpierw byli skonfundowani, potem jednak zaakceptowali kolorowe drzwi, reprodukcje i kwiaty. A zniknięcie obrazu potraktowano jako potwierdzenie, że nieustannie trwa u nas jakiś koniec świata. Zdarza się co jakiś czas, że wieszam na parterze pokancerowane lustra, które znajdują na śmietniku, one jednak są kradzione w ciągu jednego dnia. Bez wartości na śmietniku, tu nagle zyskują na wartości. Utrillo uchwycił się zaskakująco długo, był zapewne zbyt wyrefinowany na przeciętny gust. Czyżby zwędził go jakiś wrażliwy koneser prawdziwego malarstwa?

Ostatnio zaczął się ucieleśniać projekt bramy, która ma

odgrodzić nas od ulicy, ta ulica codziennie wkracza, zwykle chwiejnie, na nasze podwórko, wydała, wymiotuje i śmieci. Każdego wieczoru w załomie bramy stoi kilka lub kilkanaście pustych butelek, wzruszająco starannie opróżnionych. Jest już decyzja w sprawie tej bramy, ale naszej wspólnocie mieszkańców znowu brakuje pieniędzy. Niedawno ze zgromadzenia ujrzałem jej projekt, ma być stalowa, pełna, podobna do więziennej. Ludzie chcą całkowitej izolacji. A przecież to, co zostało z przedwojennej bramy, ujawnia ażurową urodę tej starej. Dowiaduję się, że konserwator dzielnicy, bez problemu daje zgodę na niemal wszystko. I tak szpetnieje nasze miasto. Coraz wyraźniejsza jest tendencja do izolowania się, każdy kto ma pieniądze zamyka się w nowej dzielnicy – twierdzy. To kolejny upadek naszej solidarności w kilku wymiarach tego słowa. W Stanach Zjednoczonych te getta dla biednych i getta dla bogatych urosły monstrualnie. Czy takim gettem dla biednych będzie cała nasza wieś i gorsze dzielnice naszych miast?

We wstrząsającym dzienniku Victora Klemperera, intelektualisty, niemieckiego Żyda, który w Niemczech jakimś cudem przeżył hitlerizm, porusza mnie jego notatka z roku 1937 – „Niedawno wyszła ustawa budowlana zwalczająca ‘niepohamowany liberalizm’ – domy muszą być dopasowane do ulicy i krajobrazu. Więc zażądano, żebym zamiast papy dachowej miał łupek na dachu itd.” Przychodzi też do niego specjalna komisja i zarzuca mu, że ogród jest zaniedbany, za wiele w nim chwastów. Trudno mi bronić hitlerowskich zarządzeń, ale jakaś forma estetycznego totalitaryzmu czasami mi się marzy u nas, w tej estetycznej anarchii. A ten brak estetyki zaraża u nas wszystkie dziedziny, też politykę.

Na przyjęciu spotykam Marcina Świąćckiego, byłego prezydenta Warszawy. Mówię mu, że niepokoi mnie kierunek w jakim zmierza wielka rozbudowa Warszawy, jej bujność jest bezmyślna, ślepa, widoczna na każdym kroku dominacja pieniądza nad estetyką. I nie ma wizji rozwoju miasta, rządzi chaos. Mam wrażenie, że prezydent nie wie o czym mówię, opowiada jaki jest rozmach nowego budownictwa w stolicy. Mam wrażenie, że on nie czuje sfery estetycznej, nie wie na czym polega istota prawdziwego miasta. Brak czucia tej sfery jest u nas powszechny, nawet nasi intelektualiści mają tu spore braki.

Polski katolicyzm jest takim niezwykłym zjawiskiem, jak to możliwe, że nie powstają u nas filmy, powieści o jego za-
wilościach. A przecież kto wie, czy to nie jest jeden z kluczy
do wielu naszych problemów. Żywa obecność polskiego pa-
pieża wzmacnia polską wersję uproszczonego katolicyzmu,
Polacy z tego co mówi Papież, biorą słowa które im akurat
pasują, a Papież ma też swoją stronę konserwatywną, więc
mogą się naszym Papieżem konserwować.

Dostaję wiele książek i wiele bolesnego trudu wkładam
w eleganckie ich pozbywanie się, nie chcę aby zaczęły mnie
zjadać, książki o tematyce religijnej oddaję ludziom o któ-
rych wiem, że wierzą, chodzą do kościoła, i że potrafią
czytać. Ale ze zdumieniem widzę, że nie interesują ich te
prace pełne przystępnej religijnej refleksji. W Szwecji ukazał
się niedawno nowy przekład Biblii, w ciągu dwóch miesięcy
sprzedano 700 tys. egzemplarzy. A szwedzkie kościoły są
puste. Polskie pełne po brzegi. Dlatego jest opinia, że Szwec-
cja jest krajem w pełni zlaicyzowanym. Ale mój przyjaciel,
znany szwedzki eseista, uważa, że to wbrew pozorom jest kraj
religijny, ale tam ludzie noszą kościół w sobie. Polski
katolicyzm jest pogański, obrządkowy, ornamentalny i płytki.
Dlatego naszych katolików nie interesuje refleksja w
ramach wiary, wystarczy im kościelny obrządek i ubogie
intelektualnie kazanie księdza. Nie dziwny się więc, że w
Polsce taka jest słabość intelektualna partii politycznych i
polityków, którzy swoje korzenie wywodzą z katolickiej
religii. I stąd tak krzykliwe są narodowe barwy naszej wiary.
Katolicyzm ze swej istoty jest ponadnarodowy, kosmo-
polityczny. Jakiego gwałtu trzeba było na nim dokonać, aby
stał się sprawą narodową, a Matka Boska otrzymała polski
paszport. Ożywa zabytkowe pojęcie „Polak katolik”, a przy
okazji „Polska dla Polaków”. To pierwsze pojęcie jest
dzieckiem narodowej tragedii. Narodziło się w wieku XIX,
wcześniej takie myślenie byłoby samobójcze, wieloetniczna,
wielokulturowa i wieloreligijna Polska bez tolerancji, też
religijnej, rozpadłaby się jak domek z kart. Ale to, co kiedyś
było siłą w walce o zachowanie polskości, teraz bywa
anachronizmem i słabością. Brak głębszej refleksji na ten
temat jest poruszający, nie ma powieści ani filmu, które by
dotykały problemu komplikacji polskiej religijności, jakby to

tkwiło tak głęboko w naszych bliznach, że nikt nie potrafi
wyłuskać problemu.

Decyzja o narzuceniu przez premiera warszawskiej gmi-
nie Centrum komisarza, AWS-u, bo dotychczasowy samorząd
z przewagą radnych Unii podobno bałaganiał, jest kroplą,
która przepełnia dzban konfliktów koalicjantów, AWS i Unii
Wolności. A może to nie kropla, a tylko wykalkulowany
pretekst? Cała ta warszawska afera jest nie do pojęcia, nie
tylko dla zwykłego zjadacza chleba. Aleksander Smolar z Unii
Wolności napisał: „Ta kombinacja grozy i groteski kompro-
mituje koalicję. UW powinna wycofać ministrów, wykazać,
że nie jest partią korupcji i przygotować się do wyborów
parlamentarnych.” Które w cuglach wygrywa SLD, czego
Smolar już nie mówi, ale o czym wie.

AWS nagle uświadamia sobie, że zbliża się katastrofa,
rozpad koalicji, być może przedterminowe wybory, a więc
koniec rozkoszy i zarazem koszmaru rządu, dlatego AWS
kładzie uszy po sobie i idzie na kompromisy, ale nie może
przecież zmienić swojej istoty. Jak ma się AWS dogadać z
Unią, kiedy nie może dogadać się ze sobą, jest zlepkiem
kilkunastu partii, partyjek. Owszem, ma w swoim poselskim
składzie kilkunastu ludzi obdarzonych zdrowym rozsądkiem,
dlatego aż dziwne, że nie są oni w Unii, ale ma też liczne
kreatury i nawiedzonych, dla których głównym problemem
jest zatrucie seksualne Polaków i lęk, że Europa nas zgwałci.
Dlatego w Sejmie posłowie AWS-u tak często głosowali prze-
ciwko własnemu rządowi, czasami śmiało razem z PSL-em i
SLD. Dla Leszka Balcerowicza, który jest zasadniczy, jak na
polityka nawet za bardzo, to było nie do zniesienia. A jednak
Unia tak długo znosiła to wszystko, więcej, od samego po-
czątku było wiadomo, jak jest, czyli widziały gały co brały. I
na zdrowy rozum wydaje się, że Unia spokojnie mogła znosić
to bolesne jajko z AWS-em aż do terminu wyborów. W
kategoriach racjonalnej polityki, nie da się więc pojąć nagłego
krachu, który nastąpił. Chyba, by przyjąć spiskową wersję,
którą upowszechniają wrogowie Unii, że zaczynają się
ekonomiczne kłopoty i Unia w sam czas opuszcza okręt, któ-
ry nabiera wody. Wydaje się, że powody są jednak bardziej
skomplikowane i bynajmniej nie niskie, chociaż nie zawsze

do końca racjonalne. Ale czemu się dziwić, skoro nawet wojny światowe wybuchały w sposób irracjonalny, istnieje też zjawisko samonapędzającego się mechanizmu konfliktu i potem nie ma już odwrotu. Jeśli pójdzie się do źródła problemu, to widać, że Unia zawarła związek małżeński z dziwnym zlepiem, który łączy szeroko rozumiana prawicowość i dawny antykomunizm. Zawarła ten związek powołując się na wspólne solidarnościowe korzenie, zrobiła to jednak bardziej z rozsądku niż z miłości. I jak to w małżeństwach, które przeżyły tyle konfliktów, nastąpiła erupcja pretensji i emocje wzięły górę. Uruchomiono mechanizm, który okazał się nie do zatrzymania. Cały ten spektakl, to wielkie zamieszanie, humorystycznie sprzeczne wypowiedzi po obu stronach, kielbaszenie się, które ośmieszyło obie partie. Ostatnio co raz, któryś z moich znajomych mówi – „nareszcie rozumiem Marszałka Piłsudskiego, że zrobił zamach majowy”. Ale przecież wystarczy pójść na pierwsze lepsze zebranie, choćby wspólnoty mieszkańców jakiejś nowej dzielnicy, miałem niedawno kilka relacji z takich zebrań, tam są podobne kłótnie, bałagan, nieporozumienia i niemożność wynegocjowania kompromisu. Uznajmy więc, że to jest jednak cecha narodowa, która nadal uparcie w nas żyje.

Gdy już nikt nic nie rozumiał, o co chodzi w konflikcie, nawet ważne figury polityczne w obu ugrupowaniach przyznawały się, że nic nie rozumieją, a wszystkie spotkania ludzi spoza polityki, którzy jeszcze interesują się polityką, a jest ich coraz mniej, zaczynały się od słów „ale kabaret”, Unia Wolności wycofuje swoich ministrów z rządu. Premier, chociaż w każdej chwili gotowy ustąpić, nie przyjmuje ich dymisji, a więc niespodziewanie spektakl trwa nadal. AWS pada na cztery łapy, merda ogonem i godzi się na niemal wszystko, proponuje na premiera Mariana Krzaklewskiego, czego wcześniej Unia się domagała. Ale Unia już nie chce Krzaklewskiego, chce marszałka Płażyńskiego, ale marszałek gryzie się z przewodniczącym Krzaklewskim i część AWS go nie lubi, jest za bardzo liberalny, więc nie ma mowy... pojawiają się jakieś nowe, mało znane publicznie postacie, jako kandydaci na premiera... Aż w końcu, w oddechu ulgi, wszystko kończy się rozwodem.

To w wielkim i chamskim uproszczeniu. Minęło dziesięć

lat, wybaczałyśmy naszym lub nie naszym politykom różne błędy, podobno uczyli się. Teraz widać jak na dłoni, że niczego się nie nauczyli.

AWS to wewnętrznie skłócone, schizofreniczne ugrupowanie, jak już wspominałem, część posłów systematycznie głośnie przeciw swojemu rządowi, czasami wspólnie z opozycją. Premier jest słaby, niekompetentny i manipulowany przez Krzaklewskiego i jego kolegów, dlatego został premierem. Powstało nawet pojęcie, upowszechniane również przez znanych polityków prawicy – „premier jest sterowany z tylnego siedzenia.” Nic dziwnego, że czasami podejmuje decyzje, które stają się katastrofą, on sam wydaje się zaskoczony tym jak narozrabiał. Nieudolnie broni się, nie może przecieżyć z płaczem wykrzyknąć „to Marian mi kazał.”

Gdy wychodziłem z Ruchu Stu, mówiłem, że nasza prawica nie jest na razie w stanie stworzyć trwałej formacji, że jest w niej autodestrukcyjna, która ją zniszczy. Uważałem, że trzeba budować zdroworozsądkowe centrum, nawet za cenę marginalizacji, to jest niewdzięczna praca na dziesięciolecie. Ruch Stu wszedł jednak do AWS i został zamieniony w marmoladę, na której urósł twórca partii, czyli Czesław Bielecki. On sam w sobie jest żywym i gadającym pomnikiem błyskotliwej inteligencji, tacy ludzie jednak zwykle nie są dobrymi politykami, gubi ich arogancja, dla kretyństwa dookólnego. Bielecki świetnie by więc pasował do Unii, ale jest zbyt przekorny na tę partię i tam miałby konkurencję, w AWS-ie może z nim konkurować tylko Jan Maria Rokita, wyobrażam sobie jak się kłóć przy każdym spotkaniu.

Rodzice często bywają największym problemem dla swoich dzieci, tak jest z Marianem Krzaklewskim, który AWS stworzył. Świetnie rozumiem, że Unia nagle Krzaklewskiego nie chce na premiera, ja też reaguję na niego alergicznie, gdyby został premierem, to miałbym cały czas wysypkę. Ale ja nie jestem politykiem. A paradoksem przypadku Krzaklewskiego jest to, że chyba tylko on mógł scalić prawicę, też dzięki cechom, które ja uważam za jego nieznośne wady. Scalić jednak nie wystarczy, potem trzeba tym ciałem kierować, a ono jest masą bezkształtną. Tu jest bieda. A poza tym Krzaklewski to polityk zaściankowy, przede wszystkim manipulant, związkowy gracz, jaki z niego polityk, to szarusek

intelektualny, ale za to jaki wielki narcyz! I ten głos zawsze nastrojony na patos. Nie do zniesienia.

Ale nie tylko to jest nie do zniesienia. Pokazano w telewizji gabinet cieni wyłoniony z SLD, ujrzałem wśród nich twarze polityków, które wytarły się przez lata i stały mi się obojętne, w czym z pewnością pomaga mi moja nędzna pamięć. Ale wśród tego zbioru nagle objawia się niepiękne oblicze Longina Pastusiaka, jako kandydata SLD na przyszłego ministra spraw zagranicznych. I nagle poczułem skurcze wymiotne. Pamiętam go z czasów gdy opluwał NATO i amerykańskich imperialistów. To on zamiast Geremka będzie ministrem spraw zagranicznych?! Ale przecież gdyby ministrem miał być Jacek Kurski z ZChN-u, gęba bandziora, a myślenie zapiekłe jak przypalony kotlet schabowy, to z dwojga nieszczęść wolę już Pastusiaka.

Czy nowa sytuacja otrzeźwi AWS? Muszą teraz rządzić samodzielnie, rząd stał się mniejszościowy, to jak chodzenie po polu minowym, jeden nieostrożny ruch i po nich. Dlatego na razie AWS nagle wyrozsądniał. Ciekawe na jak długo zachowają wstrzemięźliwość fundamentaliści naszej prawicy?

Można krytykować Unię, że jak na taką mądrą partię, to grała trochę niemądrze, ale ja ich rozumiem. To jest sytuacja, gdy małżeństwo z rozsądku staje się koszmarem i już tak dłużej nie można. Nawet gdy żona wraca z płaczem i mówi, że się poprawi, to już dłużej nie można. Problem, że profesjonalny polityk dla dobra sprawy pójdzie do łóżka nawet z prosiakiem. I trzeba tu zauważyć, co łatwo przeoczono, że Unicy jednak oddają władzę, rezygnują z niej dobrowolnie. A to w Polsce wielka rzadkość. Leszek Balcerowicz, dla licznych Polaków źródło ich wszystkich nieszczęść, a dla tych mądrzejszych i wykształconych twórca polskiego cudu gospodarczego, mówi, że sytuacją nie do zniesienia „było zawłaszczanie państwa w interesie poszczególnych – niekiedy małych – grup posłów.” To prawda, ale czy nie odnosi się ona też czasami do Unii? Wolę aby mnie zawłaszczali ludzie inteligentni niż bęcwałstwo narodowe, lecz najlepiej, by nikt nie zawłaszczwał.

Wersja optymistyczna – te lata związku Unii z AWS-em można uznać za ważny element cywilizowania naszej prawicy, odsiewania ludzi rozsądnych od nawiedzonych. Zacierania niebezpiecznego podziału na Polskę narodowo-katolicko-

prawicową i liberalną. Ale można też obawiać się, że nastąpiło całkowite rozmazanie się oblicza politycznych partii. Najbliższe lata pokażą, jaki jest prawdziwy stan rzeczy.

Biadolenie, że rozpada się obóz Sierpnia. Historycy idei zapewne ten miesiąc wyznaczają jako datę śmierci tej wspólnoty ducha. Ale przecież my wiemy, że wspólnota rozpadła się już dawno, w chwili, gdy szlachetni, bo przegrani, prześladowani i bezinteresowni działacze „Solidarności”, nagle rzucili się na władzę, jak stado zgłodniałych wilków. To nie jest tak, że wszyscy się ześwinili. Ale ów słynny etos został roztrzaskany, są tylko pokruszone skrawki, o które już tylko można się pokaleczyć.

I od lat, niechęci między ludźmi o wspólnej przeszłości i ideałach, jak to w rodzinie, po kłótni są większe, niż wobec obcych. To cień wroga scalał, to co już dawno powinno się rozpaść. Cień wroga, który nie jest wrogiem śmiertelnym, to kiepskie spoiwo, a gdy się przyjrzeć bez emocji, to programowo SLD jest często bliżej Unii, niż Unii do AWS-u.

Ministrowie Unii żegnają się z posadami, jest w nich heroizm podjęcia jedynej słusznej decyzji, ale szybko rozmałowy w wahaniach, w próbach pojednania, szkoda tych wspańniętych posad i szkoda Polskę zostawiać w niekompetentnych rękach, ale honor i zasady nie pozwalają im zostać.

PSL krzyczy, że uciekają z tonącego okrętu, oni, którzy sami ten okręt topią. Jak słucham przywódców tej chłopskiej partii, to mam wrażenie, że słuszne poczucie wiejskiej krzywdy przekuwają na myślenie paranoidalne.

Z kolei SLD nastraja swoje wypowiedzi na ton współczucia wobec narodu męczonego rządami AWS-u i Unii. Polska w ich wizji zmienia się w jeden slums, pełen śmietników, z których biedni ludzie wyjadają resztki. W tym roku nastąpił jakby pewien przełom. SLD miało do niedawna wyrzuty sumienia za komunistyczną przeszłość, to kazało im mitygować się w czynach i słowach. Teraz mają poczucie, że wszystkie rachunki się wyrównały. Pazerność, niekompetencja, konformizm ich politycznych przeciwników, wyzerowały przeszłość tych kiedyś młodych wilków PZPR-u. A więc jest odpust całkowity. I można sobie teraz do woli pohulać.

Na warszawskich targach książki, chwytam mnie za rękaw

właściciel dużego wydawnictwa, dawny działacz komunistyczny. Wie kim jestem, jaką miałem biografię, a jednak bez wahania, z pianą nienawiści na ustach, mówi mi o tych cholerycznych „solidaruchach”. To nowe określenie, ich odpowiedź na określenie „komuch”. Skrajna prawica ma nadal swoich komuchów, zjadli postkomuniści mają teraz obiekt nienawiści, „solidaruchów”. A ja nic, ja nie znajduję już w sobie nawet odruchu, by protestować. To też znak czasu. Odradzają się dwa powszechne za PRL-u słowa – „Oni” i „w tym kraju”. Nieustannie to słyszę, nawet w ustach osób mi bliskich.

Migawki z polskiej wsi. Szosą idzie pogrzebowy kondukt. Na czele potężny, stary traktor, a do niego dyszlami zaprzężono drewniany wóz. To nie jest jednak pogrzeb wiejskiego wozu. Na wozie jedzie trumna, a za traktorowionym wozem idą żałobnicy.

Ten niezdatny, potężny traktor, który ciągnie mały drewniany wóz, jest jakimś symbolem naszej współczesnej wsi. Od ludu wiejskiego próbuję się dowiedzieć, czy lud coś rozumie z obecnego politycznego galimatiasu. Lud nic nie rozumie, dlatego snuje jakieś spiskowe teorie. Każdy ma zresztą jakiś swój spisek a te spiski od razu się kłócą, kiedy się spotka dwóch chłopów. Na szczęście dla nas.

Przyszła do mojej chałupy sąsiadka. Przyniosła koziego mleka, ta koza sąsiadów jest malownicza ze swoimi rogami i zaskakująco długą, siwą brodą. Sąsiadka urodziła się w pobliskiej wsi. Opowiada o swoim życiu i o życiu jej męża. Biografie tego pokolenia, tak miejskiego jak i wiejskiego, pokazują jak wielki był dramat tego kraju. I to jednak jest jakimś usprawiedliwieniem, czy przynajmniej wyjaśnieniem, powszechności tego zdumiewającego połączenia trzeźwości myślenia z pełną nietrzeźwością. Kiedy maluję płot, sąsiad, bardzo wiejski chłop, opiera się o swój płot, już bardzo zmurszały i pogaduje. Przez lata, po wojsku, był kierowcą безпеki, nawet przez jakiś czas jeździł jako kierowca generała Moczara. Snuje więc jakieś swoje spiskowe wizje na temat naszej politycznej sceny. Ale potem zupełnie trzeźwo opowiada jak to w roku 1957, przez kilka dni, z gmachu UB w dzień i w nocy woził ciężarówką tajne papiery do Jeziornej, gdzie były niszczone. Więc w sprawie lustracji jest rozsądny. „Panie, jak

można wierzyć temu co zostało z tych dokumentów” Powiniennem go kiedyś wypytać, co widział i słyszał za kierownicą, kierowcy są często najlepiej poinformowani. Problem, że to właściwie przestało mnie już interesować. Bardziej mnie interesuje, gdy opowiada o grobli, która teraz przecina moje pole. Kazał ją usypać ksiądz Radziwiłł, który z pobliskiego pałacu jeździł nią konno i dał w róg myśliwski. Jeśli gajowy mu nie odpowiedział swoim rogiem, to wylatywał z pracy. Takie to były jeszcze pańskie czasy.

Pobliska miejscowość W. liczy sobie dziesięć tysięcy mieszkańców. Po roku 1989 z pogromu nierentownych zakładów przemysłowych ocalała tylko mleczarnia. Najpiękniejszym budynkiem jest barokowy kościół, na rynku. Dalej trudno mówić o jakiejś urodzie tego miasteczka, ale mimo bezrobocia i faktu, że większość mieszkańców pracuje w Warszawie, oddalonej przecież o 90 km, to jednak widać rozwój miasta, nie widać biedy. Podobno rano tworzą się korki na szosie, taki jest natłok samochodów opuszczających miejscowość. Niedawno w miasteczku otwarto duży supermarket. Dobrze wyposażony, można wykrzyknąć: „Ale Europa!”, nazywa się „Sezam”, są w tym sklepie nawet wyrafinowane gatunki sera, co zabawnie kontrastuje z pewną wiejskością sprzedawców tych wyrafinowanych towarów, na które jednak znajdują się amatorzy.

Wokół tego supermarketu powstały wielkie emocje. Właściciele małych sklepików byli pewni, że magazyn ich wykończy, okrzyknięto, że to najazd Obcego, poszła plotka, że udziały w tej sieci sklepów ma reżyserka Agnieszka Holland. Podobno ma jakieś rodzinne powiązania z miastem, jakieś kamienie do odzyskania, co napędziło spiskowe myślenie. Nie wiem czy Agnieszka ma jakieś udziały w tej sieci sklepów, raczej wątpię, gdy ją spotkam, to zapytam. W każdym razie miejscowość postanowiła twardo, że będzie bojkotować Obcego. Ale Obcy był sprytny, ceny zaniżył, magazyn jest czynny do godziny 22. Poszła więc plotka, że te ceny, to tak na przynętę, potem je wywindują w górę. Po miesiącu jednak ceny nadal były niskie, a asortyment szokująco bogaty. Teraz z bojkotu zostały tylko wspomnienia. A mali handlarze przeżyli. Mieszkańcy ujrzeli, że Obcy nie zjadł nikogo, tylko w całym mieście nieco spadły ceny, a obcy pomału staje się swój.

Jemy kolację w obszernej willi właściciela firmy budowlanej, ale nie przypadkiem prowadzi ją daleko poza miastem. Miłe małżeństwo, ale są jak wszyscy dzisiaj bardzo zapracowani. I jak to w naszym pokoleniu, zaczynają się wspomnienia, wspominamy, że kiedyś mieliśmy czas i jak ten czas potrafiliśmy sympatycznie wykorzystać. Nawet w małym W., gdzie wszędzie blisko, podobnie jak w wielkich miastach, zanikło życie towarzyskie. I ta samotność bardzo ludziom doskwiera. Gospodarz kiedyś interesował się polityką, teraz nawet nie wie jaki jest układ sił partyjnych w jego miejscowości. Ledwie też rzuca okiem na polityczne kłębowski na górze. Ta niewiedza ma dwa aspekty, pesymistyczny i optymistyczny. Ludzie nie są skłonni angażować się w życie polityczne, też w inicjatywy lokalne, a to jest fatalne. Tu jest m.in. źródło porażki naszych samorządów, idą tam często ci niezrealizowani lub skorumpowani. Druga strona, ta optymistyczna, to fakt, że nasze życie gospodarcze coraz bardziej uniezależnia się od polityki. Ku zdumieniu polityków i ekonomistów, ta rządowa katastrofa nie miała wpływu na kondycję złotówki i na warszawską giełdę.

W takich małych miejscowościach jak W. martwi niezdolność ludzi do samoorganizacji, ale to chyba jest zjawisko ogólnoświatowe. Brak czasu bywa niszczący. Obok szaleńczej pracy, pojawił się też wielki pożeracz jego resztek, telewizja, są też nowi zjadacze czasu, to Internet i do niego najchętniej przysysa się młodzież. Wszystkie przyzwoite domy w W. mają już rzecz jasna telewizję kablową lub satelitarną, a też Internet. Ale ta rewolucja komunikacyjna i wizyjna okazuje się zabójcza dla życia towarzyskiego. Jeśli porównamy społeczność do lasu, to kontakty między ludźmi są mchem, to ta leśna ściółka, a jak wiadomo las bez niej jest chory.

Są jednak znaki, że ludzie zamożni zaczynają szukać pretekstu do spotkania i ładnego spędzania tych małych skrawków wolnego czasu (co jednak z tymi biednymi, im ostaje się tylko alkohol, dlatego alkoholizm w RP ma się znakomicie). Kilku zamożnych obywateli z W. zakupiło motolotnie, wcześniej przeszli wymagane szkolenie. Pobliskie pola przystosowali na lotnisko i popadli w nałóg fruwania. Po kolacji jedziemy na to łąkowe lotnisko. Te małe fruwające obiekty, brzęczące jak szerszenie, bardziej mnie wzruszają niż

samoloty, które są nieludzkie w swojej aluminiowej masie. Motolotnia jest jak wielki owad lub jak ptak, i dopiero to jest realizacją odwiecznego marzenia człowieka, by fruwać ze skrzydłami u ramion. Te fruwające nadmotorowe ptaki dają pewien rozmach, jest w nich optymizm, który uskrzydla zabieganą codzienność i prowincjonalność miasteczka.

Rozczarowanie do naszej demokracji ma wiele wymiarów i form, ale jest powszechne. Rozczarowani są inteligeni, a też prości ludzie. Nawet ci, którym bardzo dobrze się powodzi, też są rozczarowani i zaniepokojeni.

W majowym numerze miesięcznika *Res Publica Nowa* dyskusja o kondycji naszej demokracji. Grażyna Borkowska pyta ironicznie: „Czy to jest właśnie demokracja? Demokracja po polsku? Dyskretne niezadowolenie wszystkiego ze wszystkiego? Konflikt interesów? Budzenie pragnień, które nie będą zaspokojone? Frustracja i rozczarowanie zamiast aktywności i energii.” A jak to widzi Marcin Król, redaktor naczelny miesięcznika, znany historyk idei: „Mamy wybory i marne, retoryczne popisy polityków, mamy walki między partiami, które to spory niemal zupełnie zatraciły merytoryczny charakter, mamy rozwiniętą korupcję polityczną. Mamy również, jak wynika z tego, co powiedziano powyżej, zobojętnienie obywateli na wszystko, co dzieje się na poziomie politycznym. Mamy wreszcie daleko posuniętą degradację polityczności do sporów personalnych oraz scenę polityczną do takiego stopnia nieprzejrzystą, że zdrowy odruch nakazuje uznać, że albo nic się z tego wszystkiego nie rozumie, albo (co wydaje się trafniejsze) że niemal wszyscy politycy są na równi łobuzami. Żadne elitarystyczne poprawki nie mają w Polsce najmniejszych szans, a jakakolwiek zmiana istniejącego stanu rzeczy wydaje się mało prawdopodobna, gdyż nie ma sił społecznych, które jej chciałyby.” Tyle Marcin Król, największy optymistą jakiego znam.

I dla dopełnienia chóru, w tym samym numerze *Res Publici* pisze Paweł Śpiewak: „Mam dojmujące poczucie, że kłopoty polskiej demokracji są kłopotami formy, sposobu pełnienia władzy. Najwyższe zdumienie i odrazę budzi prywatyzacja czy upartyjnienie państwa, wykorzystywanie jego zasobów do jawnie partykularnych celów.”

Proszę bardzo, a to mi się nieustannie zarzuca, że użalobniam polski krajobraz. Znajoma ze Szwecji, która uważnie obserwuje Polskę, pisze po lekturze moich tekstów, że przecież Polska prze jak czołg do przodu, tak nas widzi Zachód. Jak czołg? Raczej jest jak ten traktor z drewnianym wozem, na wozie nie ma trumny, za to my jedziemy całkiem dostatanio odziani, jedni coraz zamożniejsi, inni coraz biedniejsi, a wszyscy jakby zmęczeni i nieco zatroskani. Wiele jednak wskazuje na to, że drewniane wozy są jednak na wymarcu, a lawina samochodów zatka wkrótce na amen nasze miasta.

Więc ten pesymizm wobec stanu rzeczy, to może jest zbiorowa psychoza depresyjna? Zwracam się więc do młodzieży. Od G., rektora prywatnej szkoły dziennikarskiej, dowiaduję się, że coraz częściej jego studenci nie wiedzą kim był Marszałek Piłsudski. Bawi go moje niedowierzanie, on już się do tego przyzwyczał. W końcu nasze szkoły nadal uczą historii, nazwisk i faktów, powtarzają te nazwiska media, ale młodzi wydają się celowo wyplukiwać z siebie wszelką wiedzę dotyczącą historii, a też kultury. Dla nich nie ma przeszłości, jest tylko przyszłość. Tak jest od dawna na Zachodzie, ale polska młodzież jeszcze była inna. Jak widać, równamy szybko do Europy.

Niedawno zaczęła mnie na ulicy młoda panienska, poznała moje oblicze z jakiejś fotografii, dała swoją wizytówkę. Widzę więc, że jest śmiała, energiczna, pełna życia, a na dodatek obejmuje ważną funkcję rzecznika pewnej wielkiej instytucji. A więc sukces! – czyli słowo klucz naszych czasów. Pytam ją potem już e-mailowo, co ona myśli o ojczyźnie naszej? Ona, pachnąca młodością, energią, no i tym sukcesem. Pisze: „Polska nadal się nie nauczyła kultury, pokory i szacunku dla człowieka jako jednostki. Być może jesteśmy zdolnym narodem ale często brak nam samokrytyki. Tolerancja, która jest w tych krajach, jest efektem pracy wielu pokoleń i doświadczeń, tych dobrych i tych złych. Nam jeszcze tak wiele brakuje do naszych zachodnich sąsiadów, nie tylko jeśli chodzi o gospodarkę, ale szczególnie o kulturę i ludzi. Czy moje pokolenie zmieni Polskę? Chyba nie. Do tego potrzeba dopiero pokolenia naszych dzieci, które nie będą jak my zarazone złymi nawykami. Piszę w tonie tak pesymistycznym, ale jestem szczerą. Pociuszające jest, że małymi

kroczkami idziemy do przodu, trochę wyboicie, ale do przodu!”

Patrzę, a to „mimo wszystko do przodu” jest przecież zupełnie w moim stylu, ja co jakiś czas po litanii narzekania, piszę, „że jednak idziemy do przodu, ale jakby pokracznie”. Dziewięcioletnia córka moich znajomych, w opisanym przeze mnie miasteczku, dostaje kieszonkowe od rodziców. Opowiadają z lekkim niepokojem, że bardzo oszczędza, w sklepach uważnie rozważa, co kupić, gdzie jest taniej? Kiedy pewnego dnia ojcu zabrakło stu złotych, poprosił córkę o pożyczkę. Chętnie zgodziła się, ale pod warunkiem, że zwróci jej pieniądze z procentem. Tak już rozumują dzieci, nawet na prowincji. I jak tu się dziwić, że kiedy myślimy o tych najmłodszych, to optymizm, że oni już ten kraj poprzeraniają, łączy się jednak z małym przerażeniem, jaki będzie ów produkt końcowy.

A my, którym czas płata figla, tego samego od tysięcy lat. Najpierw płynie jak rzeka, potem rwie jak strumień. Z moim kolegą, reżyserem T. ostatnio spotykam się tylko przypadkiem i zawsze w pośpiechu, on od kilku lat z bliźną finansowej troski na twarzy. Pamiętam go z dawnych czasów, jego ascetyczne mieszkanie, obaj żyliśmy z powietrza, bez żadnych finansowych trosk, bez myślenia o sprawach materialnych. Świat był dla nas prosty, czarno-biały, a my nie byliśmy po stronie mroku, lecz światła. Pytany teraz w jakiejś gazetowej ankiecie: „Co wzbudza w nim obsesyjny lęk” – odpowiada szczerze: „Brak kasy”. A na pytanie, o obecny stan umysłu, mówi: „Wielkie pomieszanie.”

Ja też czuję wielkie pomieszanie, gdy przechodzę obok pobliskiego Europeksu, który stanął w miejscu kina Moskwa. Z tego kina, zbudowanego w okolicach roku 1950, ocalały tylko dwa lwy. Pod jednym lwem umawiałem się – z kim? – a no właśnie, już nawet nie pamiętam, ale na pewno to była dziewczyna, pod drugim zawiązywałem sznurowadła gdy puszczono mnie z więziennego dołka na Malczewskiego. Te lwy wróciły po licznych interwencjach prasowych, też moich, ale surrealistycznie wyglądają przed tym nowoczesnym budynkiem. Ten gmach jest architektoniczną pokraką, to kolejna porażka współczesnej architektury. Od kilku już miesięcy działa tam podziemny kombinat kinowy, ale parter

i piętra dopiero teraz wypełniają się różnorodną treścią. A czego tam nie ma: są siłownie, restauracje, bary, kawiarnia jazzowa, restauracje.... I nagle zaczyna mi się to podobać, już jakby pozaestetycznie, tam jest jednak ruch i życie. Ale w tej radości, jak smugę siwizny, odnajduję mały smutek, że to już nie dla mnie. A przecież chodzę co drugi dzień na siłownię, na zakładkę z tenisem, bo tenis mi uszkadza kręgosłup a siłownia go reperuje, ale ta pobliska siłownia, ten klimatyzowany gigant jest mi obcy w swojej skali. Więc wolę podjechać kilka kilometrów do niewielkiego pomieszczenia, gdzie zwykle jestem sam. A kawiarnie mnie nudzą, jazz też... ja się chyba dosyć poważnie spóźniłem na ten pobliski Europleks. Ale pocieszam się, że przecież moje pokolenie zdążyło na tak wiele małych i wielkich atrakcji, których słusznie może nam zazdrościć pokolenie mojego syna. I stąd bierze się moje pomieszanie, bo zdążyliśmy i spóźniliśmy się zarazem.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Pod koniec lat pięćdziesiątych dużą popularnością w Polsce cieszyła się czeska komedia filmowa pt. „Nikt nic nie wie”. Klasyczny humor sytuacyjny wynikający z totalnej nieznajomości realiów, w jakich obracali się bohaterowie. Nie myślałam, że podobną komedię na żywo przyjdzie nam przeżyć na przełomie maja i czerwca *Anno Domini* 2000.

W normalnym kraju, jeżeli jedna z partii współzrządzących dochodzi do wniosku, że z koalicjantem ani rusz nie da się dojść do ładu, po prostu dziękuje za współpracę. Tak też się stało na początku, kiedy ministrowie Unii Wolności złożyli dymisje. Ale potem natychmiast zaczęła się komedia obietnic i niespodzianek. Pojawiały się i znikwały różne

nazwiska. Politycy robili enigmatyczne miny do biegających za nimi dziennikarzy... Krótko: obu stronom zabrakło elementarnej kwalifikacji politycznej czyli umiejętności formułowania celów i przedstawiania jej opinii publicznej. Kiedy piszę te słowa, nie mamy już koalicji, ale dalej nie wiemy, jak właściwie będzie.

Unia Wolności mówi, że kropłą, która przelała czarę jej wytrzymałości współżycia z AWS-em, było wprowadzenie przez premiera komisarza do warszawskiej gminy Centrum. Pojawił się tam zniecała pewnej majowej nocy.

Nie wchodzę w meritum zagadnienia. Znamienna była reakcja. Radni pozbawieni nagle biurek i pieczętek, zaczęli miotać się po mieście wściekli. Jeden z nich, Bogdan Tyszkiewicz, pijany (2,5 promila alkoholu we krwi), latał po Żoliborzu wymachując nabitą bronią. Przyłapany i zapytany przez dziennikarza, czy złoży mandat, odpowiedział: „Czy pan oszalał?! A cóż to złego przechadzać się z bronią w rękę po kilku kieliszkach?”

Pierwszy prezydent Warszawy po 1989 roku, Wyganowski (*nota bene*, trwoniący publiczne pieniądze na niewytłumaczalne dobrem miasta wojaże zagraniczne), stwierdza, że od jego czasów – raptem kilka lat! – zarobki radnych wzrosły dziesięciokrotnie.

29 maja br. radio gadane, TOKFM, stawia przed słuchaczami pytanie: „jak zatrudnić zawieszonych radnych?” Telefony z pomysłami urywają się: roboty drogowe; niech łatają dziury w jezdniach i chodnikach. Sprzątanie starych gratów, mebli, muszli klozetowych itp., które mieszkańcy niepoprawnie wyrzucają w krzaki (wozy asenizacyjne tego nie zabierają). Niech postoją w kolejkach w urzędach zatrudnienia jako bezrobotni. Może dać im kuroniówki? „Kuroniówki?! Z jakiej racji! Tyle nakradli...” Dzwonią warszawiacy i mieszkańcy innych miast. Prowadzący audycję, Waldemar Ogiński, na ogół ostry jak brzytwa, apeluje o cień przychylności, o wskazanie jakiejś dobrej strony. Nie ma.

Pisząc „Kartki” ustawicznie robię sobie wyrzuty, że przemawia przeze mnie gorycz i zawiść. Okazuje się jednak, że gdzie by nie spytać Polaka o politykę, pierwsze słowa będą: „co oni tam wyprawiają?!” I zaraz pada: arogancja, korupcja... Ludzie mają oczy i uszy.

Gdy czytelnik *Kultury* weźmie ten numer do ręki, konfiguracja polityczna kontredansa polskiego będzie już znowu inna, jednak obawiam się, nic się nie zmieni w sferze uczuć społeczeństwa. Niechęć i pogarda dla rządzących będzie taka sama. Chyba, że stanie się cud, na co nie wygląda. Rządzący w dziwnym zaślepieniu robią wszystko, żeby negatywne nastawienie społeczne wzmocnić. Słyszycie porównanie z piaskownicą (autorstwa chyba Wałęsy), w której dzieci wrywają sobie zabawki. „Pani” – w postaci społeczeństwa – nie interweniuje; stoi z boku i przygląda się. Jak długo?

Trzymając się stolicy. Rządowy projekt zmiany fatalnej ustawy warszawskiej mówił o stu radnych zamiast ponad 700, projekt Unii Wolności – o sześćdziesięciu. Oba leżą nietknięte. Ilekroć ktoś rozsądniejszy napomknął, żeby postawić temat na porządku dziennym obrad Sejmu, ukręcano mu łeb. Dlaczego? Bo znaczył mniejszą kasę dla wielu zainteresowanych (teraz nie mówi się „pieniądze”, mówi się „kasa”, nie tylko w szkole).

W Warszawie demonstracja bezrobotnych przed siedzibą województwa. Do demonstrujących wychodzi wojewoda mazowiecki, Antoni Pietkiewicz (AWS) i zaczyna słowami: „dzielimy wspólną biedę...” Czy można się dziwić, że przemówienia nie dano mu skończyć?

Karierę robi powiedzonko „przytulić kasę”. Przytula się ją serdecznie czy mała, czy duża.

Prowincjonalny klub sportowy Stomil sprzedaje bramkarza Holendrom. Po pewnym czasie wychodzi na jaw, że są dwie umowy z kupującym: jedna opiewa na 350 marek – ta do podatku, druga na 550 marek – ta pod stołem. Na obu figurują podpisy członków zarządu klubu, posła Andrzeja Smolińskiego (AWS) i senatora Pawła Abramskiego (AWS). Po wypłatę pan senator jedzie do Holandii i kasę przywozi do Polski w gotówce. Jak na dziś, wszystko wskazuje na to, że senator musiał osobiście pofatygować się do krainy tulipanów, ponieważ jako jedyny z zarządu klubu dysponował paszportem dyplomatycznym zwalniającym go z kontroli celnej.

Ale to mała aferka i śmieszna suma. O jakie sumy w Polsce toczą się gry? Proszę bardzo. W *Kulturze* nr 3 Krzysztof Wolicki pisał dokładnie o wyczynach ówczesnego

szefa PZU, Władysława Jamrożego, i jego roli w sprzedaży akcji Big Banku niemieckiemu Deutsche Bankowi oraz akcji PZU portugalskiemu konsorcjum Eureko. Nie wchodząc w szczegóły: Jamroży zrobił coś, za co w normalnym interesie wylatuje się za drzwi. Tymczasem od czasu artykułu Wolickiego wyszły na jaw nowe rzeczy, takie np., że w tajemnicy przed faktycznym właścicielem tych akcji, czyli ministrem skarbu, Emilem Wąsaczem, przedsiębiorczy prezes negocjował z Eureko prywatny menadżerski kontrakt dla siebie. Miał obowiązywać od lipca 2000 na trzy lata i opiewał na 5 milionów dolarów rocznie. Za jaką „przysługę”, jeszcze nie bardzo wiadomo.

Ważniejsze wydaje się wszakże pytanie: jakie konsekwencje ponieśli ci panowie? Ano takie: minister Wąsacz mianował Jamrożego prezesem niezwykle atrakcyjnej finansowo spółki skarbu państwa Totolotek a senator Abramski nadal wygłasza w Senacie tyrady na tematy wzniósłe.

„Nikt nic nie wie.” I jak się tu dziwić, że zdarzają się tacy, którzy poniesieni gniewem wołają bez zastanowienia: „komuno, wróć!”

Ale to nieprawda, że ludzie są za „urawniłowką”, że Polacy nagle bardziej pokochali równość od wolności. Rzecz w tym, że klasa rządząca pokazała im kapitalizm w karykaturze. Jak pisze socjolog, prof. Paweł Śpiewak (*Tygodnik Powszechny*, nr 21): „kapitalizm wymaga nie tylko kapitalistów, dobrego prawa, kapitałów, ale też zaufania społecznego...”

12 maja przypadkowo otworzyłam telewizor i przekonałam się, że nie tylko Papież zbiera w Polsce tłumy. Przekonałam się również, jak sprawnie pracowały kamery PAT-a (Polska Agencja Telegraficzna) przed sześćdziesięciu pięciu laty. Rejestrowały pogrzeb Marszałka Piłsudskiego nie tylko z maestrią techniczną, ale i z głową.

Moja osobista pamięć zanotowała czarną wstążkę, którą przepasano mi rękaw i minutę ciszy, kiedy świat zamarł i zamilkł. Ojciec położył palec na mojej otwartej buzi... Kroniki PAT-a przywołały wspomnienia. Odżyła tamta atmosfera.

Kamerzyści filmowali kondukt z szerokiego i bliskiego planu, z dołu i z góry. Wyjście z katedry, tunel Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Światu. W każdym oknie olbrzymie czarne chorągwie gwałtownie łopoczące w podmuchach wzmagającego się wiatru. W dole laweta z trumną, prezydent Mościcki, żona z córkami, falują welony; zbliżenie (kilkakrotne) na generałów hitlerowskich obok Józefa Becka, czerń płaszcza, biel szalika. Wypatruję dygnitarzy sowieckich – chyba nie ma? Werble, werble – na końcu Kasztanka okryta kirem prowadzona przez dwóch kawalerzystów. Plac Trzech Krzyży – tłumy, tłumy, tłumy. Pole Mokotowskie. Laweta w górze, dołem – defilada. W deszczu, w wichurze, w błyskawicach. Konie niespokojne, przebierają kopytami, ludzie w pełnym bezruchu, mokną, zapomnieli o parasolach. Marsz Żałobny, Pierwsza Brygada...

Tak, to był koniec. Zamknięcie epoki. Poryczałam się przy telewizorze.

W Magazynie *Gazety Wyborczej* idzie „serial” Włodzimierza Kalickiego o Sulejówku. Pamiętam, jak Włodek zbierał materiały jeszcze za komuny. Relacje ustne od żyjących wówczas sąsiadów, stróży, koleżanek córek Marszałka. To cerowanie pończoszek i płaszczyków dziewczynek przez panią Piłsudską; to chodzenie na targ z koszykiem, ta skromność! Ta znoszona kurtka Dziadka. Jakaż przepaść w konfrontacji z noszeniem się obecnych władców!

Ksawery Pruszyński w niedawno wydanym „Wyborze pism” nakładem wydawnictwa „Twój Styl” daje opis stroju Stalina. Pisarz uczestniczył w bankiecie w grudniu 1941, który Generalissimus wydał na cześć Sikorskiego. „Jego ubranie, chociaż na pozór proste, było doskonale skrojone. Beżowy materiał, z którego uszyto go, był w oczywisty sposób najwyższego gatunku i faktury. Spodnie, chociaż na sposób rosyjski wpuszczone w cholewy, były pięknie zaprasowane, a jego buty znakomicie zrobione.” Teraz już wiemy, po kim żeśmy to wzięli.

Maj obrodził obchodami. 80-te urodziny Papieża fetowano hucznie na całym prawie świecie. Nasze media były ich

pełne. Telewizja dawała króciutki serial z życia Karola Wojtyły, puszczone codziennie w wieczornych Wiadomościach. Koledzy solenizanta opowiadali ciekawostki ze szkolnego wadowickiego życia uzupełniane zdjęciami. Na jednym widzę zwalistego nieforemny wyrostka stojącego w bramce. To Lolek. W niczym nie przypomina swojej późniejszej pięknej postawy z okresu młodości i męskiego. Szkolne mecze piłki nożnej rozgrywano często w składzie: katolicy kontra Żydzi. Ale zdarzało się, że drużyna Żydów była niepełna. „Wtedy – mówi kolega – Lolek chętnie stawał w bramce żydowskiej i tak samo żarliwie jej bronił jak swojej.”

Wszystko mija. Ciało z niekształtnej poczwarki przemienione w dorodne młodzieńca, pokurczyła dziś choroba. Głos, którym zniewalał, ledwie wybrzmiewa. Zostały myśli i uczucia: ekumenia, miłość do chorych i dzieci, dowcip.

Może jego nauka zaowocuje w przyszłości. Na razie, „prawdziwi Polacy”, ścieląc mu się pod nogi, w działaniu lekceważą jego przykład.

Umarł Andrzej Szczypiorski. Król życia. Myślałam, że będzie żył wiecznie. Umarł w pełni powodzenia i weny twórczej. Cztery dni przed śmiercią nadesłał do *Polityki* felieton. Rak zdmuchnął go jak świecę.

Cięty, celny, dowcipny publicysta i orator, trafił piórem w sedno sprawy. Nie oszczędzał głupoty, ciemnoty, warcholstwa i kołtuństwa. Czasem temperament publicystyczny ponosił go w stronę demagogii, przeholowywał w ocenach, ale w gruncie rzeczy emanowało z niego ciepło, życzliwość i pogoda ducha.

Moim zdaniem, przereklamowany jako pisarz – zawsze wolałam jego publicystykę niż powieści, zbyt dyskursywne – zasłynął „Mszą za miasto Arras”, ale prawdziwe powodzenie, i to w Niemczech, nie w Polsce, zdobył książką zatytułowaną „Początek”, której Niemcy nadali pokupniejszy tytuł „Piękna pani Seidenman”.

Wybitny krytyk literacki, Marcel Reich-Ranicki, jest w Niemczech tym człowiekiem, który potrafi pisarza uśmiercić lub powołać do życia. Mówi, że przyczynił się do sukcesu

„Pięknej pani Seidenman”. „No dobrze – dodaje – ale sam pan Szczypiorski nie wmawia sobie, że jest to wielka literatura. Powodzenie tej książki łączy się z tym, że autor potrafił dać coś, czego w Niemczech nie ma, a mianowicie rozrywkową powieść na poważnym poziomie intelektualnym, z silną, dobrą krytyką społeczną, także krytyką epoki, także krytyką Niemców, która jest dla nich pełna zrozumienia...”

Poznałam go bliżej w niecodziennych okolicznościach w latach siedemdziesiątych. Zadzwoiła jego pierwsza żona, Ewa, z pytaniem, czy byśmy nie wzięli szczeniaka, którego ich syn znalazł skatowanego na ulicy. Ich własna menażeria liczyła już chyba z osiem psów i tyleż kotów. Nie sposób było jej powiększać.

Poszliśmy z mieszanymi uczuciami. Obiecaliśmy synowi, który do jednego pokoju, jaki zajmowaliśmy we czwórce, przyniósł kiedyś zabłąkanego psa, otóż obiecaliśmy mu, że gdy się przeprowadzimy, weźmiemy innego (tego zaś mąż odniósł do schroniska). Wkrótce dochrapaliśmy się nieco większego mieszkania, wypadało więc spełnić obietnicę. Ale i nowe pomieszczenie nie było wiele większe, na dziewiątym piętrze, w korytarzowcu... Szliśmy do Szczypiorskich niezdecydowani. Wreszcie mąż (zresztą zagorzały psiarz) odezwał się z bohaterką determinacją: „nie, nie możemy wziąć psa; powiedz, że masz uczulenie na sierść...”

Stało się inaczej. Puchaty wielorasowiec podbił z miejsca nasze serca. Wyszliśmy z nim. Syn nazwał go Merdas (miał długi puszysty ogon), co w skrócie przekładało się na Merdek. Merdek przeżył u nas 24 szczęśliwych lat i był psem typowo samoobronnym. Wychodził sam na osiedle, omijając kołem bulterierzy; kazał się wieźć lokatorom na dziewiąte piętro (na którym mieszkaliśmy), a gdy zgubił się na mieście, bo lubił się samotnie szwendać i wskakiwać do byle jakiego autobusu – zawsze odnajdywał drogę do domu.

Rozwiodłam się o Merdku, ale jego bytowanie związało nas ze Szczypiorskimi. Nie zapomnieli o swoim protegowanym, chociaż mieli tyle własnych psów. Najukochańszy był Saba-Bobo, kundel hodowany od małego, który wyrósł na wielkie łagodne ciele. Gdy skończył żywot, wspólnie obchodziliśmy żałobę...

Kiedy ukazał się „Początek”, redaktor Turowicz poprosił

mnie o wywiad ze Szczypiorskim do *Tygodnika Powszechnego*. Nie chciałam mówić o książce, nie jestem krytykiem, wolałam o autorze, o jego życiu, które wydało mi się typowe dla pewnej grupy polskich inteligentów za komuny.

W jego własnych wypowiedziach, jakie ukazały się pośmiertnie, dowodził, że za stalinizmu wiodło mu się źle; władze patrzyły na niego krzywo: ojciec, przedwojenny senator z PPS-u, pozostawał w Londynie; żona była córką przedwojennego prokuratora okręgowego w Katowicach, który sadzał komunistów do więzienia...

Mówił to jednak lekko; nie padło słowo „strach”, które było nieodłącznym atrybutem stalinizmu. Pamiętam, jak zostałam nim owładnięta. Ludziom można było wszystko przypisać i w rezultacie wszystko z nimi zrobić. Podpadłeś, nie było odwołania.

Szczypiorski się nie bał, ponieważ, jak mi zdradził do wywiadu, zawsze czuł nad sobą parasol ochronny Cyrankiewicza. Jego ojciec przyjaźnił się przed wojną z Cyrankiewiczem, należeli do jednej organizacji.

Pochowaliśmy go na cmentarzu kalwińskim, jak sobie życzył, tuż przy grobie Żeromskiego. Pogrzeb był ekumeniczny. Z udziałem księży ewangelickich i katolickich, z kompanią honorową i mnóstwem ludzi, w piękny majowy dzień, kiedy zieleń jest taka żywa i świeża.

Pogrzeby stały się moimi *garden-party*.

W strugach ulewnego deszczu otwieraliśmy luksusowy „Hotel 500” nad Zalewem Zegrzyńskim. Patrzyłam przez szklaną ścianę na bezmiar wody tuż za wąskim paskiem plaży. Patrzyłam, i nie mogłam się nadziwić. Boże, zupełnie zapomniałam, że tuż przy Warszawie istnieje polski Balaton. Zapomnieliśmy o nim wszyscy. Ludzie okopali się w daczach w laskach mazowiecko-podlaskich i dalszych, mazurskich, zupełnie lekceważąc ten wielki akwen pod bokiem stworzony dla ich rekreacji.

Przyjeżdżałam w te strony za młodu, kiedy o niczym takim się nie śniło. Bugo-Narew toczyła wody ku Modlińskiej twierdzy, ku Wiśle. Brzeg stał wysoko, piach osuwał się spod

nóg, obnażając korzenie sosen. Trudno dostępna dzicz, niczym nie zakłócona. Jeden z nielicznych pięknych zakątków na ogólnie nieciekawym Mazowszu. Przyjeżdżałam tu na jednym z pierwszych modeli czeskiego motoru „Java” bez teleskopów, trzęsło okrutnie.

Chyba z początkiem Gierka postanowiono zalać tu kilka wsi i zrobić wielkie jezioro. Jak postanowiono, tak zrobiono. Wsie, zagrody i zabudowania pokryła woda. Legenda niesie, że kilku chłopca przywiązało się drzew, i polegli w obronie ojcowizny. Tylko legenda, która jak wiadomo, wszystko wyolbrzymia, bo przecież wtedy prawdziwa informacja nie istniała.

Razem z wodą powstało parę ośrodków rekreacyjnych, kilka przystani jachtowych, skleconych prymitywnie, z których większość, nieużywana, poległa śmiercią naturalną, bo bagatelka – zapomniano o infrastrukturze. Kilka autobusów nie mogło pomieścić napływu warszawiaków, a nie był to okres motoryzacji. Niedzielne powroty stały się piekłem i szybko ludzie odsunęli się od Zalewu, zapominając o jego istnieniu. Zalew stał się jedną więcej z poronionych inwestycji tamtej epoki. Idea masowej rekreacji u boku Warszawy poległa.

Najwierniej trzymała się Zalewu grupa wędkarzy-alkoholików wywodzących się z dziennikarstwa, częste zjawisko w dobie ówczesnej schizofrenii społecznej. Ryby były pretekstem. Wielu nie jadało ich i delikatnie zdejmując haczyk, żywe wyrzucało do wody. Okupowaliśmy na wpół zatopioną łajbę, coś, co miało pierwotnie kursować jako stateczek wycieczkowy i oddawaliśmy się biesiadowaniu. Większość z biesiadników nie żyje. Szkoda, byli to interesujący straceńcy, wnosili w życie wiele wisielczego humoru. Żeby wspomnieć największą indywidualność spośród nich: Zosię Artymowską. Spotykam ich cichych na cmentarzu. Przeminał Zalew i jego czasy.

Aż tu nagle przychodzi zaproszenie na otwarcie Hotelu 500 w Zegrzu, a więc nad Zalewem. Jedziemy, nie poznając drogi. Miejscowość Nieporęt, wtedy kilka przypadkowych biedniutkich domków, stała się gminą co się zowie z efektownym salonem miasta. Z kolorowym ratuszem, z aleją wysadzaną drzewami, na końcu której uwidoczniał się dopiero teraz w całej krasie starożytny kościółek.

– Hotel stojący nad wodą na terenie gminy może stać się punktem zwrotnym przywrócenia do życia tego akwenu. Na razie wygląda na to, że właściciel nastawia się na międzynarodowe zjazdy i konferencje. Świadczy o tym komfort, liczne nowocześnie zaopatrzone sale i niepodważalny walor: 25 km od Warszawy. Na początek dobre i to. Możliwości są wszakże większe. Hotel z jego flotą wodną może przyciągnąć inwestycje rekreacyjne na każdą kieszeń. Burmistrzowi Nieporętu o to właśnie chodzi. Klimat nam się ociepla, Warszawie brak kąpielisk (Wisła nie do użytku) a tu pod bokiem taaka woda. „Dzięki ci, Gierku!”

Dzięki ci, Gierku, to nasz rodzinny okrzyk. Wydajemy go z siebie, ilekroć wjeżdżamy na dwupasmówkę, udając się do Obór. Dwupasmówka ma zaledwie parę kilometrów, od Wilanowa do Natolina, gdzie znajdowała się jedna z rezydencji Gierka. Potem zamienia się w zwykłą wąską drogę. Ale dobre i to. Niestety, większość pałacików Gierka stanowiła dla najbliższego zwyczajnego otoczenia zmoreń. Na przykład, Spała.

Siedlisko myśliwskie dworu carskiego. W czasach Dwudziestolecia miejsce rekreacji prezydenta, za komuny – wczasowisko. I skaranie boskie. Nieopodal w Lasach Spalskich istniała ściśle tajna kwatera Gierka. Opowiadali mi miejscowi, że nikt jej nie widział. Do budowy sprowadzano samolotami budowlańców z innych stron. Dróg nie było. Pierwszy sekretarz przylatywał na wypoczynek helikopterem. Helikopterów bywało dużo, bo to i świta, i goście, i zaopatrzenie. Co się tam wyprawiało, nikt nie wiedział. Wiedzano tylko jedno: na wypoczynku w Spale nie można było spać. Huk samolotów sprawiał, że dzieci budziły się z płaczem. Modlono się, żeby choć jednego weekendu najjaśniej nam panujący sekretarz nie nawiedził posiadłości. Bo jednak zdarzały się takie przypadki. Wtedy upajaliśmy się algierskim winem Gellala i ciszą. Pilica, wijąca się przez środek lasu, była zatruta odpadami z tomaszowskich zakładów chemicznych, działających bez oczyszczalni; stały się po rzece tęcze plamy, ale nikt na to nie zważał; starsi i dzieci pluskali się radośnie. Nie byliśmy jeszcze na etapie terroru anty-palaczy i ekologów; pojęcie ochrony środowiska zbywaliśmy wzruszeniem ramion; mieliśmy większe zmartwienia.

Napisałam reportaż ze Spały. O hałasie i jego źródłach – ani mru-mru. Nie przeszłoby. Dzięki ci, Gierku, że cię już nie ma!

Pamiętam Targi Książki wzdłuż Alej Ujazdowskich. Wydawnictwa prześcigały się w urodzie własnego kiosku. Wdzięczna akcja. Pisarze podpisywali książki w broszurowych okładkach na gazetowym papierze. Dziś rozlatują się, gdy się je bierze w rękę. Kolejki bywały długie.

Pamiętam Targi przed Pałacem Kultury i Nauki imienia Stalina. Też podpisywanie i kolejki.

Targi weszły do wnętrza, gdy się umiędzynarodowiły i kiedy wyryte na frontonie słowo „Stalin” zostało zeszlifowane. I chociaż pokrętne korytarze i zakamarki Pałacu bardziej nadawały się jako miejsce zagadkowych kryminałów (co też zostało przez pisarzy wykorzystane) – rokrocznie wiosną odbywają się tu Międzynarodowe Targi Książki. Ludzie błąkają się jak owce, w duchocie i zamieszaniu, wystawcy piętrzą się i zachodzą na siebie, ale ma to swój smaczek. Trudno byłoby mi wyobrazić sobie, żeby Targi przenieść gdzie indziej, do jakiejś jasnej przejrzystej hali. Tajemnica związana z książką – uległaby spłaszczeniu.

Podczas Targów odbywają się spotkania z autorami w ukrytych zmyślnie salach. Półpiętro, schody w dół, schody w górę, i już jesteśmy w sali Mickiewicza lub Rudniewa (główny inżynier Pałacu.)

Poszłam na Normana Daviesa, historyka i polonofila, zajmującego się historią Polski. Obecnie pracuje nad dziejami Wrocławia; zapewne opíše je obiektywniej niżby to zrobił Polak czy Niemiec. Przy okazji Davies powiedział ciekawą rzecz: otóż w Anglii istnieją szkoły, w których w ogóle nie naucza się historii. Programiści edukacji poszli na rękę młodzieży, która historię uważa za coś kompletnie zbędnego.

W sumie, straszne, ale dla mnie pocieszające na zasadzie: nie tylko u nas źle. Współczesna młodzież odwraca się od historii niezależnie od nacji. Wygląda na to, że w przyszłości stanie się ona domeną wąskiej grupki akademickich hobbystów.

Humanistyka pada. Opowiadał mi mąż, wykładający w prywatnej Wyższej Szkole Mediów, o studentce, która zrobiła świetną pracę o funkcjonowaniu londyńskiego Teatru Globe. Było w niej wszystko z zakresu reklamy i promocji; dziewczyna spędziła kilka miesięcy na obserwacjach na miejscu. Jednak gdy zadano jej pytania z zakresu repertuaru, gdy spytano, kto to był Kantor – zapadło milczenie.

Wniosek: na świecie zaniknie warstwa inteligencji postępująca się wiedzą ogólną stanowiącą dotychczas obowiązujący kanon.

Wielka strata, również i dlatego, że skoro warstwa rządząca zamieniła się w żarłoczne stado, to niechby choć na boczku została grupa inteligencji jako światło gasnącej galaktyki.

Humanistyka umiera, ale twórczo rozwija się uczniowskie słownictwo slangowe. Niedawne „żydzisz”, czyli „kłamiesz” zamieniło się na: „ściemniasz”. Zupełnie spon-tanicznie.

Gdyby mnie spytano o polityka, za którego uczciwość daję głowę, powiedziałabym: Donald Tusk. Zapewne dla walorów charakteru znajduje się w tylnym szeregu swojej partii. Drugim, na którego bym wskazała, jest Maciej Płażyński. Czas pokaże, czy moja głowa spadnie.

Ewa BERBERYUSZ

8 czerwca 2000

Sąsiedzi

Białoruś a sprawa polska

Białoruś w świadomości przeciętnego Polaka jawi się jako najbardziej ponury kraj, mroczna dziura w centrum Europy. Interesujące, iż ten bliski Polsce kraj i naród nie zasłużył na jakąkolwiek poważną analizę. Nawet Raporty Ośrodka Studiów Wschodnich, dające wnikliwe analizy sytuacji w Rosji, na Ukrainie i w innych krajach postsowieckich, problem Białorusi zbywają kilkoma wyświechtanymi banałami. To samo inni analitycy. Media natomiast bez ustanku informują o kolejnych poczynaniach żądnego władzy Łukaszenki, lub o manifestacjach opozycji. Chodzi mi tu o brak jakichkolwiek prób zrozumienia społeczeństwa Białorusi i działających tu sił. Godnym odnotowania wyjątkiem jest wydana niedawno książka Eugeniusza Mironowicza relacjonująca historię Białorusi w XX stulecie.

Chcę przedstawić kilka refleksji na temat przyczyn odmiennego rozwoju sytuacji na Białorusi niż w Rosji, czy na Ukrainie.

Namolnie powtarzana teza głosi, iż mamy tu z jednej strony zrusyfikowane i zsowietyzowane społeczeństwo, *homo sovieticus*, bezwolną masę, „białoruskie bydło” – jak mawia Aleś Barszczewski – a z drugiej strony, opętanego żądzą władzy satrapę, prymitywnego, prawdopodobnie chorego psychicznie, kołchoźnika Łukaszenkę. Jest to zbyt prostackie wytłumaczenie fenomenu Białorusi, jeśli w ogóle może być tłumaczeniem czegokolwiek. Nikt nie zadaje pytania o rzeczywiste procesy społeczno-kulturowe, które doprowadziły Łukaszenkę do władzy. W 1994 r., gdy jeszcze nie mogło być mowy o jakiegokolwiek manipulacji wyborczej na korzyść Łu-

kaszenki (władza była w rękach jego konkurenta Kiebicza) na Łukaszenkę głosowało 80% wyborców. Niezależnie od tego, jak długo Łukaszenka utrzyma się przy władzy, stworzony przez niego system wydaje się mieć cechy trwałości.

Dziesięciolecie po upadku Związku Sowieckiego na całym tym obszarze było okresem poszukiwań nowych rozwiązań ustrojowych – z jednej strony adekwatnych do sytuacji geopolitycznej po upadku komunizmu (zwycięstwo Zachodu, idei demokracji i wolnego rynku), a z drugiej strony – zdolnych wydobyć społeczeństwo z ekonomicznego i moralnego kryzysu, ocalić państwo.

Skrajnymi, i niejako modelowymi przykładami tych tendencji jest Ukraina i Białoruś. Ukraina przyjęła rozwiązania ustrojowe najbardziej zbliżone do zachodnich. Cały czas deklaruje swe przywiązanie do idei demokracji i gospodarki rynkowej, akces do struktur europejskich i dystans do Rosji. Dążeniom tym Zachód udziela wsparcia moralnego i materialnego, Ukraina jest przedmiotem szczególnej troski wszystkich przywódców Zachodu. Jest rzeczą na pierwszy rzut oka zdumiewającą, jak w kraju tak dobrze geopolitycznie i geograficznie ulokowanym, pełnym bogactw naturalnych, zdolnych, dobrze wykształconych ludzi, nie najgorszej infrastruktury, przy wsparciu ideami najlepszych doradców – mogło dojść do tak katastrofalnego stanu, niespotykanego w dziejach nowożytnej Europy, jakim jest obecna Ukraina: PKB, według ocen międzynarodowych instytucji do tego powołanych, wynosi 37% stanu z roku 1990, nie funkcjonują struktury państwowe, paraliż władzy i ośrodków decyzyjnych. Mówi się często, że nie przeprowadzono w porę reform ekonomicznych lub, że reform nie dokończono. Nie zdaje się sprawy, że po to, by reformy ekonomiczne przyniosły pożądany skutek, zaistnieć musi wpierw moralna i ideowa „infrastruktura”, Akty prawne, które w Polsce są błogostawieństwem, na Ukrainie mogą być przekleństwem.

Dla politologów ukraińskich sytuacja w kraju nie jest tajemnicą: w warunkach formalnej demokracji i wolnego rynku pełnię władzy przejęła pasożytnicza i kryminogenna oligarchia, lokująca swe interesy na Zachodzie.

Białoruś jest odwrotnością sytuacji Ukrainy: reżym Łukaszenki wykazał swą sprawność ekonomiczną (PKB na Bia-

łorusi wynosi 82% – stan z 1990 r. – i jest najwyższe w obszarze postsowieckim, jeśli nie liczyć krajów bałtyckich), społeczną (wciąż wysokie poparcie społeczne dla Łukaszenki) i polityczną (państwu nie grozi paraliż). Jest to jednak reżym nie do zaakceptowania przez społeczność międzynarodową, Białorusi grozi dalsza izolacja i można przewidywać, iż elity polityczne tego kraju będą z czasem dążyć do zastąpienia Łukaszenki politykiem bardziej strawnym dla Zachodu.

Próby stworzenia ładu podobnego do reżymu Łukaszenki, ale zorientowanego wyraźnie na Zachód, obserwujemy ostatnio na Ukrainie. Wygląda na to, iż Kuczma chce powtórzyć eksperyment Łukaszenki: zmarginalizować i podporządkować sobie parlament i przejąć pełnię władzy w drodze referendum. Zachód najprawdopodobniej zaakceptuje te rozwiązania, zgłaszając jakieś zastrzeżenia – raczej z przyzwoitości, niż z przekonania. Można przypuszczać, iż interwencjonizm państwowy na tym obszarze ma swoje uzasadnienie teoretyczne i praktyczne. Przykładem są zresztą Chiny, które stosują podobną politykę ekonomiczną. W podobnym duchu wypowiadają się zresztą dziś niektórzy teoretycy na Zachodzie, nawet znany ze swych liberalnych wizji Fukuyama. Podczas ostatniej kampanii prezydenckiej ambasador Stanów Zjednoczonych powiedział: Ukrainie zagrażają nie komuniści wymachujący czerwonymi chorągiewkami, ale rządząca obecnie oligarchia.

Wróćmy jednak do Białorusi. Dlaczego antyzachodnia retoryka Łukaszenki, jego akces do związków z Rosją, a nade wszystko – jego negatywny stosunek do symboliki narodowej znajduje tak pozytywny odzew w społeczeństwie? Na Ukrainie byłoby to niemożliwe. Ostatecznie w wyborach zwycięża Kuczma, a nie komuniści.

Można założyć, iż na Białorusi, podobnie jak i w innych krajach postsowieckich ukształtowała się wywodząca się z byłej nomenklatury warstwa oligarchii, łącząca władzę polityczną i ekonomiczną w jednym ręku. Jej bazą jest rozmyta państwowo-prywatna własność. Różnica jest taka, iż na Białorusi nie jest to oligarchia „kompradorska”, jak w Rosji czy na Ukrainie, interesy swe lokuje ona na Białorusi, a nie w bankach i biznesie Zachodu. Autorytaryzm reżymu Łukaszenki hamuje też bujny rozwój struktur mafijnych, z którym mamy do czynienia w Rosji i na Ukrainie.

Oczywiście, nie jest to rezultatem jakiegoś szczególnego patriotyzmu białoruskiej oligarchii, czy samego Łukaszenki, ale wynikiem złożonego procesu dziejowego. Tu mogą tylko zaszyfrować pewne osobliwości tego procesu na Białorusi.

Wśród wielu istotnych spraw dotyczących naszych wschodnich sąsiadów rozumianych opacznie lub w ogóle nierozumianych, najistotniejszą być może jest rozumienie sytuacji etnicznej Białorusi.

Świadomość narodowa Białorusinów kształtuje się na bazie dwóch typów autoidentyfikacji: etnograficznej i cywilizacyjnej. Nośnikiem tej drugiej jest religia: z jednej strony prawosławie, z drugiej strony – wyznania łańskie, zwłaszcza – katolicyzm. Prymarną jest jednak identyfikacja cywilizacyjna. Przecina ona Europę od krańców Skandynawii po Bałkany. Prawie na całej swej długości rubież ta dzieli obszary jednorodnie etnograficznie na przeciwstawne, często wrogie sobie narody, czy ludy. Konflikty na takim „rozmytym” i trudnym do autoidentyfikacji obszarze bywają szczególnie dramatyczne. Peryferyjność i niejasność autoidentyfikacji wymaga bowiem bardziej ostrych środków jej wyrazu.

Nowożytna literatura białoruska, a w ślad za nią *stricte* narodowa świadomość „białoruskości” kształtują się w kręgu wpływów łańskich i katolickich. Zaczątki tych idei pojawiają się w kręgu mickiewiczowskich filomatów, gdzie żywy język białoruski użyty jest po raz pierwszy przez Czeczota, jako język literacki. Twórcy literatury białoruskiej w XIX stuleciu to kresowa szlachta lub jej potomkowie – ideowo związani z polskością i religią katolicką. Podręczniki historii literatury białoruskiej wymieniają tu J. Czeczota, A. Rypińskiego, J. Barszczewskiego, W. Korotyńskiego, A. Wiarygę-Darewskiego, U. Syrokomlę i W. Dunina-Marcinkiewicza. Do końca XIX stulecia prawie wszyscy pisarze białoruscy pochodzili ze środowisk katolickich, przeważnie ziemiańskich. Wyjątkiem jest Paulik Bahrym, z zawodu wiejski kowal, z którego rękopiśmiennej twórczości znany jest jeden wiersz: *Zajhraj, zajhraj chłopcza mały*. Pisanie w języku białoruskim pisarze szlacheckiego pochodzenia traktowali jako służbę idei polskiej a nie białoruskiej, bo o takiej nie mogło być wtedy mowy. Lud białoruski często był przez nich widziany jako swoista mutacja ludu polskiego, a w każdym

bądź razie – jako przeciwieństwo „rosyjskości”. Zatem w tym kręgu wpływów łańskich i polskich kształtuje się cała tradycja literacka Białorusinów, tu rodzi się też świadomość narodowa. Rosjanie traktują to jako „polską intrygę”.

Twórców tych i ideologów dzieli jednak od ludu – w przeważającej większości prawosławnego – dystans cywilizacyjny i stanowy. Stąd słaba percepcja tych idei przez lud i słabe ich zakorzenienie. Twórcy obdarzają lud miłością – jego język, folklor i kulturę. Nie dają jednak przykładów ofiary na rzecz ludu, czy narodu białoruskiego, niekiedy manifestując wręcz pogardę. Jako przykład służyć może postać Konstantego Kalinowskiego.

Kastuś Kalinouski, traktowany jest przez Białorusinów jako pierwszy nowożytny białoruski polityk, wydawca pierwszej białoruskiej gazety politycznej *Mużyckaja Prawda*, prowadzący w czasie powstania styczniowego lud białoruski do walki przeciw caratowi i stający w jego obronie, jako przywódca powstania na Litwie i Białorusi. To wszystko prawda, ale w pisanych przez niego odezwach do tego ludu, przeczytać można takie między innymi słowa, adresowane do swoich białoruskich czytelników, pisane po białorusku, czyli w języku „mużyckim”:

„Rząd Polski zapytuje was, jakim prawem ośmielacie się pomagać moskalowi w jego nieczystym dziele? Gdzie był wasz rozum, gdzie była wasza prawda? Czy pomyśleliście o strasznym sądzie bożym? Powiecie, że czyniliście to pod przymusem – ale my, ludzie wolni, nie ma u nas przymusu! A kto z was chce niewoli moskiewskiej, temu mamy szubienicę na gałęzi.

Ale sprawiedliwy Rząd Polski na Litwie i Białorusi, biorąc pod uwagę:

– że wy dzisiaj głupi jak barany (*sztó wy durnyje jak awieczki*),
 – że nie ma nad wami jeszcze zmiłowania boskiego, bo odstąpiliście od jego prawdziwej wiary –

Dlatego sprawiedliwy Rząd Polski nie dochodzi u was krzywdy ludzkiej, tylko wam rozkazuje”¹ Itd.

Kalinowski z całym naciskiem podkreśla swą polskość i służbę idei polskiej. Pisał po białorusku: *My, szto żywiemo*

1. „Powstanie na Litwie i Białorusi 1863-1864”, Moskwa-Wrocław 1965, s. 29.

na ziemi polskoj, szto jemo chleb polski, my Palaki z wiekou wiecznych.

Klasykiem literatury białoruskiej jest Fraciszek Bahuszewicz, uważany przez niektórych za ojca białoruskiego odrodzenia narodowego. Był on pierwszym pisarzem z tego kręgu, który język białoruski traktował nie tylko jako dialekt, ale jako język posiadający swą historię i piśmiennictwo. W wydanym w 1891 r. zbiorze wierszy „Dudka białoruskaja” napisał słowa, które po dzień dzisiejszy są mottem białoruskich patriotów: „Nie porzucajcie mowy naszej białoruskiej, byście nie pomarli”. W tym samym roku przystąpił jednak w Wilnie do organizowania tajnych szkółek polskich, a nie białoruskich.

Dziś przywódca białoruskiej opozycji zachowuje podobny dystans, żeby nie powiedzieć pogardę – dla ludu białoruskiego, rozumianego jako zbiorowość statystyczna, stanowiąca elektorat. W udzielonym w 1991 r. wywiadzie opublikowanym w książce „Inszadumcy”, przywódca białoruskiej opozycji narodowo-demokratycznej Zenon Paźniak daje zarys swojej politycznej wiary. Powtarza tam parokrotnie z całą stanowczością – niebezpieczeństwem dla Białorusi jest „upolitycznienie” społeczeństwa.

Przywódcy wszystkich innych tego typu ruchów: Solidarności, Sajudisu, frontów i ruchów na Ukrainie, w Czechosłowacji i na Węgrzech – dumni byli z tej masowości, a upolitycznienie mas było ich siłą. Paźniak nie wierzy – i chyba słusznie – iż upolitycznione masy staną murem za niepodległą Białorusią. Spodziewa się czegoś wręcz odwrotnego i daje temu wyraz w cytowanym tu wywiadzie. Jego plan w 1991 r. był następujący: opierając się na świadomej narodowo elicie szybko stworzyć struktury niepodległego państwa białoruskiego, a następnie metodami nakazu, przymusu i ewentualnych represji, za pomocą aparatu państwowego kształtować naród białoruski w pełnym tego słowa znaczeniu. Przez cały wywiad przebija się pogarda dla ludu białoruskiego, jego „upolitycznienia” i stylu życia. Czytamy na przykład:

„Mówimy: ludzie się upolitycznili. Całkowite upolitycznienie to rzecz niebezpieczna! Nie wolno, żeby objęło ono cały naród. Ludzie powinni żyć normalnym życiem: zajmować się rodziną, dziećmi,

„słuchać muzyki, kochać się. Bez tego pozostaje jedno – nie kończące się napięcie, z którym dziś właśnie mamy do czynienia”.²

Od polityki miały być narodowe elity polityczne. Podobny styl myślenia prezentują nacjonaliści ukraińscy, ale ci otwarcie nawiązują do ideologii faszyzmu.

Rozwodzę się o tym nie bez powodu. Otóż dzisiejsi czołowi przywódcy narodowo-demokratycznej opozycji na Białorusi (Zenon Paźniak, Stanisław Szuszkiewicz i inni) wywodzą się ze środowisk katolickich i w świadomości potocznej postrzegani są jako „Polacy”. Nade wszystko zaś reprezentują styl myślenia charakterystyczny dla kresowej szlachty białoruskiej dziewiętnastego stulecia. Fakt ten skrzętnie wykorzystuje propaganda Łukaszenki i – sądząc ze stanu spraw na Białorusi – trafia ona na podatny grunt. Przypadkowo, jadąc samochodem, włączyłem radio Mińsk i usłyszałem sentencję:

Hramadzanin Paźniak. Jaki tam hramadzanin – pan Paźniak. Maracca jamu usio jaszczce utadanni pańskiej Polaczy.

(Obywatel Paźniak. Jaki tam obywatel – pan Paźniak. Marzą mu się wciąż jeszcze władania pańskiej Polski).

Białoruski działacz polonijny z Grodna w rozmowie ze mną dziwi się: skąd u Paźniaka ten nacjonalizm białoruski, przecież on jest Polakiem?

Podczas wizyty Przewodniczącego Rady Najwyższej Białorusi Stanisława Szuszkiewicza w Polsce, bardzo przecież poważna gazeta *Rzeczpospolita* w komentarzu do wywiadu z nim napisała, że Szuszkiewicz jest Polakiem. Szuszkiewicz powiedział w związku z tym:

„Rzeczywiście dobrze znam język polski i ktoś żartem może mnie nazwać Polakiem. Ale ja sam uważam się za Białorusina zgodnie z moim pochodzeniem i moimi przekonaniem”.³

Wydaje się, iż polskie elity polityczne nie zdają sobie sprawy z „delikatności” problematyki białoruskiej. Idea narodowa, pod sztandarami której funkcjonuje białoruska opozycja rodzi się w kręgu wpływów łacińskich, jej twórcą jest

2. „Inszadumcy”, Mińsk 1992, str. 297.

3. „Groźba polonizacji”, *Gazeta Wyborcza* 15.07.1992.

głównie kresowe ziemiaństwo i dziś jest w znacznym stopniu związana ze środowiskami katolickimi na Białorusi. Katolicy na Białorusi są zaś w dalszym ciągu, zarówno w świadomości potocznej polskiej, jak i białoruskiej, traktowani jako „Polacy”, albo „polscy Białorusini”, „Białorusini pochodzenia polskiego”, „Białorusini-katolicy”, a w każdym bądź razie – „nie całkiem Białorusini”.⁴ Podobnie zresztą jak „prawosławni Polacy” na Białostocczyźnie. W tej sytuacji każda próba traktowania Polski jako bazy tej opozycji, musi być odebrana – nie tylko przez reżym Łukaszenki – bo o to nas głowa nie boli, ale także przez społeczeństwo, jako zewnętrzna ingerencja, mająca na celu narzucenie krajowi porządków polskich i NATO-wskich. Pomijając wszystko pozostałe, niszczy to też resztki wpływów tamtejszej opozycji, sprowadzając ją do roli obcej agentury.

Równoległe do tak rozumianej idei białoruskiej w XIX stuleciu rozwija się na Białorusi konkurencyjna idea zorientowana na wschód, idea „zapadnicztwa”. Rozwijają ją w drugiej połowie XIX stulecia profesorowie wileńscy, pochodzący *nota bene* z dzisiejszej Białostocczyzny – I. Daniłowicz, M. Bobrowski, J. Jaroszewicz, a głównym ideologiem był M. Kajałowicz. Białorusini widziani tu są jako naród „zapadnioruski”, przynależny do trzech „ruskich” narodów: Rosjan, Małorosjan (Ukraińców) i Zapadniorosjan (Białorusinów). Warto chyba tu zaznaczyć, że podobne idee znajdujemy w początkowej fazie odrodzenia narodowego Ukraińców. Główny teoretyk ukraińskiego odrodzenia narodowego, M. Kostomarow idee swe wykladał w tekście pod znamienym tytułem: „Dwie ruskie narodności”. Zdaniem Kostomarowa, istnieją dwie ruskie „narodowości”: Rosjanie i Ukraińcy, różniące się znacznie składem psychicznym, tradycją historyczną i kulturą. Zdaniem zapadników istnieją trzy takie „narodowości”, przy wszystkich swych odrębnościach połączone wspólną „ruską” tradycją i kulturą.

Pod koniec XIX stulecia idee te znajdują swą kontynuację wśród białoruskiej inteligencji i studentów wyznania prawosławnego, skupionych wokół pisma *Homan*.

4. Por. A. Sadowski: „Pogranicze polsko-białoruskie. Tożsamość mieszkańców”. Białystok 1995.

Ta formacja nie pozostawiła po sobie dorobku literackiego, ani intelektualnego, który dałby się jakoś porównać z dorobkiem formacji „łacinizującej”, ani nie odegrała takiej roli w historii Białorusi, jest ona jednak niewątpliwie bliższa odczuciom i mentalności prawosławnej społeczności Białorusi i stanowi dziś ideologiczne oparcie „łukaszenkizmu”. W zbliżonych do Łukaszenki kręgach mówi się o potrzebie poszukiwania „własnej narodowej identyczności”, „narodowej idei”, autodefinicji narodu w oparciu o tradycję prawosławia⁵. To, oczywiście oburza opozycję, która uważa, że taka auto-identyfikacja Białorusinów dawno została sformułowana.

Łukaszenka, rzecz oczywista, bazuje na „mentalitecie” i odczuciach prawosławnej, „ruskiej” Białorusi. Chcąc uchodzić za bohatera narodowego Białorusinów, ich męża opatrznościowego, nie może bagatelizować łacinizującej tradycji Białorusi. Stąd zaskakująca pieczołowitość w ochronie pamiątek tej tradycji. Państwowe środki masowego przekazu – telewizja i radio są białoruskojęzyczne, pomimo, iż w stolicy państwa po białorusku rozmawia tylko 3% mieszkańców, swe inauguracyjne przemówienie jako prezydent Łukaszenka wygłosił w poprawnym literackim języku białoruskim. Jest rzeczą oczywistą również dla Łukaszenki, iż bez kulturowej tradycji zrodzonej na gruncie katolicyzmu trudno mówić o narodzie białoruskim, jako takim. Odrzucona jest natomiast tradycyjna ideologia narodowców: uznanie Rosji za głównego wroga Białorusi i ich prozachodnia orientacja. Sytuacja stanie się klarowniejsza, gdy porównamy jeszcze raz Białoruś z Ukrainą.

Ukraińska świadomość narodowa rodzi się w okresie romantyzmu, w środowisku prawosławnym, w dużym stopniu kozackim i chłopskim i odwołuje się wprost do rodzimej ruskiej i prawosławnej tradycji. Ruch narodowo-demokratyczny na Ukrainie jest w okresie komunizmu znacznie bardziej rozwinięty, niż na Białorusi. Najważniejsze jednak jest to, że na Ukrainie jest on „zinterioryzowany” w tradycji narodowej, ma za sobą pamięć kozaczyzny, oparcie w „ukraińskiej” religii, jaką była unia, „bohaterski” czyn zbrojny UPA i ideologię OUN podnoszącą ideę narodu ukraińskiego do rangi wartości

5. U. Kanaplou: „Prawosławie na Białorusi: minujące, suczasneje, buduczynia”, *Zwiazda*, 29.4.1999.

absolutnej i też religijnej, a także mnóstwo dysydentów walczących o sprawę narodową w okresie komunizmu – w tym jeszcze w latach sześćdziesiątych rozstrzeliwanych i skazywanych na wieloletnie więzienia. Na Białorusi trudniej znaleźć męczenników sprawy narodowej i bojowników gotowych oddać za nią życie.

Na Ukrainie opozycja narodowo-demokratyczna potrafiła znaleźć swoje miejsce w strukturach demokratycznych swego państwa – w strukturach, które wyłaniają władzę komunistycznej nomenklatury i elementów kryminogennych, ale jest to jedyna możliwa władza na tym terenie wyłoniona w procedurach demokratycznych. Ta obecność opozycji narodowo-demokratycznej w strukturach władzy nadaje państwu ukraińskiemu trwałość dążeń niepodległościowych, względną klarowność narodowego, ukraińskiego interesu.

Przykładem może być Lewko Łukjanienko, legendarny działacz antykomunistycznego podziemia na Ukrainie. Za swą działalność przesiedział 25 lat w sowieckich więzieniach i łagrach. Po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości, jako przywódca Partii Republikańskiej stwierdził, iż w istniejącej sytuacji niepodległość Ukrainy może obronić tylko władza byłej partyjnej nomenklatury i z pełnym przekonaniem podjął współpracę z faktycznie rządzącą Ukrainą nomenklaturową „partią władzy”. Nie oceniam tego ni moralnie, ni ideologicznie, tylko chcę zrozumieć mechanizmy procesów zachodzących w tych krajach. Otóż ludzie dzisiejszej opozycji narodowo-demokratycznej na Białorusi nie siedzieli za komuny w łagrach ni więzieniach, nie działali w partiach antykomunistycznych, bo takich tu nie było, niektórzy pełnili wysokie funkcje partyjne, po ogłoszeniu zaś niepodległości zaprezentowali arystokratyczną pogardę dla jakiegokolwiek współpracy z realnie panującą oligarchią i jej władzą. Po wyborach prezydenckich, w których na Łukaszenkę głosowało 80% wyborców przy 70% frekwencji, Paźniak stwierdził krótko: „społeczeństwo jest chore i zdemoralizowane” i poświęcił się namawianiu polityków na Zachodzie i w Polsce do jakiegoś typu działań, które miałyby wysadzić Łukaszenkę z jego funkcji i zaprowadzić na Białorusi słuszny ład. Chcę tu pokazać różnice w genezie i etosie sił narodowych na Białorusi i na Ukrainie i wpływu tej różnicy na obecny stan polityki i gospodarki tych krajów. I tylko tyle.

Oligarchia wszędzie przejawia tendencje separatystyczne, niepodległościowe. Woli bowiem panować niepodzielnie na swym terytorium. Stąd na Ukrainie chętnie współpracuje z narodowcami. Pozbawiona jednak wsparcia sił narodowych, przy ogromnej popularności antykorupcyjnych i prorosyjskich idei Łukaszenki, oligarchia białoruska zrezygnowała z marzeń o „kompradorskim” systemie i zajęła się odbudową gospodarki Białorusi. Częściowo jej się to udaje.

Tak czy inaczej, rola reżymu Łukaszenki w życiu współczesnej Białorusi jest dyskusyjna i niejednoznaczna. Rzecz w tym, że Łukaszenka demonstracyjnie wypiął się na Zachód manifestując przy każdej okazji swe lekceważenie dla postzimnowojennego ładu, do którego z takim trudem próbuje się włączyć Rosję i Ukrainę. Dla Polski jest to sytuacja nieprzyjemna i niebezpieczna.

Trudno przewidzieć dalszy rozwój sytuacji na Białorusi. Być może da się „udemokratyzować” Łukaszenkę i zrobić z niego przyjaciela Zachodu, tak jak dało się to kiedyś zrobić z Jelcynem. Ale jest to mało prawdopodobne. Inny wariant to pozbycie się go jako niewygodnego, przez siły, które go dziś podtrzymują. Ale jest też prawdopodobny „wariant czarny”. Pozbawiona realnych szans zdobycia władzy drogą demokratyczną opozycja dążyć będzie do „rozwiązań siłowych” czy pozaparlamentarnych, licząc na aktywne wsparcie Zachodu, a do gry wciągana będzie „karta polska”. Mniejszość polska na Białorusi i mniejszość białoruska w Polsce mogą stać się elementem „globalnej geopolityki”. Już dziś takie niebezpieczeństwo się zarysowuje.

Włodzimierz PAWLUCZUK

Włodzimierz Pawluczuk – Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu w Białymstoku. Socjolog i religioznawca. Wieloletni dyrektor Instytutu Religioznawstwa UJ. Obecnie kierownik Katedry Religioznawstwa na Uniwersytecie w Białymstoku. Autor książek naukowych („Światopogląd jednostki w warunkach rozpadu społeczności tradycyjnej”, PWN 1972; „Żywiół i forma. Wstęp do badań nad kulturą współczesną”, PIW 1978; „Potoczność i transcendencja”, Nomos 1994; „Ukraina. Polityka i mistyka”, Nomos 1998), a także zbiorów esejów i reportaży („Naprawianie świata”, LSW 1978, „Wierszalin. Reportaż o końcu świata”, WL 1978.) Wieloletni współpracownik białostockiego pisma *Kontrasty* i krakowskiego *Zdania*.

Między Nowym Jorkiem a Kijowem

Zdawało się, że już się ustatkuję i przestanę jeździć po świecie. Bo to już i lata, i tu i ówdzie dolegliwości. I żona psioczy, że papierzyska przerastają całą bibliotekę i że mnie już zza stosów książek i gazet nie widzi. Coś w tym jest, zwłaszcza w tym ostatnim. Jak musiałem po emeryturze porzucić uniwersytet, gdzie miałem kilkaset książek, wynająłem tam garaż, chociaż nie miałem samochodu. A więc wszystko się przysięgło przeciwko podróżom, a ja furt jeżdżę i jeżdżę. Trochę to przypomina anegdotyczną postawę leningradzkiego Żyda, który jeździł pomiędzy miastem nad Newą a Tel-Avivem, a kiedy go urzędnik sowieckiego biura emigracyjnego, słynnego Awiaru, zapytał: „Towarzyszu Zilbersztajn, powiedzcie, gdzie wam się lepiej podoba, u nas czy w Izraelu” – odpowiedział: „jeśli mam być szczerzy, to po drodze”.

U mnie z tym jest trochę inaczej. W każdym razie – „nie po drodze” a „u celu”. A celem tym razem jest Nowy Jork, miasto z którym mnie wiążą szczególne więzy sympatii. Trudno powiedzieć, co mnie z tym molochem związało. Może tempo życia, może wielorakość kultur, języków, architektury, a może stare przyjaźnie z dawnych czasów, polityczne i prywatne przeżycia, choćby ów dzień w zgromadzeniu ONZ, kiedy Nikita Chruszczow walił butem w pulpit, aby mu dali prawo głosu przeciwko oskarżeniom delegata Filipin, że jest krwawym katem Ukrainy, pierwsze kontakty ze Zbigniewem Brzezińskim, spotkania z ukraińskimi politykami z „Prologu”, rozmowy z seniorem ukraińskiego dziennikarstwa Iwanem Kedrynem-Rudnyckym, z koleżanką z niemieckiej gazety *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, Litzmann i jej przyjaciółką, wdową po Filipie Bennie, wypady do Harlemu, kąpiele na wybrzeżu Oceanu, przyjaźnie z pisarzami, malarzami, dziennikarzami, z rozmaitych grup i kierunków. To wszystko uformowało mój nostalgiczny obraz Nowego Jorku. Przyłot był skomplikowany, ale obsługa w samolocie Air

France jak zawsze dobra i elegancka. Tylko po przybyciu zaczęły się nieprzyjemności. Podchodzę do urzędnika ze służby imigracyjnej i pokazuję mu moją starą dożywotnią wizę, a ten, że wiza nieważna. Wywiązała się rozmowa tego typu: Ja: – „Nie słyszałem, że tu był jakiś przewrót i zmiana reżymu. Dlaczego wobec tego wiza nie jest ważna? Może mi Pan nazwać przyczyny?” Odpowiedź: „Niech Pan nie będzie nachalny, bo ja Pana mogę odesłać z powrotem do Europy”. A ja na to: – „Może mi Pan zamówi Pańskiego zwierzchnika albo od razu kogoś w rodzaju sędziego lub prokuratora”. Zaczęła się awantura, którą zeżegnała koleżanka urzędnika wyjaśniając, że te „wieczne” wizy zostały zniesione, bo było za dużo fałszerstw. Dała mi jednorazowy pobyt, a to znaczy, że albo sobie znowu załatwię na nowo „dożywotnią”, albo będę musiał za każdym razem kołatać do drzwi bardzo nieprzyjemnej amerykańskiej biurokracji.

Pierwsza zmiana – od razu na lotnisku, które zostało rozbudowane i zmodernizowane jak mało gdzie indziej, to niesłychana dyscyplina z taksówkami. Na miejsce dawnego chaosu i wychwytywania sobie pojazdów, żelazny porządek. Jeden facet daje druczki do rąk z informacją, że kurs do tej czy innej dzielnicy w mieście nie śmie przekraczać, powiedzmy, trzydziestu dolarów. Drugi gość kieruje ruchem czyli przydziela klientów. Ruszamy po drodze konstatując przemiany: pełno nowych domów mieszkalnych, monotonnych, ale wyglądających bardzo solidnie. Druga konstatacja, to wyremontowane drogi. Zniknęły dawne dziury i wyboje. To samo na Manhattanie. Ulice czyste, bez żebraków, pijanych i obiboków. Zniknęli bezdomni, śpiący na gazetach albo tekturowych pudłach, na ulicy. Na skwerach kwitnące krzewy i klomby. Zmienił się do niepoznania, niegdyś brudny i odrapany Broadway. Nie zdążyłem tym razem skoczyć do Harlemu, ale podobno i tam widoczna poprawa. To wszystko zasługa energicznego burmistrza Giuliani, który początkowo chciał się zmierzyć w tegorocznych wyborach z kandydującą do demokratycznej partii żoną prezydenta, Hillary Clinton, ale niedyskrecje słynnej z szerzenia plotek amerykańskiej prasy na tematy choroby i afer miłosnych żelaznego burmistrza położyły kres jego karierze. Przed laty rządził burmistrz Koch, pochodzący z mojej rodzimej Kołomyi. Należał zdaje

się do liberalnej części społeczeństwa żydowskiego, którego jest tu więcej niż w Izraelu, ale które jest rozdarte przeciwnymi tendencjami. Rzuca się w oczy bujny rozwój żydowskich konserwatywnych prądów religijnych. Niedaleko od domu, w którym mieszka nasza przyjaciółka, wdowa po znanym lekarzu ukraińskim, otwarto niedawno konserwatywny Jozua – Uniwersytet Żydowski. Wyruszam tam po informacje, a ponieważ zaczęło padać, naciągnąłem na głowę czarny borsalino. Wchodzę, a sekretarka mnie pozdrowia: *good morning, rabbi*. I tak mimowiednie stałem się konserwatywnym rabinem Nowego Jorku. Ale zwiady w innych ośrodkach podobnego kierunku, zwłaszcza u chasydów, z którymi kiedyś miałem niezłe stosunki, kiedy się zatrzymywałem u państwa Soczyńskich w ich domu w Brooklynie, a byli to chasydzi pochodzący od cadyka z Czarnobyli. Po dziś dzień pielgrzymują do jego grobu niedaleko od reaktora rzesze chasydów z całego świata i idą bosą po zatrutej ziemi do miejsca ostatniego spoczynku ich Świętego. Otóż te zwiady kończyły się obecnie fiaskiem. Patrzyli na mnie nieufnie. Widocznie podziały i przedziały są poważne, a z drugiej strony wydatnie się zmieniło stanowisko nowojorskich Żydów wobec Ukraińców. Przez długie lata było nacechowane wrogością. Widać to było też na szpaltach wielkich gazet amerykańskich, w których wpływy żydowskie są ogromne. Obecnie atmosfera jest inna, jeżeli nie przyjazna, to w każdym razie neutralna. Stało się to pod wpływem liberalnej polityki narodowościowej a nawet filosemickiej Kijowa na początku niepodległości. Przyczyniły się do tego również dobre stosunki ukraińsko-izraelskie.

W odróżnieniu od rosnących wpływów elementu żydowskiego, czynnik ukraiński stale się cofa, jest w defensywie. Najjaskrawszym przykładem tego odwrotu jest fakt likwidacji najstarszego dziennika ukraińskiego *Swoboda* w Nowym Jorku, który obecnie ukazuje się jako tygodnik. Mimo licznych wysiłków – nie udało się pisma uratować. Robią bokami również liczne periodyki. W dalszym ciągu istnieje podział na dwa albo nawet trzy obozy nacjonalistyczne. Z dala od tej walki trzymają się ukraińscy naukowcy, skupieni głównie dookoła Naukowego Instytutu na Harvardzie, założonego przez Prycaka a obecnie prowadzonego przez Romana Szporluka.

Nowym dowodem na cofanie się pozycji jest likwidacja *Ukraińskich Wistej* w Detroit. Pismo powstało w 1945 roku w Niemczech i było organem emigracji ze wschodnich ziem Ukrainy zorganizowanych w Partii Rewolucyjno-Demokratycznej pod kierunkiem pisarza Iwana Bahrianego. Przez jakiś czas redaktorem naczelnym był Ławrynenko (pseudonim Dywnycz), który zestawił słynny tom prześladowanej literatury ukraińskiej, wydany pod tytułem „Rozstrilane Widrodźnennia” przez *Kulturę*. Partia ta nie poszła śladem dwóch wrogich względem siebie obozów OUN, które powędrowały na niepodległą Ukrainę i mimo swych przestarzałych programów, ubiegają się tam o zwolenników, lecz postanowiła się rozwiązać, stojąc na stanowisku, że wraz z powstaniem państwa ukraińskiego jej misja się zakończyła. Zresztą podobnie postąpiły też dwa środowiska nacjonalistyczne, które po drugiej wojnie światowej odszczepiły się od obozu banderowców, Ukraińska Główna Rada Wyzwoleńcza i OUN-owcy „Dwójkarze”, nazwani w ten sposób z powodu drugiego rozłamu. Ale w wypadku Rady Wyzwoleńczej pozostał bardzo przykry swąd, oto wyznaczony przez kierownika Rady, Łebedia, plenipotent do pieczy nad drogocennym Archiwum Roman Kupczyński, obecnie kierownik ukraińskiej sekcji amerykańskiego radia „Swoboda”, opylił – jak to mówią – zbiory, u kogo i za ile – nie wiadomo, ale Amerykanie wciąż jeszcze go zatrudniają, mimo że jako podobno nieuleczalnie chory alkoholik jest niezdatny do pracy.

Ale narasta inne zagadnienie Ukraińców w Ameryce. Jest to nowa fala emigracji, umotywowana ciężką sytuacją ekonomiczną w ojczyźnie. Ilu już jest tych „nowych” Ukraińców na ziemi Waszyngtona – trudno powiedzieć. Dyplomaci z ambasady w stolicy USA mówią, że ponad sto tysięcy. Wśród tych przybyszów przeważają wysoko kwalifikowani fachowcy: fizycy, chemicy, konstruktorzy raket i samolotów, fachowcy od budowy mostów, kolei itd., ale również przedstawiciele nauk humanistycznych i młode kobiety, szukające małżeństw lub opieki nad dziećmi, prowadzenia gospodarstw domowych. Są też ludzie sztuki: śpiewacy, tancerze i tancerki baletu, malarze.

O Polakach w Nowym Jorku nie mogę wiele powiedzieć. Wydaje mi się, że im się na ogół nieźle powodzi i że ci, co

przyjeżdżają łatwo znajdują zajęcie. Jak mi mówił mój stary przyjaciel Bolek Wierzbiański, redaktor naczelny *Nowego Dziennika* – pisma naprawdę bardzo dobrego, gazeta dobrze się trzyma. W każdym razie w porównaniu z prasą ukraińską, jest to niezwykle wyraźny kontrast.

Ale jest jeszcze inny zupełnie nowy aspekt w Ameryce – rosyjski. Ci przybysze z postsowieckiego archipelagu narodów, składający się przeważnie ze zrusyfikowanych Żydów z całego dawnego ZSSR, rozwijają niezwykle aktywność. To już nie dawna „mała Odessa” w Brooklynie, gdzie rosyjscy, ukraińscy i gruzińscy Żydzi ciągnęli gości do swych kabaków. Obecnie to niezwykle zróżnicowane środowisko, przedstawiające wszelkie dozwolone i niedozwolone profesje, robiące na tle obecnej amerykańskiej koniunktury interesy. Jest to element, który przeszedł twardą sowiecką szkołę życia, z nikim i niczym się nie patyczkujący i który w amerykańskim kapitalizmie pływa jak rybka w wodzie. Elegancko odziani faceci siedzą z drogimi kokotami w najbardziej ekskluzywnych lokalach i załatwiają transakcje. Ale na Down Town w ubogich dzielnicach chodzą też krótko strzyżeni młodzi ludzie z brutalnym wzrokiem i brutalną mową. Zdaje się, że minął wiek włoskiej i zaczął się wiek rosyjskiej mafii.

Rośnie ekspansja rosyjskiej prasy w Nowym Jorku. Kulejące latami *Nowoje Russkoje Słowo* prosperuje obecnie jak nigdy. Nie tylko inkasuje, ale też inwestuje w Rosji i na Ukrainie. Fenomenalnie rozwija się *Wjeczernij Nju Jork*, wydaje specjalną amerykańską wersję popularne w Rosji pismo tygodniowe *Argumenty i Fakty*.

A to wszystko odbywa się w atmosferze niesłychanego ekonomicznego wzrostu USA i nigdy niespotykanej dotąd w takich rozmiarach powszechnej konsumpcji. Dawne i nowe restauracje są pełne, a w renomowanych lokalach trzeba czekać w kolejce.

I jeszcze jeden aspekt ukraiński za Oceanem, a mianowicie stan nauki o Ukrainie na amerykańskich uniwersytetach. Przypomnę, że to była wielka sprawa, a proces zdobywania naukowych terenów dla szerzenia wiadomości o przeszłości i teraźniejszości Ukrainy był niełatwy i skomplikowany. Przez długi okres była to domena rosyjskich fachowców, albo Amerykanów z ciągotkami do „matuszki Rosji”. Zmiany nastę-

powwały wraz z tempem obsadzania naukowych stanowisk przez nowych przybyszów z Ukrainy. Rosyjscy naukowcy byli starej daty, Ukraińcy z nowej powojennej fali o wiele młodsii. Powoli ale systematycznie zdobywali pozycje głównie w dyscyplinach historycznych i lingwistycznych. Przełomem stało się powołanie Ukraińskiego Instytutu Naukowego na Harvardzie – najbardziej renomowanej i elitarnej uczelni amerykańskiej. Utworzenie tej placówki, powstałej z inicjatywy młodego wówczas orientalisty Omelana Prycaka, nie obyło się bez wewnętrznych sporów ukraińskich. Nacjonalisci byli przeciwko temu, uważali, że wystarczy mieć emigracyjny Wolny Uniwersytet w Monachium. Ostatecznie wygrał Prycak i to stworzyło nowe warunki dla rozwoju ukraińskiej nauki w USA.

Obecnie nastąpiła nowa sytuacja. Zmienia się funkcja ukraińskich instytucji naukowych za granicą. Ale ich rola wcale nie wygasa, nabiera innego znaczenia. Ukraina nie ma pieniędzy na organizowanie własnych przedstawicielstw naukowo-kulturalnych, wobec czego można by połączyć funkcje już nieistniejących urzędów z potrzebami państwa. Narazie są to tylko idee, a w Kijowie nie ma ludzi, którzy by mieli jakąś solidną koncepcję w tej sprawie. A z drugiej strony – jak wykazała wiosenna konferencja na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku – istnieje już zastęp młodych Amerykanów, którzy poważnie i kompetentnie zajmują się problematyką ukraińską.

Polska i Ukraina

Lecę do Kijowa na otwarcie wystawy *Kultury i Zeszytów Historycznych* i na dwudniową konferencję naukową. Jest to już trzeci raz w ciągu trzech lat, że w stolicy Ukrainy spotykają się Ukraińcy i Polacy i rozmawiają o roli pisma i Jerzego Giedroycia w rozwoju stosunków polsko-ukraińskich. Tym razem zorganizowaniem tej imprezy zajął się nowy Instytut badania stosunków Ukrainy z Polską pod kierownictwem Taisii Zareckiej. Jest to bardzo energiczna osoba, historyk z wykształcenia, mająca za sobą już kilka publikacji na temat współżycia Polaków z Ukraińcami i zasługi w sprawie

tłumaczenia książki Mieczysława Pruszyńskiego o Piłsudskim na ukraiński.

Zareckiej nie wszystko się tak udało jak planowała, bo jak często u moich ziomków, wynikły jakieś intrygi, dąsy i niezadowolenia. Sprawa zawisła na włosku szczęścia, ale dzięki uporze kierowniczkii impreza się udało. Była zresztą nieco inna niż poprzednie. Zarówno wystawa jak i konferencja odbywały się w budynku Ukraińskiej Biblioteki Narodowej – gmachu z wierzchu bombastycznego, ale wewnątrz całkiem przyjemnego, z pomysłowym krużgankiem. Główną zaletą tej wystawy jest fakt, że zbiory *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* staną się częścią biblioteki publicznej i to jest największe *novum*. Drugie, to okoliczność, że podczas konferencji naukowej, referaty wygłaszali młodzi ludzie interesujący się Polską. A w dyskusji docentki języka polskiego w Kijowie przedstawiły mapę kursów polonistyki na ukraińskich uczelniach. W porównaniu z ostatnimi latami jest ogromny postęp i to nie tylko w stolicy, gdzie polonistyka i kursy języka polskiego istnieją na trzech uczelniach, ale i poza Kijowem, na przykład w Odessie, Żytomierzu, Charkowie, no i oczywiście w zachodnich regionach, a więc we Lwowie, Czerniowcach, Iwano-Frankiwsku, Tarnopolu, Łucku. Powoli wyrównuje się w ten sposób różnica pomiędzy ukrajinistyką na uczelniach polskich a polonistyką na uniwersytetach ukraińskich.

Ale szykuje się w tej dziedzinie zupełnie coś nowego: utworzenie europejskiego uniwersytetu polsko-ukraińskiego w Lublinie. Czuję się dumny i zarazem szczęśliwy, bo to będzie ukoronowaniem mojej działalności na polu zbliżenia i współpracy. Kiedy wystąpiłem z tym wnioskiem, miałem już pewne doświadczenia z Europejskim Uniwersytetem „Viadrina” we Frankfurcie nad Odrą; nie bezpośrednio, bo tam nie nauczylem, ale z relacji kolegów niemieckich, którzy tę uczelnię organizowali. I choć tam było i jest nadal wiele niedociągnięć, sama idea mnie tak podbiła, że sobie powiedziałem, iż to trzeba zrobić na naszym pograniczu. Pamiętam, że na mój wniosek, aby sprawę utworzenia uniwersytetu polsko-ukraińskiego włączyć do spisu priorytetów, niektórzy uczestnicy zareagowali jak na wariacki pomysł. Ale kilku ludzi mnie poparło i projekt został przyjęty. Potem mijiał czas, ja się wściekałem, że sprawa się nie posuwa, aż premier Buzek wy-

cignął ją podczas pierwszej swojej wizyty w Kijowie, i jak mawiał Gorbaczow „proces poszedł”. Nie od razu i nie gładko. Były rozmaite pomysły odnośnie siedziby. Jedni chcieli widzieć uczelnię w Przemyślu, jeszcze inni w Rzeszowie, a nawet w Chełmie lub w Zamościu. Wszystkie te koncepcje miały trochę racji, ale były nie do przyjęcia. Uczelnia musi mieć naukowe zaplecze, a mianowicie dosyć kompetentnych uczonych i odpowiednie zbiory biblioteczne. Lublin to posiada, a oprócz tego ma solidną symbolikę historyczną. Teraz zacznie się żmudna praca organizacyjna, ale jestem przekonany, że pokonamy wszelkie trudności i za kilka lat Uniwersytet Polsko-Ukraiński podejmie działalność w interesie naszej współpracy naukowej i studentów obojga narodów.

Niezależnie od tego naprawdę historycznego przedsięwzięcia, pozostaje nadal w sferze przygotowań nie mniej, a politycznie może nawet ważniejsza, koncepcja stworzenia obszaru międzymorza, czyli połączenia basenu Bałtyku z basenem Czarnego Morza. Jest to program stulecia, jeśli nie tysiąclecia, bo jeżeli się nam uda ową myśl zrealizować, przewrócimy starą, dla nas zawsze niekorzystną geopolitykę, do góry nogami. Jest to projekt niezwykle ambitny i śmiały i mógł powstać tylko w erze bliskiej współpracy pomiędzy obydwoma prezydentami – Kwaśniewskim i Kuczmą, w okresie kierownictwa polskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych przez Bronisława Geremka. Jeśli się ma trochę zmysłu do historii i szczyptę fantazji – to można śmiało powiedzieć, że taki zamiar jest na miarę Piłsudskiego i Petlury. I choćby nie wiem co było przeciwko temu, Kreml, Bruksela, nasi nacjonaliści i pesymiści – musimy ten projekt realizować wspólnymi siłami, bo w nim tkwi długa i dobra perspektywa przyszłości.

Brakuje nam w tym dziele zaangażowanych polityków partyjnych, działaczy ekonomicznych, a przede wszystkim ludzi pióra i gęby, zdatnych do podrywania obywateli z obecnego odrętwienia i apolityczności, a można było w tym szczęśliwym okresie zrobić o wiele więcej. Wykorzystując ośpałość i pasywność polityki Moskwy w czasie kadencji Jelicyna, brak nacisków z Brukseli na Warszawę i dogodną wewnętrzną konstelację w obydwu naszych państwach, zręczni i dalekowzroczni politycy mogli opasać obydwa kraje pasmem takich umów i układów, że każdemu, który by chciał to

rozsupłać, nie byłoby łatwo tego dokonać. Niestety, nie wykorzystaliśmy tej szansy. Zanim nasi politycy byli zadowoleni z istniejącego *status quo*. A to się może zemścić. Wkraczamy bowiem w strefę niepewności i niewykluczonych turbulencji. W Moskwie zaczynają mówić o planach przywrócenia wielkomocarstwowości, Bruksela naciska na Polskę, aby się zamurowała na wschodzie, w Warszawie zaczął się czas krytycznych przegrupowań, a na Ukrainie wszystko stoi i leży wraz z Kuczmą. Wiele wskazuje na to, że obecny układ sił w Polsce już niedługo zostanie zastąpiony przez nową konstelację. Jedynym jasnym punktem są widoki na zwycięstwo Kwaśniewskiego w prezydenckich wyborach. Ale układy w przyszłym Sejmie i przede wszystkim w rządzie, nastrajają do niezbyt różowych widoków. Obserwatorów zaszokowała ostatnia debata o polityce zagranicznej Polski. Po bardzo mądrym i dla nas pozytywnym *exposé* Geremka, nastąpiły tylko dwie pozytywne wypowiedzi na temat perspektywy stosunków polsko-ukraińskich. Z ust rzecznika Unii Wolności i Czesława Bieleckiego. Wszyscy inni mówcy unikali zajęcia stanowiska. PSL-owcy ku zniewadze Witosa, Rataja i Mikołajczyka, zatrąbili do wesela z Moskwą, a Leszek Miller zrzęcznie unikał tematu. Nie były to dobre wróżby.

Niepokojącym zjawiskiem jest nie tylko wspomniane już osłabienie zaangażowania publicystycznego na rzecz pogłębienia sąsiedzkiej współpracy. Dotyczy to również stałych relacji i komentarzy prasowych. Po stronie ukraińskiej jest z tym jeszcze gorzej, chociaż tygodnik *Polityka i Kultura* w Kijowie i dziennik lwowski *Wysokij Zamok* usiłują dość skutecznie przełamać powszechną pasywność. W Polsce niestety dawne zainteresowanie tematyką ukraińską w prasie codziennej i w tygodnikach bardzo zmalało. Obecnie sprawom tym poświęca najwięcej uwagi *Gazeta Wyborcza*. Natomiast z *Rzeczypospolitą*, która dawniej wiodła prym w tym kierunku, ostatnio nie jest najlepiej. Dopóki gazeta miała własnego korespondenta Piotra Kościńskiego w Kijowie, wszystko było w porządku. Ale po jego odwołaniu zaczęły się ukazywać ze stolicy Ukrainy tendencyjne i przeważnie negatywne korespondencje Olgi Iwaniak. Jest to postawa osoby widocznie sfrustrowanej, która musi pisać o kraju, którego nie lubi. Nie jest to pierwszy wypadek w dziennikarstwie, a raczej powtórzenie wielu podob-

nych przykładów. Zdarzało się to nawet wielkim i renomowanym gazetom, jak na przykład najstarszej chyba liberalnej *Neue Zuercher Zeitung*, w której miałem przyjemność pisać w ciągu trzydziestu lat. Kiedy berliński korespondent Otto Frei podjął ostrą walkę przeciwko burmistrzowi a potem kanclerzowi Brandtowi, a ten zaczął publiczną nagonkę na dziennikarza, nie pozostało nic innego, jak go przenieść z Berlina do Rzymu. Pamiętam francuskich i amerykańskich korespondentów, którzy z niechęci do Niemców, sami prosili redakcję o pracę w innych regionach świata. W wypadku Olgi Iwaniak nic się nie dzieje, a na jej koncie widnieją niesłychane przeinaczenia prawdy i nieprzebierająca w środkach ustawiczna nagonka na prezydenta Kuczmę, który został przedstawiony podczas wyborów jako szubrawiec, ojciec chrzestny mafii i polityczny oszust. Gdyby ktoś tak napisał powiedzmy o Kwaśniewskim, powstałaby na pewno niesamowita wrzawa w Warszawie. Przy tym we wspomnianym paszkwilu przeciwko Kuczmi dama popełniła plagiat, bo przedrukowała całe pasáže z wyborczego ataku gazety socjalistów *Towarzysz* nie podając źródła. Na dobitkę w artykule poświęconym wyborom na Ukrainie, napisanym do spółki z Niemcem Bachmannem wyraziła pogląd, że dla Ukrainy byłoby lepiej gdyby wybory wygrał komunista Symonenko a nie Kuczma. Na coś podobnego oprócz duetu Iwaniak-Bachmann odważyła się tylko moskiewska gazeta komunistyczna *Sowietskaja Rosija*. A ostatnim „wyczynem” sfrustrowanej dziennikarki było przekręcenie wagi i sensu wizyty Clintona w Kijowie. Ukraińskie władze mają naprawdę anielską cierpliwość wobec dziennikarki, która je stale szkaluje i systematycznie szkodzi stosunkom polsko-ukraińskim.

Wydaje mi się, że sprawą pani Iwaniak winien się zająć istniejący od niedawna Dziennikarski Klub Polsko-Ukraiński, którego inicjatorem był korespondent *Rzeczpospolitej* w Kijowie. Klub ten wystąpił niedawno z oświadczeniem w kwestii nadużyć polskich straży granicznych wobec turystów ukraińskich. Miało to bardzo skuteczne rezultaty. Ale klub mógłby się również zająć sprawami kształtowania się obrazu naszych krajów w świadomości opinii publicznej obydwu społeczeństw i roli dziennikarzy.

Bohdan OSADCZUK

Niemieckie dziedzictwo kulturowe w Polsce

Przesunięcie terytorialne Polski po II wojnie światowej, które spowodowało, że określenia „poniemiecki”, „poniemieckie” i „poniemiecka” tak zadomowiły się w języku polskim, iż używa się ich w sposób oczywisty, znalazło odbicie także w polskich słownikach. I tak np. w „Słowniku ortograficznym języka polskiego” z roku 1986 występuje hasło „poniemiecki”, nie ma w nim zaś słowa „porosyjski” – być może wydarzenia ostatniego dziesięciolecia, związane z wycofaniem się armii sowieckiej z Polski, przyczynią się do uzupełnienia słowników hasłami jak „posowiecki” czy „poradziecki”. Nie szła z tym w parze głębsza refleksja nad znaczeniem przejścia pozostałości niemieckiej kultury materialnej, a przez całe dziesięciolecie temat ten uchodził za drażliwy.

Okazyjnie przypominane w polskich mediach fakty na temat niemieckiego rodowodu ogromnej części substancji budowlanej o najwyższej randze zabytkowej, architektonicznej i kulturalnej, głównie na byłych ziemiach niemieckich, ciągle jeszcze z dużym trudem docierają do świadomości szerokich warstw społeczeństwa polskiego. Wydarzenia polityczne ostatnich kilkunastu lat i likwidacja cenzury spowodowały wprawdzie zmianę w oficjalnym podejściu do tych spraw, to jednak nie towarzyszył temu szeroko zakrojony systematyczny proces odkłamywania narosłych przez dziesięciolecie mitów, pozostałości propagandy i nacjonalistycznych postaw w stosunku do niemieckiego dziedzictwa kulturowego – niezależnie od tego, czy postawy te wywodzą się ze spektrum komunistycznego czy prawicowego. Jedynie w wąskich gronach konserwatorów zabytków, historyków, germanistów i kulturoznawców o sprawach tych otwarcie mówiono już od lat siedemdziesiątych, nie ukrywając faktów celowego zacierania najbardziej wyraźnych śladów niemieckości, jak napisy, herby czy inne symbole ale także niszczenia i rozbiórki bezcennych kamienic, kościołów, muzeów i innych obiektów.

Pisze o tym m.in. prof. Marek Zyburą w swej godnej polecenia pracy pt. „Pomniki niemieckiej przeszłości”^{*}.

Obok oficjalnych działań politycznych jedną z przyczyn bardzo wybiórczego i wypaczonego spojrzenia na niemieckie dziedzictwo kulturalne były obawy o „polskość” obecnych Ziemi Zachodnich i Północnych także u ludzi niezwiązanych z aparatem władzy i propagandy. „Ani ruskie ani szwedzkie tylko nasze – ponemieckie”, tak mniej więcej można było oddać w ironiczny sposób stan świadomości wielu mieszkańców tych terenów. Obecnie coraz więcej działaczy regionalnych, przedstawicieli władz samorządowych a także przeciętnych mieszkańców ponemieckich miast, wsi i miejscowości podkreśla ich prawdziwy rodowód historyczny. Dzieje się to bardzo często z przyczyn praktycznych, jak np. oczekiwania na *boom* turystyczny z Niemiec. Najbardziej interesującym fenomenem w tym względzie jest natomiast powstawanie organizacji i towarzystw kulturalnych mających na celu nawiązanie do niemieckiej tradycji poszczególnych terenów i budowanie na tym fundamencie własnej tożsamości regionalnej. Przykładem tego jest „Borussia”, której współzałożyciel i wieloletni działacz Robert Traba podkreśla inicjatywę i zaangażowanie w zakresie odtwarzania ciągłości kultury regionalnej nie tylko u członków tej organizacji, ale także przedstawicieli władz lokalnych.

Zorganizowane na początku maja br. przez dr Astrid Wokalek z Federalnej Centrali Kształcenia Politycznego w Berlinie oraz Uniwersytet Wrocławski seminarium pt. „W poszukiwaniu kulturalno-historycznych śladów – kwestia niemieckiego dziedzictwa kulturalnego w Polsce”, wykazało, że tego rodzaju postaw jest coraz więcej i że obawy przed publicznym mówieniem o niemieckim rodowodzie „małych ojczyzn” w coraz większym stopniu ustępują zainteresowaniu faktami historycznymi. Idzie to w parze z pracami polskich historyków, którzy, jak np. prof. Zbigniew Mazur z Instytutu Zachodniego w Poznaniu, odkłamywają historię, ukazując także „etapy i strategie adaptacji niemieckiego dziedzictwa kultural-

^{*} Marek Zyburą, „Pomniki niemieckiej przeszłości. Dziedzictwo kultury niemieckiej na Ziemiach Zachodnich i Północnych Polski”, wyd. przez Centrum Stosunków Międzynarodowych, Warszawa 1999.

nego na zachodzie i północy Polski”, jak brzmiał tytuł jego referatu. Problem ten dotyczy jednak nie tylko spraw niemiecko-polskich, stwierdził inny uczestnik seminarium Krzysztof Czyżewski z Fundacji „Pogranicze” w Sejnach, który dokonał porównania na przykładzie „kulturalno-historycznego dialogu Polski z Litwą i Ukrainą”.

Dla szerszej opinii publicznej dialog ten zarówno w odniesieniu do spraw niemiecko-polskich jak i polsko-litewskich oraz polsko-ukraińskich dopiero się zaczyna. Fakt, że w krótkich odstępach czasu podobne kongresy, dyskusje i seminaria przygotowały m.in. Fundacja „Krzyżowa” dla Porozumienia Europejskiego, a także prowadzone przez Andrzeja Kotulę i Kazimierza Wóycickiego Forum Polska–Niemcy oraz Ośrodek Integracji Europejskiej w Szczecinie, wydaje się także świadczyć o coraz silniejszym poczuciu pewności siebie wśród mieszkańców terenów ponemieckich, którzy w poznaniu prawdy historycznej nie dostrzegają zagrożeń, lecz możliwość lepszego życia i utożsamiania się z miejscem zamieszkania.

Andrzej STACH

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Ci, co odeszli

Parę refleksji na pożegnanie

Odszedł dość szybko i nieoczekiwanie. Jeszcze w końcu listopada ubiegłego roku brał udział w promocji swojej najnowszej powieści „Gra z ogniem” w Klubie Księgarza na Starówce. Potem przestałem go widywać na spacerach w Królikarni, gdzie jako bliscy sąsiedzi często się spotykaliśmy. W grudniu musiał się poddać resekcji płuca. Zmarł 16 maja 2000 r., a 24 został pochowany na cmentarzu kalwińskim przy Żytniej, w pobliżu grobu Żeromskiego. Nadal ukazują się jeszcze w czasopiśmie jego aktualne teksty.

Cała kariera Andrzeja Szczypiorskiego (1928-2000) zawarła się w ostatnich latach trzydziestu i była na tyle nie-stereotypowa, że nie bardzo ją rozumiano. Do tej mglistości przyczynił się być może drobny i sympatyczny gest: u progu życia ze względu na chorobę uwielbianej żony postarzał się o cztery lata i tak do tego przywykł, że również w swych wspomnieniach uwzględniał zreformowany kalendarz; dopiero po śmierci żony, przed niespełną dziesięć laty, odzyskał prawdziwy rok urodzenia. Cztery lata, szczególnie w okresie wojny i dojrzewania, to wiele. Należał do pokolenia wojennego, lecz do pokoleniowej ariergardy. Nie zdążył zadebiutować literacko podczas okupacji (choć czytał już wtedy swe chłopięce opowiadanka w obliczu Nałkowskiej i Iwaszkiewicza w jakimś salonie literackim, dokąd zaprowadził go Mauersberger). W Powstaniu Warszawskim należał do najmłodszej kadry. Dopiero obóz w Sachsenhausen, jak wyznaje, przeżył dojrzałym. Po wojnie, bez rodziców, nie wiedział co ze sobą począć. Ale tradycja rodzinna (ojciec, Adam Szczypiorski, znany działacz PPS, piłsudczyk, niepodległościowiec,

pozostawał na emigracji) przesądziła, że w najgorszych latach stalinowskich wstąpił do OM TUR-u zachowując nieufność wobec reżimu. Dopiero po Październiku i powrocie ojca z zagranicy próbował sił w dyplomacji, stał się komentatorem radiowym i pisał. Napisał wiele powieści wojennych, ale większe wzięcie miały jego „kryminały” wydawane pod pseudonimem Maurice S. Andrews.

Przełomem stał się Marzec 1968. Wydarzenia marcowe okazały się dla niego takim wstrząsem, że nie mógł nad nimi przejść do porządku. Wojując z płaskością dotychczasowego weryzmu powieściowego, narzuciła mu się dla nich analogia z XV-wiecznymi wypadkami w Arras, gdzie skutek zarazy wybuchły „prześladowania Żydów i czarownic, procesy o urojone herezje, a także... łupieżstwa i zbrodnie”. Powieść historyczna „Msza za miasto Arras”, wydana w 1971 r., stanowiła fantazyjną, lecz nie budzącą wątpliwości metaforę niedawnych wydarzeń polskich i ich znaczenia dla autora (intelektualista Jan wskutek swych dotychczasowych złudzeń także poczuwa się do odpowiedzialności za ich tragiczny przebieg i porzuca miasto). Dramatyczna powieść historyczno-współczesna stała się największym sukcesem artystycznym pisarza (nagroda polskiego PEN-Clubu, 6 nakładów, inscenizacje teatralne i TV).

Odtąd rzadziej bierze się do utworów literackich, ale żaden z nich nie pozostaje bez odzewu. Co prawda czasy nie sprzyjały literaturze. Szczypiorski pograża się w ruchu opozycji demokratycznej, zwłaszcza z kręgu KOR-u, którego współzałożycielem był jego ojciec. Po wyrzuceniu go na żądanie władz z *Polityki* pisuje publicystykę już wyłącznie, czy prawie wyłącznie, w pismach podziemnych, emigracyjnych czy zagranicznych. Przypominam sobie, jaką w 1978 r. rozpetano nagonkę przeciw niemu wokół przedmowy do zachodniemieckiego wydania „Rozmów z katem” Kazimierza Moczarskiego, w której na dodatek naruszył najściślejsze tabu: Katyń (do dziś można znaleźć w bibliotece literatów tekst przedmowy, złożony przez autora dla obrony przed wymyślanymi inwektywami). Współorganizuje też niezależny Kongres Kultury Polskiej i z chwilą wprowadzenia stanu wojennego na kilka miesięcy zostaje internowany w Białolecie, a później w Jaworzu.

Najbardziej zaskakującym i perspektywicznym sukcesem Szczypiorskiego z ostatniej dekady PRL staje się niewielka drastyczna powieść pod dyskretnym tytułem „Początek”, wydana w Instytucie Literackim w Paryżu w 1986 r. Jest to powieść dziejąca się w Warszawie, a traktująca o stosunku Polaków do Żydów w początku okupacji hitlerowskiej. Stosunku, jak wiadomo, ogromnie zróżnicowanym – od heroizmu po szmalcownictwo, a przeważnie nacechowanym obojętnością. Wśród tych wątków pojawia się też nieco rozbudowany wątek pięknej Żydówki, wydanej gestapo przez tym razem żydowskiego szmalcownika, którą na prośbę zaprzyjaźnionych Polaków ratuje dobry Niemiec (Reichsdeutch) z rąk tępawego gestapowca z al. Szucha (w głównym zrebie fabuła autentyczna). Tutaj po raz pierwszy pojawia się u Szczypiorskiego trójka: Niemiec – Polak – Żyd, może w nieco zbyt pokazowej choć prawdopodobnej wersji, który później będzie specjalnością jego prozy. Powieść, natychmiast przedrukowana przez drugi obieg, nie robi w Polsce szczególnego wrażenia (a jeśli, to krytyczne: że melodramat, że podlizuje się Niemcom...). W RFN wydana pod tytułem „Die schone Frau Seidenman” budzi istotnie szal zachwytu. Osiąga 340 tysięcy nakładu! W ślad za nią wydaje się „Mszę za miasto Arras” i prawie wszystkie powieści Szczypiorskiego. Niemcy stają się też, jak często działo się z polskimi bestsellerami, furtką na świat. Dziś Szczypiorski jest tłumaczony w 25 krajach.

Czy „Początek” jest naprawdę jakimś lizusostwem i melodramatem? Przecież piękna pani Seidenman nie zakochuje się w swoich prześladowcach czy wybawicielu, ani oni w niej. Równorzędne natomiast potraktowanie wątku niemieckiego z polskim, zwłaszcza w stosunku do Żydów, było wówczas rzeczywiście na tle polskiej literatury czymś niespotykanym, wyzywającym, lecz całkiem świadomym. W kręgach polskiej opozycji w kraju nurtowały pomysły, że w bez mała pół wieku po wojnie pora zacząć inaczej rozmawiać i układać stosunki z Niemcami (pionierską rolę odegrała w tej kwestii broszura Jana J. Lipskiego). A więc również w latach wojny szukać wszystkiego, co mogłoby temu sprzyjać, choćby były to casusy indywidualne i wyjątkowe. W Niemczech jeszcze przed „Listą Schindlera” w „Die schone Frau” usłyszano wyraźnie ten nowy ton. Przy bliższej znajomości z jej autorem

– podobnie jak z K. Pendereckim czy W. Bartoszewskim – odkryli w nim Niemcy wspaniałego otwartego i przychylnego rozmówcę i kompana. Gdy po zwycięskich wyborach Szczypiorski został senatorem, to jego zaprasza kanclerz Köhl do zabrania głosu w pierwszą rocznicę zjednoczenia Niemiec, a także przy kłopotliwej okazji wystawy Wehrmachtu. W mowach Szczypiorskiego, zwanych „polskimi kazaniem do narodu niemieckiego”, Niemcy gotowi byli wysłuchać nawet najbardziej gorzkich czy surowych słów. Chociaż Szczypiorski po jednej senatorskiej kadencji zrezygnował z polityki, w dziedzinie pojednania z Niemcami robił nadal znacznie więcej niż niejeden resortowy polityk.

Zresztą trudno całą jego rolę w tej sprawie sprowadzić do polityki. Jeśli tak ciężko było nam porozumieć się z Niemcami nie tylko po II wojnie światowej, to wynikało to także z rozbieżnych tradycji i kodów kulturowych. Gdy Reich-Ranicki w wywiadzie dla *Polityki* stwierdza, że „Szczypiorski potrafił dać coś, czego w Niemczech nie ma, a mianowicie rozrywkową (przepraszam, w odniesieniu przynajmniej do ‘Początku’ wolałbym – popularną) powieść na poważnym poziomie intelektualnym” – to tę właśnie kwestię ma na myśli. Sukces Szczypiorskiego w Niemczech polega także na tym, że potrafi on oscylować między emocjami a dyskursem, jak Żeromski, czy między kulturą masową a poważnymi problemami moralnymi i światopoglądowymi, rezerwowanymi zwykle dla kultury elitarnej, co opanowała polska literatura ostatnich dekad.

W podobną stronę poszła ostatnia powieść Szczypiorskiego „Gra z ogniem”. Jest to powieść internacjonalna i historiozoficzna, powieść o XX wieku, a zarazem „kryminał”. Jej głównymi bohaterami są wielcy biznesmeni – kolekcjonerzy sztuki ze zbrodniczą wojenną przeszłością, którzy planują „gigantyczne oszustwo ubezpieczeniowe”. Inszenizują je w znanym Bad Kranach, gdzie roi się od bogatych snobów i pomniejszych hochsztaplerów. Tutaj, w wolnym i demokratycznym świecie, sponie wielka wystawa z podstawowymi pseudo-arcydziełami i dokona się największa transakcja stulecia.

Aura moralna powieści jest niemal katastroficzna, a głównej jej problem zawiera się w modnym na nowo pytaniu:

unde malum? Autor zdaje się sugerować, że nieodpokutowane i nieodkupione zło krwawych rzeźni wciąż ciąży nad poczuciem moralnym XX wieku. Znaleźliśmy się w potrzasku między potrzebą zapomnienia o nim, a koniecznością pamięci. Dobro stało się banalne, atrakcyjne zło napędem karier i fortun. Te dylematy końca wieku trapią polskiego socjaldemokratę, liberała i chrześcijańskiego personalistę.

Od tego typu konstrukcji, efektywnych i mogących podbić publiczność, osobiście wyżej stawiałem aktualną bieżącą publicystykę Szczypińskiego. Mimo swoich sukcesów literackich, nie spoczął on w tej dziedzinie na laurach, nie przybrał ani postawy pseudopolityka, ani kombatanta. Stał się jednym z głównych, a z pokolenia wojennego jedynym publicystą nowej demokracji polskiej. O ile w stosunku do sąsiadów dbał, by jego merytoryczne słowo nie nadto drażniło, o tyle w kraju nie dyplomatyzował. Miał kolosalne doświadczenie, nie ciążyły na nim grzechy przeszłości i nie bał się bezpośrednich starć z przeciwnikami. Toteż do jego repertuaru należały sprawy najtrudniejsze i najbardziej kontrowersyjne: lustracji i fałszywych sędziów, wolności i nadużywania słowa, tolerancji, ksenofobii i fundamentalizmów, państwa świeckiego i wyznaniowego, nieudolności i pychy klasy politycznej... Potrafił określać to, co dotychczas niezdefiniowane a groźne. I miał siłę słowa i perswazji. Minęły zaledwie dwa tygodnie od czasu jak go nie ma, a już przy kolejnym ciężkim kryzysie rządu III Rzeczpospolitą odczuwamy, że przydałoby się posłuchać jego rady.

Tadeusz DREWNOWSKI

Filozof odchodzi

Filozofka Jeanne Hersch zmarła w Genewie 5 czerwca 2000, na dwa dni przed sesją przygotowaną na jej pięćdziesiąte urodziny. Artykuły jej poświęcone w prasie szwajcarskiej były hołdowniczo-jadowite, jak to umieją dziennikarze, wtrącając tu i ówdzie słówko niby to neutralne ale będące naganą. Jeżeli sokratycznym obowiązkiem filozofa jest mówienie ludziom nieprzyjemnej prawdy, choćby wszyscy się obrażali, Jeanne powinna być z takiego pożegnania zadowolona, bo aż do końca zalewała sadła za skórę swoim współobywatelom, a zwłaszcza szwajcarskim gazetom i telewizji.

Moja przyjaciółka i niemal rówieśniczka, urodziła się w rodzinie emigrantów z Wilna. Jej ojciec, Liebman Hersch, był działaczem socjalistycznego Bundu, Wilno opuścił po rewolucyjnych wydarzeniach 1905 roku. Wybitny statystyk, został profesorem Uniwersytetu Genewskiego. Matka była lekarką.

W domu mówiono po polsku, stąd polski ich córki, trochę zardzewiały, ale dający się odświeżyć. Jako dziecko zadawała pytania, na które ojciec nie znajdował odpowiedzi, bo zresztą nikt ich nie ma. Pociągała ją muzyka i robiła duże postępy w swoich studiach w konserwatorium, kiedy zarzucała muzykę na rzecz filozofii.

Była studentką filozofii w Heidelbergu i Fryburgu-en-Brigau w najmniej do tego odpowiednim momencie, bo w pierwszych miesiącach nazizmu. Za koleżankę miała tam Hannę Arendt. Następnie studiowała w Paryżu.

Jednakże za swego mistrza zawsze uważała Karla Jaspersa i tłumaczyła jego dzieła na francuski. Jej własną twórczość otwiera dysertacja „L'illusion philosophique”, 1936, wznowiona z przedmową Jaspersa w 1964. Następnie powieść „Temps alternés” (Czasy przemienne), 1942, wznowienia 1972 i 1990. Za jej główne dzieło filozoficzne można uważać „L'être et la forme”, 1946. Nie uciekała od polityki. Czynnie zaangażowana w ruch federalizmu europejskiego, napisała w obronie demokracji książkę „Idéologies et réalité”, 1956

(w moim przekładzie wydał to Instytut Literacki jako „Polityka i rzeczywistość”, 1957).

Jest też redaktorką międzynarodowej antologii tekstów o prawach człowieka, „Le droit d'être un homme” (Prawo do bycia człowiekiem) wydanej przez UNESCO, 1968, 1984. Wygłasza liczne odczyty radiowe o filozofii, które składają się na przejrzyste ułożony podręcznik filozofii dla wszystkich „L'étonnement philosophique” (Zdumienie filozoficzne), une histoire de la philosophie”, 1993.

W polskiej orbicie Jeanne Hersch znalazła się dzięki jej przyjaźni z Józefem Czapskim, następnie ze mną i ze Stanisławem Vincenzem. Był to czas kiedy Paryż intelektualny odnosił się do polskich emigrantów jak do trędowatych, a nawet o Czapskim, autorze „Na nieludzkiej ziemi” paryskie dzienniki pisały jako o majorze „faszystowskiej armii Andersa”, wołając o jego wydalenie z Francji.

Jeanne otrzymała w domu wychowanie laickie i socjalistyczne, wierna ideałom Bundu należała do szwajcarskiej partii socjalistycznej, nie znosiła komunistów i całego rządzonego przez nich paryskiego intelektualnego światka. Nie miała więc żadnych oporów przed wejściem do naszego kręgu. Jej stosunki z Vincenzami, którzy ją bardzo lubili i traktowali niemal jak córkę, pozwalają zobaczyć ją w jej cielesności, nie moła książkowego, ale kobiety dynamicznej, wysportowanej i cieszącej się życiem. Właściwie Vincenz pękał ze śmiechu obserwując jej ekscentryzmy. Bo Jeanne co raz to popadała w dziwaczne przygody przez swoją, wyniesioną z domu, niemal dzieciinną prawdomówność i zupełną obojętność na społeczne konwenanse, na to, co wypada i czego nie wypada. Nazywał ją czule wariatką, „panną z mokrą głową”, ale także, z powodu innych jej cech, „córą pustyni”. Te cechy upodabniały ją do biblijnych proroków. Tam gdzie inni poruszali się w temperaturach letnich, ona, namiętna, żarliwa, gorzała. I w swoich poglądach nie znała kompromisów.

Jej temperament może nawet pomagał w jej zajęciach z młodzieżą, bo lubili ją uczniowie Międzynarodowej Szkoły w Genewie, następnie jej studenci na Uniwersytecie Genewskim, gdzie od 1956 do 1977 była profesorem filozofii, z przerwą w latach 1966-1968, kiedy kierowała w Paryżu Sekcją Filozofii UNESCO.

Przyjaźń z osobą tak niezwykłą jest dla mnie powodem do dumy. A bynajmniej nie można zaliczyć naszego przymierzania do stosunków prostych. Żeby go opisać, należałoby powrócić do napięć roku 1951 i 1952, w samym środku zimnej wojny, wprowadzić cadyka Vincenza i jego nauki wyzwalające mnie z zatrucia heglizmem i nieustanny palawer z Jeanne, w którym występowali Vincenz, Jaspers i jego filozofia wolności. Zaczerpnąłem od niej przekonania, że przeszłość każdego człowieka nie jest nieruchoma, zamrożona, bo od nas zależy jaki nadamy jej sens przez nasze późniejsze czyny: jakaż zachęta do gorliwego działania! Dodać tu trzeba nasze kłótnie, bo łagodności nie zaliczyłbym do jej cnót, jak też nasze wspólne pływania w pięknych rzekach Francji. Pływaliśmy w różnych okresach życia, w rzekach, w Morzu Śródziemnym, nawet, już w starości, w Morzu Karaibskim koło Martyniki. Przyjaźń nasza przetrwała, chociaż po emigracji do Ameryki zamiast nielicznych spotkań prowadziliśmy telefoniczne rozmowy. Jeanne przetłumaczyła na francuski moją powieść napisaną na konkurs „Zdobycie władzy”, dzięki czemu otrzymałem Prix Littéraire Européen w 1953 roku. A wkrótce później, z wielkim poświęceniem, obłożona słownikami, pracowała nad przekładem mojej „Doliny Issy”, powieści autoterapeutycznej, którą w niemałym stopniu zawdzięczałem wpływowi jej rozważań o egzystencji i platońskim rozhoworom Vincenza.

Spróbujmy jednak zobaczyć Jeanne na tle zbiorowisk ludzkich. Podobnie jak Hannah Arendt (którą dzięki Jeanne poznałem w Paryżu) wystąpiła jako myśląca maszyna do konkurencji z plemieniem wąsatych i brodatych pracowników myśli. Maszyna precyzyjna i groźna w dyskusji. Bali się jej i dlatego nie mogli jej lubić. Na seminariach, kolokwiach, zjazdach, jej rozumowanie, zawsze celne, przypierało adwersarza do muru, wykazując luki i niekonsekwencje jego myśli. Z każdą dekadą dwudziestego wieku przybywało zresztą punktów jej niezgody z „kastą wiedną”. Jej stosunki z Konstantym Jeleńskim dostarczyłyby tutaj dobrego przykładu. Wysoce ją cenił, coraz bardziej jednak od niej się dystansował, szczególnie kiedy zaczęły się bunty młodzieży w rewolucyjnych latach sześćdziesiątych. Te go zachwyciły i nawet nie miał za złe wycięcia platanów przy bulwarze St. Michel, żeby

budować z nich barykady. Nie rozumiał dlaczego Jeanne wobec tego wybuchu młodości zajmuje stanowisko negatywne i nieprzejednane. Ale on był, bądź co bądź, postępowcem i zwolennikiem wszechogarniającego przyzwolenia, natomiast Jeanne surowym krytykiem nie znającej powściągłów epoki. Rebelie młodzieży – w Berkeley, w Paryżu, wkrótce też w Zurichu – miały przyczyny, które dałoby się wyliczyć, natomiast jedna, wspólna im przyczyna, wymyka się nam, równie jak przyczyna pierwszej wojny światowej. Tyle tylko możemy powiedzieć, że przesiliły się w ten sposób resztki obyczajowego ładu, zachowanego po wieku dziewiętnastym. Racjonalnie rzecz biorąc, bunt przeciwko wszelkim autorytetom, portrety Mao i Che Guevary, narkotyki, łatwy seks, dowodziły obecności jakichś potężnych irracjonalnych sił. Otóż cała filozofia Jeanne zwracała się przeciwko instynktom, odruchom, zawierzeniu podświadomości. Popłuczyny Marksa i Freuda zmienione w hasła studenckiej rebelii obrażały jej poczucie sensu. Najwyżej ceniła jasne myślenie i stąd jej wstręt do alkoholu oraz wszelkich narkotyków, zamącających działanie rozumu.

Nie znaczy to jednak, że była racjonalistką. Zbyt na to świadoma naszych ludzkich ograniczeń, wiedziała, że jesteśmy zanurzeni w tajemnicy i że nasza wiedza jest jak krąg światła elektrycznej latarki w ciemności. Uporządkowana Szwajcaria ze zgrozą i niedowierzaniem przyjęła ryki i pochody swoich rodzimych wandalów, rozbijających witryny sklepowe, podpalających samochody w imię bliżej nieokreślonej rewolucji. Opinia publiczna skłaniała się raczej do tolerancji: no cóż, nudzą się, rzeczywiście nasze społeczeństwo nie daje im ani uchwytnych celów, ani okazji do wyładowań. Jedynie Jeanne Hersch w swoich wypowiedziach drukiem i przez radio bezwzględnie potępiała ekscesy i nawoływała do wdrożenia dyscypliny na uczelniach. Oskarżała przy tym starsze pokolenie o lęk przed wyrażeniem własnego zdania. Tutaj oto tkwi zarzewie konfliktu Jeanne ze szwajcarskimi dziennikami. Socjalistka, a przyłącza się do głosów prawicy? Osoba niby to postępowca, a bierze w obronę sprawy i osoby reakcyjne. Awanturka.

Nie wiem czy Jeanne miała tu rację. Przeżyłem rewolucję 1968 roku w Berkeley, bez zatargów z moimi studentami, ale

nie przechodząc na stronę ryczącego tłumu dyrygowanego przez paru demagogów, między innymi przez dziewczynę z Nowego Jorku, której ojciec był teoretykiem Amerykańskiej Partii Komunistycznej. Zachowanie się większości profesorów nie przynosiło im zaszczytu. Bali się posądzenia o reakcyjność. Otóż w tym okresie zakładania komun, bosonogich „dzieci kwiatów” w ławkach, wśród zapachu marihuany, ktoś z moich znajomych opowiadał mi o reakcjach przeciętnych obywateli Związku Sowieckiego na wieść o tym rozpasaniu w Ameryce, „Aresztować!” „Do łagru!” „Bo inaczej zginiecie!” Ameryka jednak nie zginęła. Tak samo mieszczańska Szwajcaria dalej trwa, mimo ostrzeżeń Jeanne.

Jednakże Jeanne miała rację w innym, głębszym znaczeniu. Gdyż pod powierzchnią głupawych sloganów i ścinań drzew na barykady dojrzywała zmiana mentalności, która miała zarazić naukę i sztukę końca dwudziestego wieku. Uczestnicy rebelii albo odeszli do robienia pieniędzy, albo zostali naukowcami i artystami, kształtując z kolei umysły młodych pokoleń. I zapytana o właściwości tego nowego sposobu myślenia, Jeanne odpowiedziałaby, że cechuje go utrata wiary w rozum i zatracenie pojęcia prawdy.

Jeanne Hersch była człowiekiem pasji etycznej. Być może dlatego tak bliski jej był Karl Jaspers, który zresztą dowiódł, w latach nazizmu, wierności swoim przekonaniom, nie idąc na żadne kompromisy. Jego religią była, jak to nazwał, „wiara filozoficzna”, wymagająca w pierwszym rzędzie uczciwości wobec siebie. Prawda była u podstaw jego odmiany egzystencjalizmu. Jego uczennica i tłumaczka wierzyła w gmach nauki i sztuki wznoszonej przez ludzkość dzięki użytkowi rozumu w dążeniu do prawdy. Mogłaby podpisać się obiema rękami pod encykliką Jana Pawła II w obronie rozumu, ponieważ właśnie to, przed czym ostrzega, było jej zmorą. Zresztą, choć nie chrześcijanka, była zapraszana na sympozja watykańskie i brała tam udział w dyskusjach. Do problemów poruszanych w encyklikach odnosiła się z szacunkiem, i, w przeciwieństwie do wielu zachodnich intelektualistów, nie wyławiała papieskich nauk o życiu seksualnym, żeby znaleźć okazję do krytyki, a nawet współczuła papieżowi, że musi rozstrzygać tak zawile zagadnienia.

Pośród gzielku i zamętu ścierających się idei dwudzieste-

go stulecia, Jeanne musiała wiele odrzucać i przeróżne modne, następujące po sobie „izmy” określała jako „baratin” czyli paplanie. Wymagająca, narzucała wyraźnie ustaloną hierarchię. Swoje obowiązki filozofa pojmowała w pierwszym rzędzie jako dostarczanie narzędzi rozumowania, tak żeby pozbyć się, na ile to możliwe, pojęć mętnych. Przyjaźń z nią uchroniła mnie od wielu myślowych błędów i utwierdziła mnie w estymie dla kobiet-filozofek, którym patronuje Hypatia, ostatnia poganka w Aleksandrii na przełomie czwartego i piątego wieku, a w czasach nam bliższych przewodzą Simone Weil, Hannah Arendt i Jeanne Hersch.

Istotą osobowości Jeanne Hersch była szczególna postawa wobec świata, którą nazywam pobożną, co nie musi wiązać się z przynależnością do jakiegokolwiek religijnego wyznania. Nihilistycznym pomysłem przeciwstawiała *sacrum* zawarte w samym istnieniu, i samo istnienie powinniśmy co dzień celebrować. A dodać wypada jej szczególną wstydlivość w używaniu zbyt wielkich słów, pokorę wobec granic zakreślonych dla naszej kondycji ludzkiej.

Nie myślę, że to pożegnanie odsyła ją w przeszłość, między linie oporu przeciwko złu jej epoki, któremu przeciwstawiała się z całą energią. Współczuła ofiarom dyktatur (korzystając ze swojej znajomości języka pojechała do Polski w 1956 roku na proces robotników w Poznaniu). Działała na rzecz federacji europejskiej, kiedy mało kto brał tę ideę poważnie. Przybierającemu chaosowi ruchów młodzieżowych, z ich zatarciem granicy między złem i dobrem, prawdą i nieprawdą, próbowała położyć tamę. Czytane dzisiaj, jej teksty w późniejszych wypadkach znajdują potwierdzenie. Jednakże nie na tych racjach doraźnych polega jej wkład w naszą cywilizację. Jest to jakby propozycja nowego światopoglądu, po końcu tak zwanych systemów, po uprzątnięciu ruin, jakie zostawili po sobie uwodzicielscy myśliciele dziewiętnastowieczni.

Czesław MIŁOSZ

Adam Ulam

Powszechnie znany specjalista od spraw rosyjskich i sowieckich, Adam Bruno Ulam, który zmarł 28 marca b.r. w wieku lat 77, nie był bynajmniej stereotypowym uczonym. Odznaczał się ekscentrycznym sposobem bycia, takim jaki dawniej cieszył się powodzeniem w angielskich i amerykańskich środowiskach uniwersyteckich, lecz ostatnio został zastąpiony modą na przesadną zawodową oglądność. Styl obecnych profesorów przywołuje na myśl ową postać z jednej z powieści Sinclaira Lewisa, o której autor mówi, że robi raczej wrażenie wędrownego akwizytora papierów wartościowych.

Natomiast Ulam, wysoki, wyprostowany pan, wysoko nosząc głowę, chodził zawsze pogrążony w myślach i zdawał się nieczuły na to, co się działo dokoła. Nigdy nie nauczył się prowadzić samochodu ani pisać na maszynie. Palił papierosy łapczywie, ale rzadko je sam kupował. Czytał cudze gazety. Nie znosił podróży do tego stopnia, że będąc autorem kilku książek o Rosji, sam tylko raz ją odwiedził. Na żadnej sesji poświęconej Związkowi Sowieckiemu czy też stosunkom między nim a Stanami Zjednoczonymi nigdy go nie spotkałem, mimo, że podobnie jak my wszyscy pracujący w tej dziedzinie, musiał otrzymywać mnóstwo zaproszeń. Prowadził życie utarte zwyczajem, wypełnione lekturą i (ręcznym) pisanem, przerywane od czasu do czasu towarzyskimi wypadami do Ośrodka Badań nad Rosją lub Harvardskiego Klubu profesorskiego, i to nie tyle w celu dzielenia się myślami z innymi, ile po to, aby wypowiadać własne, sypiąc przy tym dowcipami, z których słynął.

Urodził się we Lwowie 8 kwietnia 1922 r. w zamożnej mieszczańskiej rodzinie żydowskiej. Był synem adwokata, wnukiem architekta i młodszym bratem matematyka Stanisława, który w późnych latach 30-tych został zaproszony (jako tak zwany *fellow*) przez Uniwersytet Harvard. W sierpniu 1939, niecałe dwa tygodnie przed wybuchem wojny, w której reszta rodziny potem zginęła, Adam udał się z bratem stat-

kiem do Ameryki i tam wstąpił na Uniwersytet Brown. Wkrótce przeniósł się na studia doktoranckie do Harvardu. Tam już pozostał, zrazu w charakterze asystenta na wydziale nauk politycznych, z czasem w randze profesora.

Rosja nie była pierwszym przedmiotem jego zainteresowań. Jego praca doktorska, wydana drukiem, nosi tytuł „Filozoficzne podstawy socjalizmu angielskiego”. Przymuszczałby poświęcił resztę życia studiom nad filozofią polityczną, gdyby nie zimna wojna. W r. 1948 przyłączył się do założonego wówczas Ośrodka Badań nad Rosją, którego potem został kierownikiem. Z małymi wyjątkami wszystkie jego książki i artykuły dotyczyły rosyjskiego radykalizmu i sowieckiej polityki, a więc przedmiotów całkowicie przezeń opanowanych. (Jakim sposobem posiadał tyle wiedzy na te tematy, pozostaje zagadką, ponieważ nigdy nie zjawiał się w bibliotece uniwersyteckiej: przypuszczam, że asystenci dostarczali mu do gabinetu masy książek.) Samej Rosji zdawał się mniej ciekawy niż typowych cech pewnego inteligenta, który tam zagarnął władzę i sprawował ją z nieznanym dotychczas okrucieństwem.

Ulam podchodził do ustroju sowieckiego nie tyle z temperamentem, co z dystansem i subtelną ironią. Jego książki pełne są zjadliwych uwag. Oto jeden z przykładów jego stylu. Cytując retoryczne pytanie Lenina na temat pierwszej wojny światowej: „Obiektywnie rzecz biorąc, kto korzysta z hasła pokoju? Z pewnością nie proletariat rewolucyjny”. Ulam komentuje następująco: Lenin „przeoczył fakt, że dla milionów ludzi uwzględnienie ‘hasła pokoju’, mogło być raczej korzystne”.

Książka „Bolszewicy”, z której pochodzi powyższy fragment, pozostanie przypuszczalnie najsłynniejszym jego dziełem. Wydana w 1965 stanowi ona osobistą i polityczną biografię Lenina. Pomimo minimalnie w niej użytego aparatu naukowego opowieść odsłania głęboką (i trafną) znajomość źródeł oraz faktów dotyczących partii bolszewickiej sprzed śmierci Lenina. Znamienną cechą książki jest brak konkluzji, bowiem Ulam nie wdawał się w moralizowanie czy też przepowiadanie przyszłości. Nie budował „modeli” teoretycznych, nie mówiąc o wszelkich metodach ilościowych, które stanowczo odrzucał. Był nade wszystko tradycyjnym historykiem myśli.

Pisał wiele: o Kominternie, o Stalinie, o rosyjskich radykałach sprzed bolszewizmu, o stosunkach amerykańsko-sowieckich. Jedynym ważniejszym wyjątkiem w zbiorze jego pism jest „The Fall of the American University” (Upadek amerykańskiego uniwersytetu) z 1972, a więc reakcja na rozruchy studenckie, które wstrząsnęły Harvardem i innymi amerykańskimi uczelniami. Ulam nie włączył się ani do klikki „postępowej”, ani do „konserwacyjnej”, na które wówczas podzieliło się grono harvardzkich profesorów, ponieważ był z natury obserwatorem, a nie działaczem. Niemniej odczuwał głęboki niepokój o los wyższych uczelni. „Upadek” jest książką pesymistyczną, ubolewającą nad „polityzacją i biurokratyzacją” amerykańskich uniwersytetów, czyli nauczania i nauki. Utrzymywał, że to zjawisko jest spowodowane mylnym postrzeganiem uniwersytetu jako instytucji, której zadaniem jest „nauczanie społeczeństwa, jak ma sobą samym kierować”, Przewidział obecny kryzys jaki ogarnął dziś amerykańskie instytucje naukowe z racji rosnącego naporu programów społecznych.

Osobiście uważałem jego podejście do komunizmu i Rosji sowieckiej za zbyt wstrzemięźliwe, rezerwa graniczy tu z odmową zaangażowania. Ten stosunek tkwi głęboko w filozoficznej postawie Ulama, którą sprecyzował we wstępie do swej książki o stosunkach amerykańsko-sowieckich:

„Naczelne zadanie badacza spraw sowieckich polega na wystrzeganiu się tak oceny sugerującej nadzieję, jak i podejścia pesymistycznego, oraz na dążeniu po prostu do przedstawiania faktów i tendencji rosyjskiej polityki. W momencie gdy spostrzeża w niektórych kierunkach politycznych jakąś nieuchronność ich przyszłego rozwoju i zaczyna na nie nakładać własne wnioski odnośnie do pożądanej polityki Ameryki wobec ZSSR, badacza naraża się na szwank”.

To tłumaczy przypuszczalnie dlaczego stronił od sympozjów dotyczących aktualnej polityki i unikał roli doradcy względem amerykańskich instytucji rządowych, przedkładając nad to zacisze swojego gabinetu wypełnionego po sufit książkami.

Ulam pozostawił autobiografię, którą jego była żona

obecnie przygotowuje do druku. Można przypuścić, że filozoficzny przekaz tej pośmiertnej książki da się streścić słowami anonimowego angielskiego autora, które Ulam przytoczył w jednym ze swych dzieł: życie jest komedią dla człowieka myśli, tragedią dla człowieka serca.

Richard PIPES

Szymon Jakubowicz

Szymon Jakubowicz, zmarły po wieloletniej chorobie serca w marcu tego roku w Warszawie, osierocił nie tylko najbliższą rodzinę, ale także wielu swych przyjaciół w Polsce i na świecie. Wystarczyło spojrzeć na prasowe nekrologi i wspomnienia, by od razu zauważyć, że odszedł człowiek, nie tylko wzbudzający szacunek, ale obdarzony równocześnie zdolnością promieniowania emocjonalnego. Słowa odczuwane często jako pompacyjne lub wytarte, odzyskiwały – w odniesieniu do niego – prawdziwość.

Rebeliant przeciw krzywdom ludzkim jeszcze jako uczeń gimnazjalny, płacił już szybko potem wysoką cenę za każdą kolejną stację swoich buntów. Studiując przed wojną na politechnice wiedeńskiej, trafił do więzienia za komunizm. Po powrocie do Polski (po dalszych studiach w Grenobli i już po wojnie), znalazł się znowu, w latach 1949-1952, w więzieniu, tym razem „z racji” czystek stalinowskich. W czasie bolesnego, ale nigdy nieukrywanego procesu trzeźwienia ze złudzeń komunistycznych, był wcióż celem ataków ze strony stalinowców, a potem moczarowców, których wpływy przerwały jego działalność dziennikarską i publicystyczną (jak również działalność kilku jego kolegów) najprzód w *Trybunie Ludu*, potem w *Życiu Warszawy*. Nawet w dziedzinie pracy naukowej nie cofnięto się przed wymierzaniem mu ciosów: jeden, posłuszny moczarowskiemu żądaniom głos, spowodował, że w r. 1968 w Radzie Instytutu Ekonomii PAN, tuż przed zapowiedzianą obroną pracy doktorskiej, nie zatwierdzono mu doktoratu (zapewne „historyczny”

wypadek w dziejach tej procedury). Zatwierdzono go dopiero, na podstawie tej samej pracy, dwa lata później. Szymon Jakubowicz stał się zatem od połowy lat pięćdziesiątych i w latach sześćdziesiątych przedstawicielem typowej wtedy dla niektórych komunistów ewolucji: od afirmacji systemu, poprzez wiarę w możliwość jego zreformowania, aż po definitywne z nim zerwanie.

W październiku 1956 r., właśnie wierząc jeszcze w możliwości demokratyzacyjne „gomułkowskiej odnowy”, wspólnie z profesorami Kaleckim i Brusem, a także przy silnym poparciu ze strony robotników – Jakubowicz brał udział w przygotowaniu projektu ustawy o samorządzie pracowniczym. Ustawa nie ujrzała światła dziennego, ale Jakubowicz wbrew wszystkim przeszkodom, wbrew sceptycyzmom z zewnątrz i z wewnątrz, nie zaprzestał utwierdzania poglądu o konieczności udziału pracowników w decyzjach przedsiębiorstwa lub instytucji. Nie przestawał tego uzasadniać, angażując się od początku w „Solidarność”, ani potem, po ogłoszeniu stanu wojennego, publikując swe prace w drugim obiegu. W r. 1988 wyszła w londyńskim „Aneksie” jego książka, „Bitwa o samorząd 1980-1981”. We wspomnieniu o ojcu, córka Teresa napisze w warszawskiej *Gazecie*, że dzięki temu właśnie upartemu zaangażowaniu przekazał jej „wielką wiarę w sens pracy z ludźmi i dla ludzi”.

Szymon Jakubowicz, chyba w przeświadczeniu o groźbie bliskiej śmierci (a jednak z jakimś humorem) napisał swój własny nekrolog z wykropkowanymi datami zgonu i pogrzebu. Przedstawił się w nim – skromnie i niebanalnie – jako „mąż Marii, działacz samorządu pracowniczego, socjalista”. Tak więc sam „wypunktował” najważniejsze sprawy w swoim życiu: zaw sze, aż do końca niezwykle intensywny emocjonalnie i intelektualnie związek z żoną; upór w dziedzinie organizacji zarządzania gospodarczego; wreszcie, z podkreśloną z pewną przekorną ostentacją (gdyż w niektórych kręgach niezupełnie dziś modną) wierność zasadom sprawiedliwości społecznej – rozumianej oczywiście bardziej jako dążenie, niż spełnienie.

Przesyłając mi, na moją prośbę, ten auto-nekrolog Szymona, żona jego, Marysia (o której przyjaciele twierdzą zgodnie, że gdyby nie jej walka o każdy jego oddech, umarłby pewnie kilka lat wcześniej), dodała w liście: „On to pisał żartem, ale myślał serio”.

Kamila CHYLIŃSKA

Wypadek w dziejach tej procedury. Zauważono go dopiero na podstawie tej samej pracy dwa lata później. Szymon Jakubowicz nie miał z tym od powojennej w latach sześćdziesiątych przedstawić typowej wiedzy dla niektórych komunistów ewoluującej od sztywności politycznej wiarze w możliwość jego zrealizowania, aż po definiowanie z nim

W październiku 1956 r. właśnie wieść o jeszcze w mojej głowie demokratyzacyjnej „gomułkowskiej odnowy”, wspólnie z kolegami Kalcikiem i Brusem, a także przy silnym poparciu strony robotników – Jakubowicz brał udział w przygotowaniu projektu ustawy o samostanowieniu pracowników. Ustawa ta miała swą rolę w tym, że Jakubowicz wbrew wszystkim przeszkodom wbrew sceptycznym opiniom z wewnątrz i z zewnątrz, nie przestał wierzyć w możliwość zrealizowania tej ustawy. W październiku 1956 r. w Warszawie, w siedzibie przy ul. Krakowskiej 12, odbyła się konferencja, na której

Ś. † P.

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

wybitny pisarz,

przez wiele lat bliski

współpracownik „Kultury”

zmarł w Neapolu 4 lipca 2000 roku.

Redakcja „Kultury”

Ostatnio byłam świadkiem ogromnych wroczyści wiązanych ze spowadaniem prochu Stanisława Mikołajczyka. Bardzo łatwo się zapomniało, że był on w dużym stopniu uczestnikiem w latach polityki angielskiej. Probował z Powstania Warszawskiego stworzyć kartę przetargową, prowadził w tym celu na prowadzony jedno- Gdy powrócił do kraju, był przyjęty z ogromnym entuzjazmem, gdyż spodziewano

Notatki Redaktora

Episkopat polski zorganizował pielgrzymkę narodową do Rzymu z okazji Roku Jubileuszowego. Ku powszechnemu zaskoczeniu, prezydent Kwaśniewski zadeklarował, że weźmie w niej udział. Tego rodzaju oświadczenie wygląda na niezmiernie prymitywny chwyt wyborczy. Zupełnie jest jednak jasne, że efekt będzie całkowicie inny, niż spodziewa się prezydent czy jego doradcy. Elektorat katolicki potraktuje to jako zwykły oportunizm, a elektorat lewicowy ta decyzja tylko odstraszy, nie mówiąc już o tym, że jest to posunięcie w najwyższym stopniu nietaktowne. Udział w pielgrzymce pana Krzaklewskiego jest tylko potwierdzeniem, że pielgrzymka, zapewne wbrew intencjom organizatorów, zostaje przekształcona w cyrk wyborczy. Ta decyzja prezydenta Kwaśniewskiego może bardzo zaważyć na jego popularności, która w ostatnich miesiącach bardzo przecież wzrosła. Prezydent Kwaśniewski stale podkreśla, że chce być prezydentem wszystkich Polaków. Jego postępowanie w ostatnim okresie kryzysu, jaki przeżywamy, zdobywało zaufanie. Obecnie takie oświadczenia będą zapewne traktowane bardziej krytycznie. W ogóle cała kampania wyborcza robi wrażenie nieprzemyślanej, za dużo zaczyna być w niej przysłowiowej kiełbasy wyborczej, np. propozycja wysunięta przez niego na zebraniu wyborczym na Podlasiu, ustanowienia stałej renty socjalnej dla pracowników likwidowanych PGR-ów, jest zwykłą demagogią bez pokrycia.

Wracając do pielgrzymki narodowej, nasuwa się jeszcze jedno pytanie, ile to będzie kosztować podatników i całe społeczeństwo. Wygląda na to, że Kościół zupełnie się nie liczy z ciężką sytuacją gospodarczą, czego przykładem jest nadzieja kardynała Glempa na postawienie pomnika Papieża w każdej miejscowości, czy budowa sanktuarium w Licheniu.

te oferty na sieci Anglik przynosiła kuchenną tablicę, a Szwed köksbord. Jest to wielkie dobrodziejstwem, gdyż drobni

Ostatnio byliśmy świadkami ogromnych uroczystości związanych ze sprowadzeniem prochów Stanisława Mikołajczyka. Bardzo łatwo się zapomina, że był on w dużym stopniu narzędziem w rękach polityki angielskiej. Próbował z Powstania Warszawskiego stworzyć kartę przetargową, prowadził rokowania ze Stalinem, nie reagując na prowadzony jednocześnie proces szesnastu w Moskwie. Gdy powrócił do kraju, był przyjęty z ogromnym entuzjazmem, gdyż spodziewano się, że będzie mógł zahamować proces sowietyzacji, a gdy to mu się nie udało, uciekł z kraju, pozostawiając swoich bliskich współpracowników na łasce komunistów.

Jesteśmy ostatnio świadkami jednoczenia się Korei Północnej i Południowej. Warto przy tej okazji przypomnieć, że na początku tego wieku ukazała się książka Wacława Sieroszewskiego o Korei, nagrodzona złotym medalem Ciesarskiego Towarzystwa Geograficznego w Petersburgu. Mam wrażenie, że książka ta jest jednym z nielicznych opracowań dotyczących Korei w literaturze europejskiej, które zachowało pewną aktualność. Warto ją wznowić, a kto wie, czy nie wydać po koreańsku. Takie nieliczne próby już były przez nas robione, a mianowicie, w Seulu wydano przekład książki Sieroszewskiego „Ol soni kisan” z inicjatywy ówczesnego ambasadora RP Jędrzeja Krakowskiego. W ogóle Sieroszewski, niesłusznie zapomniany, jest do odkrycia. Byłoby interesujące, by któryś z reporterów odbył podróż po Syberii śladem jego opowieści syberyjskich, dla zorientowania się w ogromie ewolucji, jaka nastąpiła na tych terenach. Idealnym reporterem byłby Mariusz Wilk czy Ryszard Kapuściński.

REDAKTOR

Sprawy i troski

Cenne informacje dla ekspertów

W początkach czerwca 2000 została podpisana umowa o współpracy między API Svenska AB i teleoperatorami Telemedia na Łotwie i Litwie. Telemedia są filią największego szwedzkiego operatora Telia, działającą w trzech krajach bałtyckich. Telemedia w Estonii podpisały analogiczną umowę z API już przed kilkoma miesiącami.

API Online obejmuje kilka różnych baz danych, z których najważniejsze są dwie: TED (Tenders Electronic Daily), prezentująca wszystkie państwowe i gminne oferty przetargowe z całej Unii Europejskiej i BRE, prezentująca oferty sektora prywatnego. Codziennie ukazuje się minimum tysięcy różnych ofert.

Arne Holmström, dyrektor API Svenska AB podkreśla, że API Online umożliwi przedsiębiorcom pracę w ich językach narodowych. API opiera się bowiem o specjalny standard CPV (*Common Procurement Vocabulary*), obejmujący wszystkie języki Unii Europejskiej, a ponadto rosyjski, estoński i dwa języki bałtyckie (łotewski i litewski). Takie tłumaczenie w oparciu o numeryczne kody towarów, usług, wymogów jakości i najpospolitszych fraz jest bezwartościowe w wypadku tekstów skomplikowanych, np. prawniczych, ale w zupełności wystarczy do prezentacji ofert, reklamy czy poszukiwania partnera. Jeżeli np. łotewska firma napisze, że jej głównym produktem jest *virtuves galds*, to przeglądający tę ofertę na sieci Anglik przeczyta *kitchen table*, a Szwed – *köksbord*. Jest to wielkim dobrodziejstwem, gdyż drobni

przedsiębiorcy nie zawsze potrafią pracować w języku angielskim, a już estońskiego czy języków bałtyckich nie zna w Unii praktycznie żaden biznesmen.

Oczywiście dostęp do baz danych API Online będą mieli tylko ci bałtyccy przedsiębiorcy, którzy w swoich krajach są klientami szwedzkiej filii Telemedia. Jednak i tak stanowi to wielką szansę. Wszystkie kraje postkomunistyczne mają z eksportem do Unii Europejskiej problemy (choć nie wszystkie problemy tego rządu co Polska). Także unijne małe i średnie firmy nie mają najczęściej pojęcia, że jakiś przyzwoity produkt mogłyby kupić wcale tanio w Europie Wschodniej. Już sama możliwość rynkowej orientacji we własnym języku warta jest bardzo wiele. Bazy danych API Online funkcjonują też jako cenny instrument badania rynków w różnych krajach.

Kronika kulturalna

Rotmistrz Zawodziński

Zanim powszechniej wiedziano, kto zacz, został dostrzeżony przez krytykę literacką pod kryptonimem K.W.Z., którym się posługiwał najpierw trochę dlatego, żeby go nie nękali dowódcy; w wojsku rozmaicie bywa: nie wszyscy oficerowie są wrażliwi na poezję.

„Przyjeżdżał zwykle późno, wprost po ćwiczeniach z Rembertowa czy Mińska, siadał na uboczu, zwarty, lekko pochylony. Do dyskusji mieszał się przeważnie wtedy dopiero, kiedy wyczerpała się ciągle powściągana jego niecierpliwość, mówił przeważnie krótko i zjadliwie. Ostrze wypowiedzi zwracał przeciwko tematowi czy sądowi, nie osobie dyskutanta. Była w tym jakby pewna szarmancja, ale nie wyrozumiałość czy łagodność. – Na płaski żart, naciągnięty argument, lekkomyślny sąd reagował inaczej: ćwierćsekundowym grymasem ust, wzgardliwym ruchem ręki i upartym, zawziętym, nieraz aż ponurym milczeniem. Najdłużej umiał prowadzić dyskursy o wersyfikacji”.

Tak wspomina Karola Wiktora Zawodzińskiego świetny polonista, Tadeusz Makowiecki; są to jeszcze lata, gdy go widywał w Warszawie, na posiedzeniach Klubu Literackiego i Naukowego, słynnego KLiN-u. Zapamiętał już na zawsze „szczupłego oficera ufanów, zawsze w polowej niepozornej kurtce, z wypłowiałymi proporczykami na kołnierzu, ale zawsze ściągniętego rzemieniem pasa do maksimum”. Po ostatniej wojnie – jako już profesorowie – będą się kolegować w Uniwersytecie im. Kopernika w Toruniu.

W grudniu zeszłego roku, minęło pół wieku, odkąd Zawodziński nie żyje. Zapomniany nie został: historycy naszej

literatury zadbali, by główne jego dzieło o wersyfikacji weszło w obieg naukowy, rozprawy zaś i studia, a nawet zrab nieprzeliczonych recenzji mamy scalone w dobrych wydaniach książkowych. Dawne – gorące nieraz – spory na ogół zamilkły; chyba tylko Miłosz sarknie czasem, gdy mu przyjdzie mówić o Czechowiczu, który to poeta przeświadczony był, że krytyk nasz go pokrzywdził. Słysząc nawrót zaciekawienia Zawodzińskim-rusycystą.

Twórczość więc jego wciąż się liczy, o twórcy wiemy niezbyt wiele i często bałamutnie. O rozgłos nie zabiegał, o siebie nic prawie nie dbał. Krewki ten, sympatyczny bardzo człowiek, dobry kompan, przyjaciel – jeśli kogoś już do zażyłości dopuścić – oddany, Karol Wiktor Zawodziński zasługuje, ażeby jego życiorys nieco uporządkować.

„Urodziłem się 1 VI 1890 r. w Warszawie, gdzie matka moja udała się na czas słabości, pierwsze jednak lata spędziłem w majątku Połczyn w pobliżu Dobrzynia nad Wisłą. Kryzys rolny powrócił mego ojca w szeregi inteligencji pracującej. Jako budowniczy – zatrudniony najczęściej przy projektowaniu architektonicznej strony kolei i portów – w liczbie innych Polaków, którzy włożyli swą pracę w naturalną komunikację Rosji, zmieniał dość często miejsce zamieszkania, a w ten sposób – dzieckiem jeszcze – poznałem różne części europejskiej i azjatyckiej Rosji”. Tak się rozpoczyna Zawodzińskiego *curriculum vitae*, złożone w kwietniu 1947 r. uniwersytetowi w Toruniu. Jest to maszynopis z odręcznymi poprawkami autora. Cytuję wedle łatwo widocznej wersji pierwszej, czyli nie uwzględniając skreśleń; życiorys ten – ze względów politycznych – jest łagodnie zakamuflowany tam, gdzie się wspomina o służbie wojskowej. – Charakterystyczny jest zwrot o powrocie pana Kazimierza Zawodzińskiego „w szeregi inteligencji pracującej”: jego syn, chętnie zabierający głos na temat genealogii polskiej inteligencji, głosił przekonanie, że dla ziemian (jak to się potocznie mawiało) wysadzonych z siodła, oznaczało to nie deklasację, lecz na odwrót – społeczny awans. – Matka Karola Zawodzińskiego (Stefania z Junosza-Piotrowskich) wywodziła się z Witebszczyzny; temu zawdzięczał on swe powinowactwo z Lednickimi.

Od roku 1897 państwo Zawodzińscy na lat kilka osiedli w Warszawie; ich syna do szkół przygotował Jan Urbanowski,

w przyszłości znany adwokat. Młodzieniec oddany został do IV rządowego gimnazjum (tu poznali się ze Stefanem Srebrnym; kiedyś będą profesorami tego samego uniwersytetu).

Wspomniana już zawodowa ruchliwość Zawodzińskiego-seniora sprawiła, że od roku szkolnego 1902/3 syn jego pobierał nauki w Petersburgu, w I gimnazjum rządowym. Po kilku latach rodzina powróciła do Warszawy.

Tu zaś – na zawsze pamiętna przygoda: strajk szkolny roku 1905. Już po II wojnie, we wstępie do wydania „Dożywocia” Fredry, dał Zawodziński wyraz mocnemu przeświadczeniu, że „Więź generacji jest może najpotężniejszą więzią społeczną kształtującą osobnika, silniejszą niż związki rodzinne, przynależność narodowa lub klasowa”. Pokolenie strajkowiczów z 1905 r. utrzymywało wzajemną łączność przez całe życie i urzędało okolicznościowe spotkania; pokolenie w bardzo szerokim znaczeniu słowa, gdyż obejmujące i sporo starsze osoby, nie samych tylko ówczesnych uczniów: w bliskiej znajomości z grupą Zawodzińskiego pozostawał na przykład Bohdan Dyakowski (1864-1940), znakomity autor dzieł o przyrodzie.

Patriotycznie usposobiona młodzież warszawska ciągnęła po roku 1905 do prywatnego, na wysokim utrzymywanego poziomie, gimnazjum im. generała Chrzanowskiego (dzisiejsze Liceum Zamoyskiego). Tu też zawiązywały się przyjaźnie trwałe Zawodzińskiego: najprzód ze starszym nieco Stefanem Saskim (wybitnym polonistą) oraz najważniejsza – z Wacławem Borowym, z którym zażyłość serdeczną i to bardzo bliską przerwie dopiero śmierć po przeszło czterdziestu latach.

Maturę jednak lepiej było mieć urzędową: trudniejsza była eksternistyczna i tę wybrał Borowy, Zawodzińskiego rodzina jego wysłała w tym celu aż do Tyflisu, gdzie miał on ciotkę, zamężną za tamtejszym lekarzem, Ormianinem. To tu po raz pierwszy nasz przyszły badacz wersyfikacji wglębił się w wielką literaturę rosyjską.

Ale postanowiwszy pozostać dla studiów wyższych w Rosji wybrał jednak Zawodziński (1908) literaturę romańską. Wybrał – jak pisze – „po krótkim wahaniu”; z akt Uniwersytetu Petersburskiego wynika, że najpierw otarł się o wydział

matematyczno-fizyczny¹. W wywiadzie dla *Wiadomości Literackich*, po latach, ujmie to tak: „Wyszedłem z kół formalistów rosyjskich i poezji postsymbolistycznej ‘akmeizmu’, moimi kolegami uniwersyteckimi byli Żyrmunski przez cały czas studiów, a w krótszych okresach Gumilow, Mandelsztam i Szklowski”. Siostra Zawodzińskiego we wspomnieniach o swoim bracie (rękopis w Bibliotece Narodowej w Warszawie) dodaje, że znał on również Biełego i Siewierianina. Jeszcze nieraz skorzystam tu z owych siostrzanych notatek.

Historia literatury francuskiej była więc raczej formalnym kierunkiem studiów, nieco też przez Zawodzińskiego bagatelizowanym, zanim nastąpiło pewne zbliżenie wybitnego studenta z profesorem Pietrowem (który mu nawet w końcu proponował asystenturę). Dyplom uzyskał Zawodziński z rocznym opóźnieniem (1913); wiódł życie może nawet nazbyt bez troskie. Nie krył się z tym przed Borowym, donosząc mu listem (z 19 IX 1913), przechowywanym dziś w Bibliotece Narodowej w Warszawie:

„... Ja jestem poważnie zmęczony tym życiem, które tu prowadzę od 3 tygodni. Zwłaszcza w ostatnim czasie znajomość z dziewczynką, która – zdawałoby się – przez samą naturę przeznaczona jest na uosobienie czystości, niewinności i młodości, a okazała się kurwą pozbawioną zupełnie śladów instynktu moralnego – podziałała na mnie przygnębiająco i zrujnowała ostatecznie finansowo, zamuliła ostatnie źródło kredytu, bowiem cała gotówka już przedtem poszła na poparcie Towarzystwa Wyścigów Konnych”.

Wszyscy, którzy się kiedykolwiek zetknęli z Karolem Wiktorem Zawodzińskim, opowiadają nie tylko z rozbawieniem, lecz i ze szczerym podziwem o jego wszechstronnym wykształceniu, co miało i ten skutek, że długo był niezdecydowany, jak swoim życiem pokierować. Publicystyka jego nieliteracka nieźle to ukazuje. Ciekawiła go ekonomia, podlegały zagadnienia urbanistyki, pasjonował się marynistyką, nieźle się znał na malarstwie, nie była mu obca heraldyka...

1. Wyciąg akt z Uniwersytetu Petersburskiego dotyczący studiów, które przebył tam Karol Zawodziński, zawdzięczam p. Izabeli Jarosińskiej.

Serio rozważał, czy nie wstąpić do armii rosyjskiej, czemu się jednak stanowczo sprzeciwił jego ojciec, mimo że kariera oficerska osób mających parantele w tak zwanych zachodnich guberniach Cesarstwa nie uwłaczała Polakowi. Wahał się też Zawodziński, czy by nie zostać rolnikiem: odbył nawet w tym celu praktykę w Płockiem, u państwa Karnkowskich.

Nad głową wisały mu uzupełniające studia w Paryżu, gdzie miał ukończyć swoją rozprawę o „Le Diable amoureux” i jego autorze, którym był zgłębiający okultyzm Jacques Cazotte (1717-92).

Ostatecznie jednak do Paryża nie dojechał, świadomie zawrócić z drogi. Zanosilo się na wojnę, lipiec roku 1914 zastał go w Zakopanem, w pensjonacie Aliny Świdorskiej, na kuracji, wydawało się bowiem, że mu zagraża gruźlica.

Diagnozy lekarskie były sprzeczne, stąd zwolnienia z wojska, urlopy bardziej lub mniej dobrowolne – gdyż były i reklamacje zatroskanych o niego przyjaciół. Niemniej 5 sierpnia 1914 r. wstąpił Zawodziński – w Zakopanem właśnie – do Kompanii Legionów Polskich i pozostał w niej do 20 IX, kiedy to uzyskał przeniesienie do legionowej Kadry Kawalerii. Od 31 X 1914 r. przebywał poza służbą do 31 VI 1915. Od sierpnia 1915 do 25 IV 1917 miał przydział do 2. Pułku Ułanów. Stąd został odkomenderowany do szkoły oficerskiej (kwiecień-lipiec 1917). Przydzielony następnie do taborów, doczekał internowania w obozie jeńców w Szczypiornie do 15 X 1917. To tutaj powstał jego wiersz „Trwanie”, w którym są takie oto strofy:

*Więc żem się dowlókl aż w tę chwilę,
Przez dymy walk, przez błoto miast,
Przez czasy, gdy na niebie tyle
Wybuchło i zagasło gwiazd –*

*Błogostawiłem trud przetrwania
I kwietną otchłań czarnych nieb,
Że ku nim, a nie w dół się skłania
Ten twardy marzyciela łeb.*

Uwolniony został wskutek interwencji „królewsko-polskich” władz oświatowych; nauczał wtedy w warszawskich

szkołach średnich, m.in. na kursach maturalnych Miłkowskiego. Wiosną roku 1918 zatrudnił go – w charakterze perceptora swych dzieci – książę Janusz Radziwiłł.

Z warszawskiego pałacu przy Bielańskiej łatwiej było wyrwać się z powrotem na front. Otrzymał awans na oficera, aż do zawarcia pokoju ryskiego – bił się. Następnie zdecydował się Zawodziński pozostać w służbie czynnej jako zawodowy oficer kawalerii. Opinie wojskowe miał zrazu najprzychylniejsze: człowieka świetnie wychowanego, inteligentnego, koleżeńskiego, prawego. Wypis ze stanu służby pokazuje, że najdłużej (i z kilkoma nawrotami) należał do 10 Pułku Ułanów Litewskich.

W szczegółach przedstawia się to następująco:

1 XI 1918–15 III 1921 – 7 Pułk Ułanów; 10 Pułk Ułanów (z przerwą na kurs w szkole saperów); 10 Pułk Ułanów, tu w 2 Brygadzie Jazdy brał udział w Bitwie Warszawskiej; ranny – od września do listopada w szpitalu;

15 III 1921–1931 nadal – 10 Pułk Ułanów do 1 VIII 1921; Ministerstwo Spraw Wojskowych – tłumacz, 1 VIII 1921–22 VIII 1924; 10 Pułk Ułanów 22 VIII 1924–3 IX 1925, w tym kurs w Centralnej Szkole Kawalerii, od 1 XII 1924;

Oficer ordynansowy II vice-ministra Spraw Wojskowych (był nim naówczas gen. Fabrycy) – 20 IX 1926–3 II 1928;

(10 Pułk Ułanów – formalnie do 20 IX 1926); Wyższa Szkoła Wojenna – dowódca szwadronu reprezentacyjnego: 3 II 1928–5 XI 1928; 12 Pułk Ułanów 5 XI 1928–23 XII 1929; 1 Pułk Strzelców Konnych – oficer mobilizacyjny, 23 XII 1929–1932.

Siostra Zawodzińskiego opowiada, że krążyło po Warszawie powiedzenie: Marszałek największe ma kłopoty z dwoma swoimi oficerami – z Wieniawą i z Karolem. Wyżsi dowódcy musieli za nim nie przepadać. W każdym razie oceny okresowe otrzymywał Zawodziński mierne, uchodził za niesubordynowanego. Karta kwalifikacyjna z lat 1921–1931 zaczyna się od stopnia „dobrego”, w latach 1924–1926 stopień ów jest „przeciętny”, powraca do „dobrego” za lata 1929–1930, by się zakończyć z trzaskiem: nasz rotmistrz otrzymuje stopień „niedostateczny” oraz ostrzeżenie (podpisane przez generała Jarnuszkewicza).

Ostateczny wyrok nosi podpis pułkownika dyplomowanego Jana Karcza: „Szczegółowe opinie przełożonych stwierdzają, że oficer ten nie odpowiada na stanowiskach ani liniowych, ani w sztabach. Stawiam wniosek na (*sic!*) oddanie wymienionego oficera do dyspozycji dowódcy Okręgu, celem zwolnienia”².

Tak wygląda dokumentarne podłoże przejścia Karola Zawodzińskiego na emeryturę wojskową. Przebyty przezeń szlak bojowy jest do odtworzenia poprzez metryki pułków, w których służył, zawarte w znanym dziele „Księga jazdy polskiej”. Zawsze dążył, ażeby nie na tyłach armii być, lecz na froncie; z dumą nosił swój Krzyż Walecznych, Pod koniec służby nadano mu wyższy w hierarchii odznaczeń Krzyż Niepodległości (*Monitor Polski* nr 132 z 11 VI 1931).

Czy rzeczywiście był Zawodziński człowiekiem krnąbrnym? – wątpię o tym najmocniej. Ale w wojsku nigdy nic nie wiadomo. Wystarczy ktoś, kto się nazbyt przywiąże do swego wierzchowca. Zawodziński nie ma w zwyczaju na los się uskarżać pośród osobistych niepowodzeń. Największa przykrość, o której pisze w swej wieloletniej korespondencji z Borowym, jest (opowiedziana w liście z 6 czerwca 1926) taka: „Wbrew prawu i wszelkim obyczajom wszystkich kawalerii świata koń mój jako kasztan (pułk ma obecnie same gniade) wbrew mej woli, woli oficera, odszedł z pułku”.

Takimi co najwyżej razić musiał swych przełożonych wystąpieniami. Odstawał od swych kolegów z pewnością i tym, jak spędzał „pozostały od służby czas wolny, tj. noc, dni świąteczne i urlopy wypoczynkowe” – czyli że oddawał się pisarstwu.

Czynnym krytykiem literackim stał się Zawodziński za sprawą Wacława Borowego, który go z miejsca wciągnął (1921) do redagowanego przez siebie *Przeglądu Warszawskiego*. Najlepiej to z wszelką pewnością prowadzony miesięcznik humanistyczny, jakimśy w Polsce kiedykolwiek mieli. Po latach, w wywiadzie udzielonym Adamowi Galisowi, mając na myśli bunt młodych sprzed pierwszej wojny swia-

2. Akta dotyczące służby wojskowej i odznaczeń Karola Zawodzińskiego zechciała mi udostępnić dyrekcja Centralnego Archiwum Wojskowego w Rembertowie.

towej. Zawodziński wyzna: „Przegląd Warszawski można określić jako pismo, które stanowiło wyraz tych tendencji reakcji młodopolskiej jako reakcji o charakterze klasycystycznym. Pokrywała się najlepiej z treścią ideową mojego pokolenia już w ostatnich latach przedwojennych”.

Po wyjściu z wojska żył więc Zawodziński z pióra. Ciężki to kawałek chleba. Jeden z lepszych ówczesnych naszych krytyków literackich, Leon Piwiński, gdy dla upragnionego zawodu porzucił świetnie płatną posadę – wyprzedawał swą cenną, uprzednio zgromadzoną bibliotekę, nie mogąc wyżyć z samego wierszowego (bo posiadał sztukę wypowiadania się z wspaniałą zwięzłością). Chcieli więc koledzy-przyjaciele urządzić jakoś Zawodzińskiego: Wacław Lednicki dopiął, że go wyprawiono do Brukseli, gdzie w uniwersytecie rząd Polski ufundował był katedrę w departamencie sławistyki. Nasz krytyk miał tu wszystko: i warunki finansowe świetne, i w pięknej dzielnicy Ixelles wyśmienite tereny jezdzieckie. Ledwo wytrzymał rok akademicki 1933/34. Ogłosił dwa tematy wykładów: „Literaturę polską ostatniego ćwierćwiecza” oraz „Teorię wersyfikacji rosyjskiej”. Nie spotkały się one z zainteresowaniem słuchaczy, profesor zaś uznał, że popularyzacja kultury (z tendencją do propagandy) nie jest odpowiadającym jego umiejętnościom zadaniem. W archiwum uniwersyteckim ślady bytności Zawodzińskiego są nikłe. Czym ta katedra być mogła i czym się rzeczywiście stała – dowiódł jego następca, o pokolenie młodszy Flamand – Claude Backvis! Stosunki osobiste Zawodzińskiego z Backvisem pozostały dobre, latami byli w przyjaznej korespondencji.

Mawiał o sobie Zawodziński: Jestem dość ubogi i mało znaczący, abym nie musiał znosić w swoim gronie ludzi nieciekawych lub wręcz nudnych dlatego tylko, że mają tak zwane wysokie stanowisko. Otóż to! Poprzestawał w Warszawie (o ile nie liczyć włóczędzy czasem po knajpach, gdy się spotkali z Wieniawą) na małych prywatnych spotkaniach literackich. Ustalił się zwyczaj niedzielnych podwieczorków w następujących domach: u Borowych, u Patkowskich, u Konradostwa Górskich, u sióstr Lubeckich (z których Wanda była podwładną Borowego w Bibliotece UW), u Anieli Zagórskiej, no i oczywiście u samego Zawodzińskiego. Tutaj – panią domu zastępowały matka i siostry gospodarza, a także jego siostry

cioteczne: Lidia Bobrowa oraz Eugenia Stołyhwo. (Żona rotmistrza Zawodzińskiego, Bronisława z domu Frochtman, z którą się pobrał 18 V 1937 r. w Starogardzie wedle przepisów kodeksu cywilnego, wobec świadków, jakimi byli major Tadeusz Sorga z 2. Pułku Szwoleżerów i rotmistrz tegoż pułku, Konstanty Smolikowski – w życiu towarzyskim swego męża roli nie odgrywała).

Do ściślejszego grona, które się u państwa Zawodzińskich spotykało, należeli (prócz Borowego, oczywiście) jeszcze dwaj koledzy uniwersyteccy K.W.Z. – wspomniany już Stefan Sasaki oraz filolog klasyczny (poznany w Petersburgu) Julian Brona, w Polsce okresu międzywojennego pracujący na wyższych stanowiskach w szkolnictwie średnim; spomiędzy historyków literatury (i członków KLiN-u) Leon Płoszewski, Rafał Blüth oraz wszechstronny samouk Leon Piwiński; z poetów o zainteresowaniach historyczno-literackich Leonard Podhorski-Okołów, czasami też Julian Tuwim; osobne miejsce należy się tu filozofowi z wykształcenia i literatowi z ducha – Henrykowi Elzenbergowi, a także uczonemu, który lubił być ozdobą salonów – Wacławowi Lednickiemu. Do dziś owe gościnne podwieczorki wspomina Irena Jurgielewiczowa.

Skutki nadciągającej wojny roku 1939 Karol Zawodziński przewidywał z bystrością ogromną i to nie tylko jako wojskowy, który się orientował w stanie naszej armii. Czuwał w pogotowiu. Letnie wakacje spędzał w Kozienicach. Z rozkoszą ujeżdżał konie należące do państwowej stadniny, zarządzanej przez brata generała Fabrycego. Gdy nadeszła wrześniowa katastrofa – zatroszczył się najpierw o los własnej stadniny. W cytowanej już autobiografii tak to ujmuje: „Starając się usunąć ją od zbliżających się niebezpieczeństw wojennych, a należąc sam do kategorii nie powołanych z powrotem do służby emerytów, ewakuowałem się wraz z tamtejszą Stadniną Państwową na wschód. Po licznych przygodach, wśród których zgubiłem żonę z dziećmi i zaciągnąłem się do oddziałów tworzących się na Wołyniu, a podążających na odsiecz Warszawie, po ich wiadomym końcu, który – jeśli mnie dotyczy – nastąpił w okolicach Lublina, w ostatnich dniach września znalazłem się z powrotem w Kozienicach, gdzie odnalazłem rodzinę, cudem ocalałą z nieprawdopodobnych przeżyć”.

Mieszkanie swoje w Warszawie, dokąd się udał końcem października, zastał przez Niemców zarekwirowane. Jakoś udało mu się, jak powiada, „wycygnąć” resztkę rodzinnych mebli, a co ważniejsze – także bibliotekę.

Zamieszkał na Zalesiu pod Piasecznem. Przyznaje, że przeżył okres załamania, uniemożliwiający mu „jakąkolwiek systematyczną pracę”. Z wdzięcznością pisze, że dopiero początkiem 1942 r., kiedy to doznał „bardzo wiele dobroci ludzkiej oraz pomocy ze strony kolegów-literatów i organizacji tajnie opiekujących się pracownikami kultury, warunki (...) unormowały się o tyle, że mogłem usystematyzować lekturę, skupić ją zwłaszcza na Kraszewskim, oraz zacząć pisać otrzymawszy wraz z zaliczkami pierwsze zamówienia firm wydawniczych”.

W 1945 r. wchłonął go wir współpracy z czasopismami literackimi; niezbyt go nawet początkowo przejmowały ich odcienie polityczne. Do Uniwersytetu Toruńskiego wprowadził go organizujący tu humanistykę Konrad Górski. Już na rok akademicki 1946/47 został Zawodziński wezwany na zastępcę profesora literatur słowiańskich. Jego nominacja na profesora nadzwyczajnego nosi datę 25 III 1948.

Dziekan Górski sformował zespół doskonały. Profesorami byli tu m.in. Eugeniusz Kucharski i Tadeusz Makowiecki; starszymi asystentami – Irena Sławińska oraz Czesław Zgorzelski (wierny pamięci Zawodzińskiego po kres swoich dni). Gdy i Zawodziński uzyskał profesurę – jego starszą asystentką-wolontariuszką została Janina Budkowska.

W okresie swej służby uniwersyteckiej, zobowiązany do ośmiu godzin tygodniowo zajęć dydaktycznych – Zawodziński nie oszczędzał się, nie powtarzał kursów. Rozległość materiału niech tu zobrazuje krótki przegląd:

– Rok akademicki 1946/47: Historia literatury rosyjskiej XIX w.; historia literatury czeskiej nowszej; seminarium literatur słowiańskich.

– Rok akademicki 1947/48: Poezja rosyjska od Puszkina; geneza, charakter i szczyty realizmu powieściowego w Rosji; proseminarium z historii literatury rosyjskiej (powieść) oraz seminarium z teorii poezji (wersyfikacja staropolska).

– Rok akademicki 1948/49: Historia literatury rosyjskiej nowożytnej w XVIII w. (kurs systematyczny); powieść

rosyjska w epoce rozkwitu; wersyfikacja polska (poezja nowożytna); ćwiczenia z poezji rosyjskiej po Puszkinie.

– Rok akademicki 1949/50: (przerwany zgonem profesora): Historia nowożytnej literatury rosyjskiej (kurs systematyczny) od klasycyzmu do romantyzmu; poezja rosyjska końca XIX w. i na początku XX w.; seminarium z historii literatury rosyjskiej; seminarium z literatur słowiańskich.

Osobliwością zajęć prowadzonych przez Zawodzińskiego było, że tylko niektóre z nich odbywały się w godzinach przedpołudniowych. Profesor wyznaczał ich terminy zwykle na późne popołudnia czy nawet wieczory (między 7.00 a 9.00) – i wówczas u siebie w domu. Własna jego biblioteka, jak wiemy ze wspomnień Czesława Zgorzelskiego, zupełnie wystarczała mu do pracy; z seminaryjnej korzystał dorywczo.

Tym sposobem oszczędzał nasz krytyk czas nocny i przedpołudniowy na zatrudnienia pisarskie. Sypiał słynnie mało, po kilka zaledwie godzin na dobę, czasem nie rozbierając się. Jest to pomocne przy rozwiązywaniu zagadki, jak zdązał ze swoją rozrzutnością i naukową, i publicystyczną. Jego bibliografia za lata 1945-1949 liczy dwieście kilkanaście pozycji. Do tego dochodzi kilka prac drukowanych pośmiertnie i kilkanaście drobniaków nieogłoszonych czy nieukończonych. Wśród pośmiertnych właśnie jest dzieło życia: „Metryka szczegółowa”.

Borowy – sam niedomagający, lekarzom jednak posłuszny – nie na żarty niepokoił się trybem życia Zawodzińskiego. Wymowne są wzmianki na ten temat w lakonicznych zapiskach, jakie Borowy prowadził co dnia (rękopis tych dzienników jest dziś w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego). Początkiem grudnia dowiaduje się Borowy (8 XII 1949) pocztą, że Karol przechodzi ciężkie zapalenie mózgu. Po trzech dniach nadchodzi kartka od Makowieckiego, że chory „dogorywa”. Depesza o śmierci przyszła od Konrada Górskiego, adresowana do rektora Antoniewicza z adnotacją, by państwu Borowym przekazać ją „ostrożnie”. W dniu 16 XII 1949 r. Borowy odnotowuje swój wyjazd do Torunia „po prawie bezsennej nocy”. Nazajutrz – wpis Borowego – do granic możliwości opanowany: „Straszne okoliczności śmierci Karola poznaję. Nabożeństwo w kościele NMPanny. Przyjechali Saski z Poznania, Zgorzelski z Wrocławia. (...)”

Pogrzeb z kostnicy szpitalnej na cmentarz św. Jerzego. Spotykam Karola Górskiego, Elzenberga, S. Srebrnego. Poznaję Koranyiego. Herbata u Makowieckich. Poznaje niewesołe stosunki uniwersyteckie w Toruniu". W dniach tych mieszkał Borowy u państwa Konradostwa Górskich.

Niedługo przed swą śmiercią, niejako w testamentie, przekazał był Zawodziński Borowemu swe ostatnie literackie życzenie, dołączając odpowiednią dokumentację: Prosił, ażeby któreś wydawnictwo wznowiło pracę Bohdana Dyakowskiego o koniu-przyjacielu człowieka, książkę – jak uważał – na miarę piśmiennictwa światowego. Borowy – sam już *mori-bundus* – zlecenia wypełnić nie zdążył.

Szedł zły czas. Pogłos tamtych lat godny i spokojny rozlega się wyraźnie z pamiętników Konrada Górskiego, Ireny Sławińskiej, Czesława Zgorzelskiego. Rozgromienie humanistyki toruńskiej – piórem historyka – opisuje Jerzy Starnawski. Dokumenty z rzeczowym komentarzem ogłosił Andrzej Tomczak. Konrad Górski – bez prawa wykładania, Zgorzelski przepędzony do Ossolineum, Sławińska zatrudniona przez Żółkiewskiego jako pomocniczy pracownik w Instytucie Badań Literackich, w bibliotece, sam zaś wydawca tych źródeł – przegnany do archiwistyki w Łodzi... Nikt z nich się nie poddał, nie zarzucił robót własnych naukowych; gdy nastąpiła pora otwarcia swych szuflad – ich szuflady okazały się rękopisów pełne.

Z emigracji, w londyńskich *Wiadomościach* Rotmistrza-Profesora zegnał Wacław Lednicki jakżesz prawdziwymi słowami:

„Zawodzińskiego nigdy żadne ‘koniunktury’ przerobić nie mogły, Zawodziński nigdy swego sumienia naukowego nie zdradził. W tym tkwiło szczególniejsze jego znaczenie, zwłaszcza w chwili obecnej. Patrząc z daleka – miało się wrażenie, że Zawodziński był wielkoludem wśród karłów, Guliwerem wśród lilipucich rusycystów stalinowskiej kreacji, redukujących rusycystykę do idolatrii...”

Wspomnienie to jest datowane z Kalifornii, 31 marca 1950.

Wacław Borowy w tym samym czasie starannie przepartywał sporą część swego archiwum, odnoszącą się do

najbliższego przyjaciela. Sądząc po karteczkach z tytułami podrzdziałów – sposobił się nie do zwykłego szkicu, lecz do zakrojonego na sporą miarę literackiego portretu. W gatunku tym Borowy celował jak może nikt (poza Mieczysławem Brahmerem?) z jego w przybliżeniu rówieśników. Niestety! Piliły inne zobowiązania, portret nie powstał. Jego rekonstrukcja nie wydaje się możliwa. Skończyło się na odczycie wspomnieniowym na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego Warszawskiego.

Hasła wywoławcze, owe niezliczone bibliograficznego formatu kartki, dadzą się mniej więcej uporządkować w tok, jaki przybrał referat:

O wszechstronności miłej Zawodzińskiego – już w latach szkolnych. O jego zdumiewającej bystrości sądów – często surowych. O zbyt małym zaciekawieniu – jak na badacza weryfikacji – ogólną teorią literatury, której przecie (nawet jej nie znając) i tak nie unikniemy, zawsze w nią w końcu jakoś wpadamy. Tu pobłażliwa dygresja, że ten tak bardzo z przyrodzenia pracuś miał też talent do rozkosznego bałamucenia czasu. Że koniarz? – Niechaj będzie! (o tych upodobaniach więcej sobie mieli do powiedzenia z jego, Borowego, nieżyjącą już matką). Ale do tego i karciarz! Co zaś najokropniejsze: Kobieciarcz!

Będzie wszakże rozgrzeszony, gdyż poezję kochał, znał się na niej i poszukiwał jej nade wszystko. Toteż kończyła się prelekcja cytatem o poezji właśnie, cytatem z poety rosyjskiego (Gumilowa), cytatem-aluzją do tych umiłowań, strofą o wierszach –

*By je na wół przytomnie mówił zakochany,
By idąc na śmierć – miał je na ustach skazany
I by przebiegły same, dźwięki stłumionemi
Wszystkie lądy i morza roz tęsknionej ziemi.*

Andrzej BIERNACKI

Pochwała pracowitości i umiłowania

Roman wcale nie wygląda na towarzysza chorągwi pancерnej, ani na zagończyka, już prędzej na profesora, jego bowiem osobista kultura, delikatność, a nawet swego rodzaju „staromodność” to nie są cechy bojownika i wędrowcy zapamiętałego. I na pierwszy rzut oka nie wygląda na autora ogromnego dzieła. Jest bowiem Roman Aftanazy typowym przykładem autora *unius libri*, skoro całe życie poświęcił na gromadzenie tych materiałów, które ukazały się w monumentalnej dwunastotomowej edycji noszącej tytuł „Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej”.

Zanim jednak przejdę do dziejów powstania i wydania tej serii, kilka słów o autorze. Urodził się w przeddzień I wojny światowej, 4 kwietnia 1914 r. w Morszynie-Zdroju, ale wkrótce związał się ze Lwowem. Naukę w gimnazjum klasycznym (z łaciną i greką – co powtarza dumnie) ukończył w 1933 r. W jakiś czas potem rozpoczął studia na Uniwersytecie imienia Jana Kazimierza, w zakresie historii, a dziś powiedzielibyśmy raczej – historii kultury. Uczestniczył w seminarium prof. Stanisława Łempickiego, ale już w czasie studiów zetknął się z historią sztuki, uczęszczając na wykłady prof. Gębarowicza.

Potem nastąpiła II wojna światowa i podwójna okupacja Lwowa, ale Aftanazy kontynuował studia tajne w tej mierze na jaką pozwalały okoliczności, pracował bowiem także fizycznie, tak więc ostatecznie dyplom uzyskał w 1946 r. we Wrocławiu. Przedtem jednak związał się już – dzięki Gębarowiczowi – z Zakładem Narodowym im. Ossolińskich, w którym zaczął pracować w początkach 1944 r. Późną wiosną 1946 opuścił Lwów, biorąc udział w skomplikowanym zadaniu przewiezienia części Ossolineum do Wrocławia, będąc członkiem delegacji, której przewodniczył prof. Aleksander Gieysztor. Zdążył posmakować też władzy sowieckiej, został bowiem 5 stycznia 1945 r. zaarrestowany przez NKWD pod zarzutem „próby oderwania Lwowa od Związku Sowieckiego

i przyłączenia do Polski”. Na szczęście upomnieli się o niego prof. Gębarowicz i dr Wacław Olszewicz, a poparcie znaleźli u ówczesnego dyrektora Ossolineum, towarzysza Gnypa.

Po osiedleniu się we Wrocławiu początkowo znalazł zatrudnienie w Bibliotece Uniwersyteckiej, a w 1948 r. powrócił do Ossolineum i już do przejścia na emeryturę pozostawał tam, pełniąc funkcję kustosa dyplomowanego, kierownika Działu Gromadzenia Zbiorów. Obecnie i to od wielu lat zamieszkuje jedną z chicagowsko-wrocławskich „kukurydz” przy placu Grunwaldzkim i z jego okien rozpościera się rozległy widok na panoramę starego, już niemal w całości odbudowanego miasta, z górującymi nad nim wieżami kościołów gotyckich i barokowych, wieżę gotycko-renesansowego ratusza i sylwetki potężnych brył Uniwersytetu i Ossolinum. Ale parokrotnie Roman, gdy przez okno wyglądałem, zapytywał mnie, jak ja widzę Wrocław i czy mi się on podoba, a gdy przebąkiwałem o wielkich wartościach tego wspaniałego, a tak fatalnie potraktowanego przez wojnę i przez okres powojenny zespołu urbanistycznego, kiwał bez przekonania głową i ostatecznie oświadczał, że jego bowiem dusza mimo wszystko zamieszkuje nadal to inne miasto, położone u stóp Wysokiego Zamku.

Ale skąd u Aftanazego ta fascynacja dawnym dziedzictwem polskim (i to w dwojakim sensie tego terminu) na rozległych obszarach dawnej Rzeczypospolitej wielu narodów? Wyjaśnił to sam, w obszernym liście do prof. Stanisława Mossakowskiego, wieloletniego dyrektora Instytutu Sztuki PAN, który fragmenty cytuje w tomie I nowej edycji „Rezydencji”. Okazuje się, że już jako licealista trafił do dworów kresowych, poleskich i miał to szczęście, że zetknął się tam z ludźmi wykształconymi i kulturalnymi. Fascynacja dworami polskimi jako zjawiskiem nie tylko architektonicznym, ale przede wszystkim kulturowym, zaczęła się od wizyty (często później ponawianej) w majątku państwa Ordów. Oddajmy głos Romanowi: „Atmosfera tego starego, stylowego dworu w Nowoszycach była niezwykła, gdyż łączyła w sobie harmonijnie wszystkie pozytywne cechy ziemiańskie z intelektualnymi. Pani domu, Maria Ordzina, wdowa po Karolu, była bowiem córką znakomitego historyka, profesora i rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Stanisława Smolki, wnuczką znanego

działacza galicyjskiego, Franciszka Smolki, a po matce wnuczką Józefa Kremiera, filozofa i historyka sztuki. Już w czasie pierwszej bytności, oczarowany atmosferą jak z powieści Weysenhoffa, Orzeszkowej czy Rodziewiczówny, potraktowany zostałem jako domownik i zaproszony na stałe. Część wakacji spędzałem więc w Nowoszybach każdego roku aż do sierpnia 1939. Istniała tam bardzo bogata biblioteka, do której Jerzy Orda (Jur), jeden z trzech synów pani domu, dziś nieomal już legendarny historyk kultury i archiwista wileński, nadsyłał wszelkie zasługujące na uwagę nowości z zakresu historii i pamiętnikarstwa. (...) W pobliżu Nowoszych znajdował się Mołodów z pięknym klasycystycznym pałacem, wypełnionym starymi meblami, dziełami sztuki i pamiątkami rodzinnymi. Mołodów był własnością pana Konstantego Skirmuntta, ambasadora Polski w Wielkiej Brytanii, jego brata Henryka i dwóch sióstr. Tam także bardzo często bywałem. W znacznie dalszym sąsiedztwie mieszkała autorka najliczniejszych powieści 'kresowych' – Maria Rodziewiczówna. Bardzo ciekawą osobistością był pan Henryk Skirmuntt, znawca dziejów wszystkich dworów okolicznych i Polesia. Z rozmów z nim bardzo wiele skorzystałem. (...) Nowoszyce i Mołodów wywarły więc na mnie wrażenie szczególne. Oczarowany atmosferą obu dworów, w miarę dorastania, zacząłem sobie coraz wyraźniej zdawać sprawę z tego, że światu temu grozi zagłada. Atmosfera każdego ze znanych mi dworów, wszędzie nieco różna, o cechach indywidualnych, nie mogła być zatrzymana w jakiejś postaci materialnej. Zacząłem więc próby dokumentacji zabytków."

Już przed wybuchem drugiej wojny światowej Aftanazy zaczął odwiedzać rozmaite kresowe rezydencje, fotografować je, a następnie publikować noty o nich w rozmaitych czasopiśmie. Później, gdy przewalił się koszmar wszystkich okupacji, gdy Roman osiadł w gościnnym Wrocławiu, powróciła ze wzmoczoną siłą potrzeba ocalenia tego wszystkiego, co jeszcze ocalić się dało, restytucji pamięci i utrwalenia jej. Roman twierdzi, że w ciągu lat kilkudziesięciu wysyłał dziennie po kilka listów i zdobywał informacje o miejscach pobytu i adresach ludzi, którzy z tamtych dworów i rezydencji wyszli i być może dysponowali jakimiś materiałami: zdjęciami, dokumentami, a przede wszystkim własną pamięcią miejsc i

wydarzeń. I w ten sposób krok po kroku narastał, na którymś tam piętrze chicagowsko-wrocławskiego kaczana kukurydzianego, w zacisznym mieszkaniu pełnym pięknych rzeczy (autor zbierał ceramikę, zwłaszcza wyroby z Baranówki) i cennych ksiąg, narastać zaczęła dokumentacja: specjalna szafa zapewniała się zdobywanymi fotografiami, rysunkami, notatkami. Jeszcze nie śniło się o publikacji, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem te zbiory i nie trzeba mnie było przekonywać o konieczności opublikowania ich zawartości. I później przekonywałem (ale właściwie nie musiałem – znali się już wcześniej i też nie było potrzeba niczego uzasadniać), aby mój przyjaciel prof. Andrzej Ciechanowiecki z Londynu potrząsnął kiesą na wydanie ksiąg. Adi potrząsnął i w ten sposób powstała *editio princeps*. Druga osoba, która przyczyniła się waleń do publikacji to profesor Stanisław Mossakowski, podówczas dyrektor Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

Tu kilka objaśnień: to pierwsze wydanie ukazało się jako publikacja wykonana w technice „małej poligrafii”, czyli powielanej formie, w bardzo małym nakładzie (początkowo 500, a później „aż” 1000 egzemplarzy). A stało się tak w obawie przed nadgorliwością cenzorską, bowiem niskie nakłady powielane i niesprzedawne nie podlegały „opiece” cenzorskiej. (Przypomina się przedwojenna fraszka: „Tak gryzł długo prasę cenzor, aż się w własny ugryzł jęzor”). Z tego samego względu seria otrzymała nieco rozmijający się z rzeczywistością tytuł: „Materiały do dziejów rezydencji”, chodziło bowiem o odsunięcie zarzutu, że autor ponownie „chce oderwać część ziem od Związku Sowieckiego i przyłączyć do Polski”; „Kresy” były bowiem na socjalistycznym indeksie.

Redaktorem tego pierwszego wydania był Andrzej Baranowski, którego – dla odróżnienia od wielu innych nazwisków – nazywaliśmy Baranauskasem, ze względu na jego pochodzenie z Litwy. Bardzo ułatwił on Romanowi porządkowanie materiałów, co przecież wcale nie było łatwe. Ta pierwsza edycja zyskała bardzo pochlebne recenzje i stała się swego rodzaju bibliofilskim „białym krukiem”, gdyż jako niesprzedawna tym bardziej była poszukiwana przez fachowców i kolekcjonerów.

Po zmianach z 1989 r. otworzyła się jednak możliwość opublikowania całości raz jeszcze w odpowiednim nakładzie i odpowiedniej szacie graficznej. Inicjatywę tę podjęło Wy-

dawnictwo Narodowego Zakładu im. Ossolińskich we Wrocławiu, w związku z czym Aftanazy dokonał szeregu poprawek i uzupełnień. Te ostatnie doskonale ukazują jedenasty tom edycji, bardzo opasły, obejmujący bowiem rezydencje z dawnego województwa kijowskiego – strony 11-390, miejscowości położone poza granicami przedrozbiorowej Rzeczypospolitej – ss. 391-403 oraz uzupełnienia do poprzednio wydanych już tomów, zamieszczone na stronach: 405-728.

W sumie powstało dzieło monumentalne, złożone z wielu okazałych tomów, obejmujące opisy prawie 1.500 rezydencji i zawierające ponad 5.000 ilustracji. Było wiele osób i instytucji, które się do jego powstania przyczyniły, opiera się ono bowiem w przeważającej mierze na materiałach i fotografiach dostarczanych przez dawnych właścicieli czy ich potomstwo. Roman wyznaje w posłowie do 11 tomu: „Kończąc ostatni tom 'Dziejów rezydencji' pragnę raz jeszcze podkreślić, że dzieło to powstało głównie dzięki informacjom moich respondentów, a przede wszystkim ostatnim właścicielom opisanych obiektów czy też członkom ich rodzin, niestety w przytłaczającej większości już nieżyjącym. Z nimi, rozszanymi niemal po całym świecie, wymieniłem kilkadziesiąt tysięcy listów.”

Zawsze myślałem, a nawet zapodawałem to do wierzenia studentom, że w naszym stuleciu, dokładniej w jego początkach, zakończyła się generacja wielkich polihistorów, którzy wytrwałą pracą całego życia położyli fundamenty pod naszą dzisiejszą wiedzę, a więc epoka Lindego, Kolberga i Glogera, autorów „Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego...”, „Słownika języka polskiego”, zwanego „warszawskim” i Aleksandra Brücknera oraz im podobnych uczonych. Okazało się jednak, że nie skończyła, a temu Roman Aftanazy zaprzecza swym ogromnym dorobkiem, ową „jedyną książką” złożoną z tak wielu tomów i tak wielu informacji. I dlatego śmiem Romana wciągnąć na listę owych zasłużonych dla dziejów ojczystych prywatne instytucje, takie jak stał się Roman Aftanazy, zwłaszcza, że to jego dzieło nie jest prostą, rzemieślniczą rzeczą można inwentaryzacyjną (którą sam się latami parałem), ale propozycją dostrzeżenia zjawiska w całej jego bogatej otoczce kulturowej. „Dzieje rezydencji” to jest bowiem opowieść o budynkach, ale także o ludziach, którzy w nich mieszkali, o tym

świecie, który wprawdzie materialnie zaginał, ale który trwa poprzez pamięć, poprzez narodową samoświadomość.

I tu dochodzimy do sprawy podstawowej: czy jest to dzieło „rewanżystowskie” (jeden z tych słownicznych potworków pozostawionych nam w spadku przez reżimy zbudowane na ideologicznym zaczynie), a więc takie, które chciałyby stworzyć mit polskiej wszechobecności na ogromnych obszarach, gdyż wchodziły w skład Rzeczypospolitej Wielu Narodów? Posłużę się jeszcze jednym cytatem z „Posłowia”, którym Aftanazy zamknął XI tom swej pracy.

„W rozmowach prywatnych i wywiadach prasowych pod moim adresem padało często pytanie, czy książki moje wobec sąsiadów Polski nie mają charakteru rewindykacyjnego. Zapewniam, że intencje podobne są mi zupełnie obce. Wielowiekowa obecność polskiej warstwy szlacheckiej i magnackiej na ziemiach Rzeczypospolitej, zwanych potocznie 'kresami', jest faktem niezaprzeczalnym, ale też zamkniętą kartą historii. Miałbym natomiast dużą satysfakcję, gdyby opisane w mej pracy zabytki kultury materialnej wszystkie narody, na terenach których one się znajdują, uznać zechciały za nasze dziedzictwo wspólne, powstały one przecież w dużej mierze dzięki rodom miejscowym, mimo że z czasem w różnym stopniu spolonizowanym, jak Chodkiewiczowie, Czetwertyńscy, Radziwiłłowie, Sapiehowie, Wiśniowieccy i wiele innych. Niektóre z nich, jak np. Szeptyccy, aż do drugiej wojny światowej zachowały swe więzi z tradycjami przodków. Cieszy mnie, że w podobny sposób na naszą wspólną przeszłość zaczynają patrzeć także niektórzy historycy sztuki i kultury zza wschodniej miedzy. Oby w ich ślady poszli również inni, a przede wszystkim politycy.”

A ja już wyłącznie od siebie dodam, że z Romanem całkowicie się zgadzam, że uważam naszą wschodnią granicę nie za żelazną kurtynę, ale za pewien układ polityczny o charakterze porządkującym, a nie rozdzielającym. A co do autora tego dzieła wielkiego i ważnego to stwierdzam, że moja z nim przyjaźń jest dla mnie czymś szacownym i że się nią chlubię, bowiem nic piękniejszego nie ma poza wypełnieniem tego obowiązku, który się samemu dla siebie i dla następnych pokoleń wybrało.

Tadeusz CHRZANOWSKI

Między wierszami (2)

W czasie tegorocznych Międzynarodowych Targów Książki w Lipsku uczestniczyłem w wieczorze autorskim Tadeusza Różewicza, zorganizowanym w Instytucie Polskim. Milczący tłum wypełniający salkę – zbyt małą, by pomieścić wszystkich chętnych – zamilkł jeszcze donośniej w trakcie czytania przez poetę dedykowanego Czesławowi Miłoszowi wiersza „poeta emeritus”: „siada na ławce/ zdejmuje okulary/ zamyka oczy// przeciera okulary/ otwiera gazetę rozgląda się po świecie/ składa gazetę wstaje// traci równowagę/ podpira się laską/ czyta napisy/ na oparciu ławki// idzie mówi do siebie// rozmawia z umarłymi/ poetami// podchodzą do niego/ dwie kobiety/ pytają czy czyta biblię/ czy wierzy w piekło/ koniec świata raj na ziemi// uśmiecha się kiwa głową/ na stare lata woli/ rozmawiać z ludźmi/ którzy milczą// odchodzi/ siada na ławce/ patrzy na chmury”. Sala milczy w skupieniu wpatrzona w usta poety i wtedy następuje pointa, po której milczenie publiczności jeszcze się potęguje i trwa długą chwilę jako wygłos wiersza: „wtedy przylatuje/ kruk/ przeciąga czarnym piórem/ po jego ustach/ zamyka je/ i odlatuje”.

Wieczór Różewicza zorganizowany został z okazji opublikowania jego najnowszego, dwujęzycznego tomu „Niepokój – Formen der Unruhe” (Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 2000, tłumaczenie Karla Dedeciusa). Już sam wybór tytułu tego zbioru wydaje się znaczący – stanowi nawiązanie do pierwszej powojennej książki autora „Ech leśnych” i określa, jak się zdaje, jego stosunek do sytuacji obecnej. Ta poezja, zawsze ściśle związana z rytmem przemian współczesności, była i jest swego rodzaju, jak chce Miłosz, „barometrem” określającym ciśnienie atmosfery życia społecznego. Bohater Różewicza, ów „szary człowiek z wyobraźnią/ małą kamienną i nieubłaganą” raz jeszcze próbuje rozpoznać kontury zmieniającego się wokół niego świata. Przyjęta tu „prowincjonalna” perspektywa – zawsze określająca kondycję Różewiczowskiego obser-

watora – jest zarazem perspektywą poddawanego tektonicznym ruchom czasu jedermanna. Jego „niepokój” wypełnia przestrzeń ludzkiej egzystencji, jest wyrazem zagubienia i lęku w chaosie współczesności: powtórzenie debiutanckiego tytułu to wyrazista diagnoza tego czasu, tyle, że rozciągnięta na cały okres powojenny. A zarazem jest to przecież poezja uparcie poszukująca, jak w wierszu „czego byłoby żal” zamykającym ten wybór: „bo to co boskie/ między ludzkimi istotami/ ciągle poszukuje/ swojego wyrazu”. Ta deklaracja – stanowiąca istotne dopełnienie wszelkich wypowiedzi programowych – każe też na nowo odczytywać słynny dystych z wiersza „bez”, w którym czytamy, że „życie bez boga jest możliwe/ życie bez boga jest niemożliwe”. Znowu zatem podsuwa Różewicz nową reinterpretację swej liryki, znowu niepokoi czytelnika, poszukuje sam siebie we własnej poezji.

We własnej poezji odnalazł się – a może zagubił? – zmarły w 1994 roku rówieśnik Różewicza, poeta niemal nieznan, a przecież obdarzony wyrazistością głosu i siłą wyobraźni. Pośmiertnie wydany tom „Podróż do krajów legendarnych” Bogumiła Andrzejewskiego (Oficyna Wyd. Agawa, Warszawa 2000) w pełni potwierdza ocenę Miłosza o pisarzu, co „wyrobił swój własny styl, który trudno umieścić wśród kierunków i szkół poezji polskiej”. W zakończeniu wprowadzenia raz jeszcze podkreślona została odrębność Andrzejewskiego: „Nie był niczym epigonem. Wniósł coś bardzo swoistego i niezależnego, może właśnie dlatego, że nie chciał być literatem zawodowym”. Był jednak językoznawcą, współtwórcą pisowni języka somalijskiego, filologiem, który wie, że, jak pisał Mandelsztam, „Europa bez filologii nie jest nawet Ameryką. Jest ucywilizowaną Saharą, przeklętą przez Boga. Jest nikczemną pustką”. W „Moim albumie z lat 1939-1969” opíše więc poeta swe doświadczenie po wyjściu z wojennego chaosu: „Odurzony wonią wczesnych wieków średnich, która bije wokół/ Ze słowników i ksiąg, chodzę uśmiechnięty jak gaudeamus/ Po filologicznym ogrójkcu. (...)/ Jestem na intensywnej diecie/ Słownikowej i tekstowej. Zlizuję jak pszczołek-wesołek/ Poetyczny miód z angielskich i staroislandzkich wierszy./ Włóczę się po wykładach, biorę kąpiele w żywym słowie”.

Świat, który się z tej kąpieli wynurza, jest światem innym

niz świat Różewicza i niemal całej polskiej poezji powojennej. To przestrzeń szerokiej frazy, pełnego oddechu, bezinteresownej radości poznawania. Przy czym dostrzega Andrzejewski, że był świadkiem „przerazającego początku Epoki Wielkich Łęków”, lecz łękom tym potrafi przeciwstawić siłę poetyckiej kreacji. Pozostając w obszarze krajowej i europejskiej historii potrafi jednocześnie wobec nich się zdystansować. Dystansuje się też wobec dominujących postaw, gdy w „biograficznym” poemacie („Urywki z własnego życiorysu...”) już na wstępie polemizuje: „Czasem ogarnia mnie wściekłość./ Gdy słucham, jak pseudointelektualiści/ Na Wschodzie i na Zachodzie/ Wygadują na drobnomieszczaństwo”. I może to nie przypadek, że słowa te rymują się z pisanymi niemal jednocześnie słowami wiersza Zagajewskiego: „Jestem chyba zwykłym mieszczańskim/ obrońcą praw jednostki”. Do tego „mieszczańskiego” porządku należy nade wszystko poczucie ładu – to ono właśnie organizuje świat Andrzejewskiego, który utwór wprowadzający do poematu „Zaproszenie na wystawę obrazów” zaczyna wyznaczeniem punktu orientacyjnego: „Nasz mleczarz jest symbolem stabilizacji:/ Jego codzienna działalność potwierdza/ Poczucie porządku we wszechświecie”.

W obszar poezji wprowadza Andrzejewski żywioł prozy. Rytmizując swe opowieści relacjonuje swe życie i stwarza światy równoległe, odnajduje się wśród słów i rzeczy, wciąż na nowo zmierza do ustalenia wiążących je relacji, jak choćby w świetnym – najlepiej też chyba oddającym poczucie humoru tego poety – „Kongresie onomastów”: „W ten dzień zjazdu onomastów rzeczowniki pospolite/ Czuły się niepewnie na ulicach i bez względu na to,/ Czy były twardo czy miękkotematowe,/ Schodziły z drogi i ustępowały nawet zupełnie błahym/ Rzeczownikom własnym męskim, żeńskim i nijakim”. Tak tu, jak w innych utworach Andrzejewskiego ujawnia się radość gry, radość uczestnictwa, otwarcie na świat i innych, na te „legendarne kraje”, które wszak nieustannie przenikają w naszą codzienność.

Radość pisania odnajdziemy też w najnowszym tomie Zbigniewa Macheja „Kraina wiecznych zer” (Biuro Literackie Fort Legnica, Legnica 2000), poety o uznanym już dorobku, który tym razem postanowił oddać się temu, co w polskiej poezji należy do zjawisk marginalnych, a co Barańczak zna-

komicie opisał w swym wstępie do książki „Pegaz zdębiał”: „W naszej rodzimej tradycji nonsens jest zjawiskiem dość rzadkim i wstydlivym – witany jest zwykle podniesieniem brwi albo i wzruszeniem ramionami. Od poety oczekujemy, żeby był poważny. Nonsensami niech się zajmują ‘satyrycy’ (...) Jeśli poeta nas szczerze śmieszy, zamiast zbudować mu pomnik na Krakowskim Przedmieściu (...) nazywamy go ‘satyrykiem’ albo w najlepszym wypadku humorystą i wciskamy do szufladki ‘Poezja II kategorii’”. Ta diagnoza cały czas zachowuje swą moc. Tymczasem może warto się zastanowić nad zasadnością wprowadzenia do arcy-polskiego modelu kultury walki elementów modelu kultury gry, zabawy, bezinteresownego „bawienia zębów trzonowych” przez poetycki język.

Temu właśnie poświęca swe wiersze Machej. Jego gry i zabawy – nie bez wpływu podobnych igraszek w poezji naszych południowych sąsiadów, ale także i nie bez odniesień do „purnonsensownej” poezji anglojęzycznej w przekładach Barańczaka – otwierają w polskiej liryce nowe przestrzenie, co byłoby niemożliwe bez zademonstrowania przez autora formalnej maestrii, jak choćby w wierszu „Fryzjer pijany”, gdzie zastosował „rym podwójny” – w pierwszym wypadku zgodny z wymową oryginalną, drugi zbudowany na „spolszczonej” wymowie nazwiska francuskiego poety: „Wąsy Rimbauda/ to już niezły materiał/ na oksymoron/ a co dopiero jego broda”. Zważywszy przy tym, że tytuł utworu nawiązuje do tytułu słynnego wiersza Rimbauda „Statek pijany”, mamy już tylko na tej płaszczyźnie do czynienia z poetycką zabawą wysokiej próby. Kunszt ten w „Krainie wiecznych zer” zademonstrowany został przez Macheja na wiele różnych sposobów i nie pozostaje nic innego, jak tylko w tej krótkiej nocie podkreślić, iż tego rodzaju liryka wnosi ożywcza, jeśli nie wręcz uzdrowicielską nutę do polskiej poezji współczesnej. Tyle tylko, że wciąż czekać będziemy na uznanie, iż mamy do czynienia z grą dla poezji ważną. Nie przypadkiem właśnie teraz ukazuje się nowa wersja „Uśmiechów” Różewicza, ale nie przypadkiem także kolejne „zabawne” tomy Barańczaka – „Biografioty”, „Zwierzęca zajadłość”, „Zupełne zezwierzęcenie” – nie miały niemal żadnego krytycznoliterackiego odzewu. Ale, miejmy nadzieję, coś się w tej materii powoli będzie zmieniać.

Póki co, warto zwrócić uwagę na tom jak najbardziej „poważny”, a jednocześnie świetny – jest nim Krzysztofa Ćwiklińskiego „Kropelka krwi” (Graffiti BC, Toruń 1999). Osiemnaście wierszy tu zgromadzonych tworzy piękną liryczną konstelację, w której waga podnoszonych problemów odnajduje swe dopełnienie w formalnej maestrii. Ten szczupły zbiór otwiera utwór datowany 13 grudnia 1981 i przyznam, że gdyby nie data, raczej bym go nie kojarzył z programową wypowiedzią u progu stanu wojennego, choć niewątpliwie – niezależnie od okoliczności – słowa tego utworu jako programowe potraktować należy: „Nie wolno Ci zapomnieć. Musisz zapamiętać./ Nie możesz dać się złamać. Wolność jest nawykiem/ Jak skrawek świata w oknie, para nad czajnikiem/ I pod ciężarem szronu jarzębina zgięta”. To niemal powtórzenie słów listu Jerzego Stempowskiego: „Wolność nie wynika sama z konstytucji i regulaminów, ale jest faktem obyczajowym, rodzi się na miejscu do swobodnego zachowania się. W braku tej woli nie ma wolności”. I, rzecz jasna, właśnie tak pojmowana wolność narzuca dyscyplinę, styl, klasę – także w poezji.

Widać to w wierszach Ćwiklińskiego, którego zapewne słusznie zaliczają recenzenci do szkoły „neoklasycznej” – tzn. tej, która podejmuje poszukiwania Jarosława Marka Rymkiewicza, Bohdana Zadury, Witolda Maja czy Stanisława Zajączka. Trafnie też dostrzeżono barokowe korzenie tych wierszy, choć są one mniej demonstracyjnie eksponowane niż to się dzieje w poezji Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego. Nie brak tu co prawda i wątków turpistycznych („Temat holenderski”), przeważa wszakże wyrafinowany koncept formalny, jak w pięknym wierszu „Ten wiersz”: „Ten wiersz jest częścią wiersza. Nie cały jest sobą./ Próbuje być czymś innym. Ale czym się stanie?/ Ty wiesz, bo bardziej niż mną, ten wiersz będzie Tobą/ I – gdy zechcesz – jak kryształ załśni niespodzianie// Najczystszym dźwiękiem, który – jak perła w słowiku/ złotym gardziołku – pęknie wierzby młodym listkiem./ I jedno będzie pewne, bo choć nic nie znika,/ Kiedy Ciebie zabraknie, on przestanie istnieć”. Ten pozornie monoteMATYCZNY utwór jest jednak czymś więcej: jest tym, co Miłosz nazywa „poszukiwaniem formy bardziej pojemnej”, jest wychyleniem się poza czystą literackość, w stronę „niepojętego

zycia”. Jest grą fragmentu i całości, realizowaną w znakomitym operowaniu rytmem, rymem i przerzutnią. Jest tyleż wyznaniem miłosnym, co wyznaniem wiary – mieni się wieloznacznością, wygrywa różne rejestry skojarzeniowe. Nie obawia się podejrzanych „poetyczności” („słowika gardziołko złote”) umiając je artystycznie spożytkować tak, by budowały sieć napięć znaczeniowych i estetycznych.

Nie powinowactwa wszakże wydają się w tej poezji najważniejsze – choć bez wątpienia podejmuje Ćwikliński interesującą grę z głęboką i najnowszą tradycją – lecz formalna maestria połączona z poznawczą i emocjonalną drapieżnością. Wyraźne nawiązania do angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia są bez wątpienia tym punktem odniesienia, który konstituuje neobarokowe koncepty tej liryki. Jednakże delikatne nasaczenie owej poetyki doświadczeniem współczesności – jak w wierszu tom otwierającym bądź jak w „Słowach” – pozwala wpisać poszukiwania Ćwiklińskiego w nurt tak wyraziście obecny w piarstwie Różewicza: „Krucze są moje słowa, słabe i bezradne/ Próbują fruwać, ale brakuje im skrzydeł”; „Powiedz jak mam ożywić martwą wyobraźnię?/ Powiedz, czym wzrok nakarmić? Czym pobudzić język,/ By przemówił (...)” – te deklaracje i wątpliwości są jądrem współczesnych poetyckich poszukiwań.

Leszek SZARUGA

Nagrody prywatnego mecenatu

Redaktor *Kultury* prosił mnie o notatkę na temat nagród dziennikarskich, które zainicjowałem w Polsce w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Oto one:

Nagroda im. Adolfa Bocheńskiego

W jesieni 1980 r. po sukcesie Solidarności w Gdańsku, zastanawiając się jak wykorzystać szparę w murze sowieckiej

dominacji w Polsce, wpadłem na pomysł, aby stworzyć do-
 roczną nagrodę publicystyczną im. Adolfa Bocheńskiego. Dla-
 czego Adolfa Bocheńskiego? Ponieważ stał się moim najbliż-
 szym przyjacielem, od chwili poznania go w lutym 1932 r.
 gdy jako działacz akademickiej organizacji „Myśl Mocarstwo-
 wa” w Krakowie, organizowałem publiczny „miting” politycz-
 ny w celu przedyskutowania palącego wówczas zagadnienia
 ukraińskiego w Polsce i zaprosiłem jako głównych mówców
 znanego już wówczas Stanisława Mackiewicza (Cata) i Adolfa
 Bocheńskiego, o którym wiedziałem, że już w wieku lat szes-
 nastu opublikował doskonałą rozprawę p.t.: „Tendencje samo-
 bójcze narodu polskiego” (którą na łamach wileńskiego *Słowa*
 zachwyił się Mackiewicz), a trzy lata później następną p.t.
 „Ustrój a racja stanu”. Miting się udał, przy okazji okazało się,
 że matka Bocheńskiego przed laty przyjaźniła się z moją w
 lwowskim „Sacré Coeur”. Miesiąc później święta wielkanocne
 spędziłem u Bocheńskich w Ponikwie, poznałem jego starsze-
 go brata Aleksandra i namówiłem obu braci do współpracy w
 Giedroyciowskim *Buncie Młodych*. Później wiele czasu spęd-
 zaliśmy z Adolfem w Warszawie, Ponikwie, na letnich
 obozach dyskusyjnych „Myśli Mocarstwowej” nad Wartą pod
 dębami w pięknym Rogalinie, u przyjaciół w Lelechówce,
 Suchej, w Janowie, dotarliśmy nawet kiedyś do Biarritz. Ra-
 zem z ramienia *Buntu Młodych* przeprowadzaliśmy wywiady
 z politykami w Rumunii i Turcji m.in.: na temat stosunku
 tych krajów do Rosji. W Niemczech m.in. (w rozmowie z
 głośnym wówczas ekonomistą prof. Wagemannem staraliśmy
 się dociec przyczyn gospodarczego i zbrojeniowego sukcesu
 Trzeciej Rzeszy, zbywanego wówczas przez polskich polityków
 i szeroką opinię pogardliwą oceną: zbankrutują. Wkrótce po
 wybuchu wojny spotkaliśmy się z Adolfem w bretońskim
 Coëtquidan, razem walczyliśmy pod Narwikiem, po upadku
 Francji w lecie i jesieni 1940 r., razem braliśmy udział w
 ruchu podziemnym, przerzucając przez Pireneje polskich
 zdemobilizowanych żołnierzy, dążących do Anglii. Wreszcie
 sami ukryci pod maszynami statku przedostaliśmy się na Bliski
 Wschód i wzięliśmy udział w obronie Tobruku i ofensywie w
 Libii, odnosząc rany. Potem nasze szlaki wojenne się rozeszły:
 Adolf postarał się o przydział do Karpackiego Pułku Ułanów
 a niżej podpisany do lotnictwa.

Piękna była karta wojenna Adolfa Bocheńskiego. Przy
 poborze w Polsce uznany za fizycznie niezdolnego do służby
 wojskowej, we wrześniu 1939 r., aby się zaciągnąć jako
 ochotnik do pułku ułanów – podarował konia dowódcy
 szwadronu. Podchorążówkę we Francji – choć uważany za
 tzw. „ofermę” – ukończył z jedną z pierwszych lokat. W cza-
 sie obrony Tobruku odznaczył się niebywałą odwagą i pogar-
 dą śmierci, dla swej ofiarności wobec podwładnych zwany
 przez żołnierzy „Chrystusem”, przeszedł do legendy Kar-
 packiej Brygady. Odznaczony *Virtuti Militari* i dwukrotnie
 Krzyżem Walecznych, poległ we Włoszech w lipcu 1944 r.

Wybitny już przed wojną publicysta młodszego poko-
 lenia i służąc w wojsku w czasie wojny nadal obserwował roz-
 wój sytuacji politycznej na świecie. Głośny był następny epi-
 zod. W jesieni 1942 r. dowódca II Korpusu gen. Anders po-
 dejmowany pod Piramidami obiadem przez oficerów Kar-
 packiego Pułku Ułanów, wygłosił przemówienie: „Proszę pa-
 nów, Rosjanie są zupełnie zdruzgotani, ich klęska pod
 Moskwą, Leningradem i Stalingradem jest kwestią dni i
 tygodni”. Słyszając te słowa wstaje siedzący u końca stołu pod-
 chorąży Bocheński i ku konsternacji zastępcy dowódcy pułku
 (dowódca był nieobecny) mówi: „Panie generale, żadnej ro-
 syjskiej klęski nie będzie, Rosjanie w najbliższym czasie
 wstrzymają Niemców. Europa zostanie podzielona i my znaj-
 dziemy się po stronie podległej Rosji”. Takim był Adolf
 Bocheński.

Zupełnie nieznanymi w Polsce Ludowej, znakomity publi-
 cysta i wspaniały żołnierz, zasługiwał na uczczenie jego pa-
 mięci.

Przystępując do pracy nad ustanowieniem nagrody,
 poprosiłem współpracowniczkę, aby zapytała w Ministerstwie
 Kultury czy i jakie przepisy istnieją w sprawie ustanawiania
 prywatnych nagród publicystycznych. Okazało się, że żadne
 przepisy nie istnieją w tej sprawie, i że również nie istnieją
 żadne przepisy zabraniające ich ustanawiania. „Niech zain-
 teresowany przedstawi projekt regulaminu, określającego ko-
 mu i za co byłaby przyznawana nagroda i wedle jakich kry-
 teriów”. Wobec tego nigdy już w tej sprawie nie zgłaszałem
 się do Ministerstwa.

Z Aleksandrem Bocheńskim uzgodniliśmy, że nagrodę

będzie się przyznawać za „oryginalność i wysoki poziom publicystyki politycznej, bez względu na poglądy autora”. Czyniąc tak, z jednej strony nawiązywaliśmy do poglądu Adolfa, który bardzo wysoko cenił poziom publicystyki politycznej – również przeciwników politycznych – z drugiej strony pragnęliśmy ustanowieniem nagrody przyczynić się do podniesienia poziomu publicystyki politycznej w Polsce. Do Jury nagrody zaprosiliśmy naszych wspólnych przyjaciół z lat młodości, interesujących się polityką (Teresę Tyszkiewiczową, Marię Dembińską, Zofię Libiszowską – które w międzyczasie zostały profesorami wyższych uczelni, Jana Meysztowicza i Edmunda Moszyńskiego) oraz kilku publicystów o poglądach zbliżonych do *Buntu Młodych*, w szczególności rozumiejących konieczność porozumienia z Niemcami: Jerzego Turowicza, Stanisława Stommę i Pawła Czartoryskiego. Postanowiliśmy przyznawać nagrodę w sposób najbardziej uproszczony – nieco jak nagroda Goncourtów; jedno posiedzenie Jury połączone ze wspólnym obiadem dla ustalenia laureata i drugie dla wręczenia nagrody, połączone koktajlem dla przyjaciół i mediów.

Na pierwszym posiedzeniu Jury w dniu 4 grudnia 1980 r. przyznano nagrodę Stefanowi Bratowskiemu, publicyście bardzo zasłużonemu w walce o wolność prasy i przemiany demokratyczne w Polsce. Przyznanie tej pierwszej, niezależnej od władz, nagrody publicystycznej w Polsce, stało się w Warszawie niemal wydarzeniem dnia, dzienniki stołeczne wiązały ją ze zmianami wolnościowymi zachodzącymi w Polsce.

W grudniu 1981 r. przyznano nagrodę Tadeuszowi Mazowieckiemu, do wręczenia jej jednak nie doszło, ponieważ w przeddzień został internowany, ale przydała się jego rodzinie, w ciężkich dniach stanu wojennego. W następnych latach otrzymali nagrody: Marcin Król, Jan Zamojski, nagrody młodych – Jan Śpiewak, Jacek Żakowski i Jan Dworak, w r. 1987 Aleksander Bocheński i Jan Józef Szczepański, w 1988 Marek Goliszewski i Stefan Kisielewski oraz wyróżnienia Wojciech Lizak i Józef Kuśmierk. W r. 1989 otrzymał nagrodę Dariusz Fikus, w 1990 Stanisław Podemski, w 1991 Tadeusz Żychiewicz, w 1992 pierwszą nagrodę Jerzy Turowicz, drugą Jan Malicki, w 1993 Aleksandra Kosicka-Pa-

jewska – autorka książki „Polska między Rosją a Niemcami. Koncepcje polityczne Adolfa Bocheńskiego”, w r. 1994 Wojciech Natanson, w r. 1995 Aleksander Małachowski, a nagrody specjalne Ludomir Motylski i Stanisław Rostworowski, w r. 1996 Wolfgang Paller (obywatel niemiecki) autor książki „Stanisław Stomma Nestor der polnisch-deutschen Aussoehnung”, w której przedstawił wysiłki prof. Stanisława Stommy, publicystów *Buntu Młodych* (przede wszystkim Adolfa Bocheńskiego), a po wojnie *Tygodnika Powszechnego* i *Więzi*, zmierzające do pojednania polsko-niemieckiego. Ostatnią nagrodę przyznano Janinie Paradowskiej w r. 1997. W miarę upływu lat kolejno ubywali członkowie Jury: Teresa Tyszkiewicz, Maria Dembińska, Jan Meysztowicz, Maria Bocheńska (która w ciągu ostatnich lat zastępowała swego chorego męża Aleksandra), Jerzy Turowicz, Paweł Czartoryski i Zofia Libiszowska. Pozostali – Stanisław Stomma, Edmund Moszyński i niżej podpisany – ze względu na wiek i zdrowie zrezygnowali z kontynuowania przyznawania nagród.

Ogółem, w ciągu 18 lat przyznano nagrody i wyróżnienia 25 osobom. W ostatnich latach nagrody wynosiły od 1.500 do 2.000 dolarów. Nagroda chyba zrealizowała w pewnym stopniu zamierzony cel. Uczciła postać i spopularyzowała zasługi Adolfa Bocheńskiego. Kilka szkół uznało go swym patronem.

Nagroda im. Pruszyńskich

Ustawa z 1984 r. umożliwiła tworzenie w PRL fundacji. Wykorzystałem ją, aby przypomnieć i kontynuować tradycje twórczości dziennikarskiej mego brata, powołując do życia fundację mającą na celu przyznawać doroczną nagrodę dziennikarzowi, który „podobnie jak to czynił Ksawery Pruszyński, będzie w swej twórczości szukał prawdy, tępił absurdy i krzywdy oraz zwietrzałe frazesy, wykazywał mądrość i wyobraźnię polityczną, charakter, odwagę, uczciwość i dociekliwość spojrzenia”, lub niektóre z tych cech – dodałem, gdy moja małżonka przeczytawszy projekt statutu zauważyła, że dziennikarza o wszystkich wyżej wymienionych cechach będzie trudno znaleźć.

Starania o uzyskanie zgody władz trwały około trzech lat, m.in. ponieważ w projekcie statutu jako datę wręczania dorocznej nagrody przewidziano dzień 11 listopada, co nie mogło być miłym dla władz PRL, które zwykle w tym dniu na ulicach pałowały młodzież manifestującą z okazji tej rocznicy. Ostatecznie w dniu 9 grudnia 1988 r. minister kultury i sztuki profesor Aleksander Krawczuk w mej obecności podpisał decyzję zatwierdzającą fundację.

Statut postanawiał, że w skład zarządu fundacji wejdą dwaj przedstawiciele Stowarzyszenia Dziennikarzy oraz po jednym przedstawicielu Instytutu Dziennikarstwa, Związku Literatów, Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, fundator oraz trzy wyznaczone przez niego osoby, jak również, że przewodniczącym zarządu będzie każdorazowo przewodniczący Stowarzyszenia Dziennikarzy. Ponieważ zarząd funkcje sekretarza powierzył drugiemu przedstawicielowi Stowarzyszenia, zapewnił to fundacji bezpłatny lokal na posiedzenia zarządu oraz na uroczystości wręczenia dorocznych nagród, jak również niezbędną pomoc techniczną (maszynistek). W ramach swych statutowych uprawnień fundator powołał w skład zarządu prof. dr hab. Jana Pruszyńskiego, swego syna mgr Erazma Pruszyńskiego oraz Wiesława Górnickiego (wybitnego publicystę i doradcę premiera Jaruzelskiego), który (jak mi kiedyś wspomniał) był synem Żydówki, analfabetki z najuboższego proletariatu Warszawy, jednak rozumiał i podziwiał publicystykę mego brata, lepiej aniżeli niejeden z jego przyjaciół i dał temu wyraz w artykule pt. „Orzeł”, opublikowanym w dwudziestą rocznicę jego śmierci w *Życiu Warszawy*.

Majątek fundacji stanowiła kwota 24 800 franków szwajcarskich, której oprocentowanie miało zapewnić dochód dla wypłacania nagród.

Po raz pierwszy przyznano nagrodę w dniu 11 listopada 1989 r. Iwonie Jacynie, dziennikarce *Życia Warszawy*, od lat walczącej o ochronę środowiska naturalnego. Janina Paradowska w wywiadzie pt. „Iwona i jej wiatraki” przypominała z tej okazji jej rozmaite walki, m.in. o przebieg wistostrazy przy lesie bielańskim, o czyny partyjne w Powsinie, o budowę domu Urzędu Rady Ministrów w Tatrzańskim Parku Narodowym. „Iwona to nie tylko dziennikarka *Życia Warszawy* – ale instytucja”. Za rok 1990 nagrodę otrzymał Jacek Snop-

kiewicz, dziennikarz i pracownik telewizji „za wytrwałe poszukiwanie prawdy, odwagę i uczciwość, za odkrywanie ‘białych plam’ polskiej historii stalinizmu”. Za rok 1991 nagrodę otrzymał głośny publicysta Krzysztof Teodor Toeplitz, a za rok 1992 nie mniej znany Aleksander Małachowski. W roku 1993 nagrodę przyznano ks. prof. Józefowi Tischnerowi, który odbierając ją, powiedział m.in. „Ksawery Pruszyński był jednym z moich ulubionych autorów młodości, niedoścignionych mistrzów polskiego słowa”. W 1994 r. nagrodę wręczono Adamowi Michnikowi, który m.in. powiedział: „Ksawery Pruszyński był zawsze dla mnie niedościgłym wzorem: jako pisarz, wzór odwagi obywatelskiej, człowiek poruszający się w gąszczu polskich przeklętych pytań o polską glorię i mizериę, rozum i szaleństwo, Niemcy i Rosję, Ukrainę i antysemityzm, wolność i silne państwo”. Adam Michnik zacytował ze słynnego, napisanego podczas wojny artykułu Ksawerego Pruszyńskiego fragment mówiący o „pojmwaniu Rzeczypospolitej jako wielonarodowego imperium”, które „nie odraża od innych ludów, ale przeciwnie, pociąga”.

W 1996 r. otrzymał nagrodę Wojciech Jagielski, który z ramienia *Gazety Wyborczej* objechał pół świata (z Afganistanu zatelefonował do redakcji: „Odciał mnie front, żeby się przedrzeć musiałem kupić konia – no i teraz nasza księgowość nie wie jak tego konia rozliczyć”). W następnym roku otrzymał nagrodę Jacek Żakowski, dziennikarz *Życia Warszawy*, który odbierając ją powiedział, że Ksawery Pruszyński od dziecka był dla niego „postacią znakiem”, swoistą legendą. W r. 1998 otrzymał nagrodę Krzysztof Skowroński, dziennikarz Radia Zet i telewizji, a za rok 1999 znana publicystka *Polityki*, Janina Paradowska.

Ogółem, nagrodę dziennikarską Pruszyńskich otrzymało w latach 1989-1999 dziesięciu publicystów i dziennikarzy; wynosiła ona od 1.600 fr. szw. (w roku 1989) do 5.000 fr. szw. (w roku 1999). Wartość nagrody wzrastała m.in. dlatego, że w okresie postępującej reformy gospodarki malała w Polsce siła kupna dewiz. Suma nagród dotychczas wypłaconych (27.300 fr. szw.) przekroczyła zakładowy kapitał fundacji. Obecnie nagrody są sponsorowane przez Fundację Kulturalną Pruszyńskich w Księstwie Lichtenstein.

Nagrody PEN Clubu

Stosunkowo najwięcej pracy włożyłem w nagrodę im. Adolfa Bocheńskiego, jako że musiałem organizować posiedzenia jury, jak również uroczystość wręczenia nagród, połączone z koktajlem z tej okazji. Znacznie mniej wysiłku z mej strony wymagała nagroda dziennikarska Pruszyńskich, ponieważ stronę organizacyjną wzięło na siebie Stowarzyszenie Dziennikarzy, a moja rola ograniczała się do uczestnictwa w posiedzeniach jury i uroczystościach wręczenia nagród. Natomiast doroczna nagroda PEN Clubu imienia Ksawerego Pruszyńskiego nie wymagała nawet mego uczestnictwa w jury (jako, że do niego nie należałem).

Przyznawanie dorocznych nagród jest ważną formą działalności PEN Clubu. Nagrody im. Ksawerego Pruszyńskiego PEN Club po raz pierwszy przyznał w 1988 r. Otrzymali je: Jacek Woźniakowski, Tadeusz Chrzanowski, Ryszard Kapuściński (który odbierając nagrodę uznał się za ucznia „mistrza reportażu” – Ksawerego Pruszyńskiego), Włodzimierz Paźniewski i Jacek Żakowski. W 1989 r. otrzymali nagrodę: Jan Józef Szczepański, Kazimierz Dziewanowski i Józef Kuśmierz (o którym piękne wspomnienie Ewy Berberysz zamieściła niedawno *Kultura*). W 1990 r. przyznano nagrody Jerzemu Korczakowi, Hannie Krall, Ryszardowi Legutko i Małgorzacie Szejnert, w r. 1991 otrzymali je Jerzy Eisler – historyk, m.in. autor książki o marcu 1968, publicystka *Gazety Wyborczej* Teresa Bogucka („Jej publicystyka nie zmusza ludzi do niczego, prócz refleksji”), Robert Jarocki, publicysta i eseista *Rzeczpospolitej* oraz Aleksander Małachowski, który dziękując za nagrodę powiedział: „gdy tak słucham tych wspaniałych o nas przemówień, mam wrażenie, że ktoś przystawił mikrofon do katafalku”. Za rok 1992 otrzymali nagrody: Kazimierz Traciewicz i – dziś już nieżyjący – Lech Bójko, wówczas świetny korespondent *Gazety Wyborczej* w Moskwie. „Myślałem, że praca dziennikarza jest ulotna, jak ulotny jest środek przekazu – gazeta. Cieszę się, że ktoś ją docenił” – powiedział wtedy. Nagrodę za 1993 r. otrzymali: Jerzy Jedlicki, znana czytelnikom *Kultury* („Rosjanie w Warszawie”) pisarka i poetka Agata Tuszyńska i Tadeusz

Żychiewicz, który z okazji otrzymania nagrody napisał, że Ksawery Pruszyński „wrażliwy na urodę słowa nie bał się słów brzydkich. Podziwiałem go i podziwiam jako autora, demokratę i żołnierza”. Nagrody za 1994 r. otrzymali: Maria Wiernikowska, autorka m.in. reportażu z Czeczenii („Marysia jest bardzo piękna i bardzo dzielna” – powiedział o niej przy wręczeniu nagrody Jacek Kuroń); Irena Sławińska za eseje teatrolologiczne, której „zasługi dla naszej wiedzy o Norwidzie są trudne do przecenienia”, a sama śmiała się, że do „piętnastego roku uważała się za wielką poetkę”; Piotr Matywiecki, autor „Kamienia granicznego”, a więc pierwszej książki, „w której ciężar Holocaustu został podjęty przez kolejne pokolenia”. Nagrody za rok 1995 r. otrzymali Krzysztof Jasiewicz, Adam Krzemiński i Teresa Prokierowa; za rok 1997 Stefan Bratkowski „pozytywista i romantyk”, a za 1999 r. Jan Nowak Jeziorański, którego nie ma potrzeby przedstawiać.

Ogółem, w ciągu ubiegłych 11 lat PEN Club przyznał 29 nagród im. Ksawerego Pruszyńskiego. W ostatnich latach nagrody wynosiły rocznie od 4 do 10 tysięcy złotych (za 1999 r.) rocznie. Nagroda za r. 2000 wyniesie 15 tysięcy złotych. Sponsoruje je Fundacja Kulturalna Pruszyńskich w Księstwie Lichtenstein. (Dlaczego w Lichtensteinie? Ponieważ fundacje dobroczynne mogą działać długo tylko w kraju o trwale ustabilizowanej walucie i w którym nie płacą podatków, a te warunki w Polsce nie istnieją.)

Na zakończenie tej notatki warto wspomnieć, że w 1975 r. tj. w dwudziestą piątą rocznicę śmierci Ksawerego Pruszyńskiego, staraniem pisarza (dziś już nieżyjącego) Janusza Roszki oraz członków Klubu Reportażu im. Ksawerego Pruszyńskiego – krakowski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich ustanowił doroczną nagrodę jego imienia, którą przyznano Ryszardowi Wójcickiemu z TV Warszawa oraz wyróżnienie dla młodego reportera Tadeusza Woźniaka z *Wieczoru Wybrzeża*. Nagrodę przydzielano chyba do 1980 r.

Mieczysław PRUSZYŃSKI

Rękopisy z Qumran

W pięćdziesięciolecie odkrycia rękopisów znad Morza Martwego, jeden ze światowych znawców bibliistyki i qumranologii, prof. Józef Tadeusz Milik, obchodził 75-tą rocznicę urodzin i półwiecze swej pracy naukowej. Z okazji tego potrójnego jubileuszu odbyło się pod patronatem ambasadora RP we Francji i prof. Ratajczaka, dyrektora Stacji Polskiej Akademii Nauk w Paryżu, międzynarodowe kolokwium, dedykowane jubilatowi, z udziałem uczonych z kilku krajów. Poprzednio prof. Milik został udekorowany w Ambasadzie RP Oficerskim Krzyżem Zasługi przez przybyłego specjalnie do Paryża min. Geremka.

Pierwszą część spotkania wypełnił wykład prof. Ernesta-Marie Laperrousaz, który dokonał bilansu wykopalisk archeologicznych, ilustrując swe wywody świetnymi przezroczami z Masady i Qumran z jednej z licznych wypraw wykopaliskowych, w której sam brał udział. W poszczególnych grotach, oznaczonych przez uczonych numerami 1Q-11Q z 800 odkrytych i zidentyfikowanych tekstów, czwartą część stanowią manuskrypty ksiąg Biblii Hebrajskiej (z wyjątkiem Księgi Estery). Reszta to pisma wspólnoty z Qumran od lat 50-tych (kojarzonej z odłamem judaizmu, Eseńczykami), które występują w tekstach antycznych historyków Pliniusza Starszego i Józefa Flawiusza.

Zasadnicza część wystąpienia E.-M. Laperrousaza dotyczyła analizy archeologicznej stanowisk Qumran-Feshkha w oparciu o charakterystykę:

- topografii ruin w Qumran i w Feshkha,
- liczby osób zamieszkujących wspólnotę Qumran-Feshkha, którą można ustalić na ok. 300-400 osób, biorąc pod uwagę zespół basenów i cystern, zdolnych do magazynowania ok. jednego miliona litrów wody.

W konkluzji, analiza metodyczna wykopalisk w Qumran z lat 1949-1958 pozwala dokonać zarysu chronologii tej wspólnoty, zamkniętej w trzech etapach ok. 100 r. przed Chr.,

eksodusu do Damaszku w latach 67-63 przed Chr. i powrotu w okresie 24-23 przed Chr. Finał to atak legionu rzymskiego w czerwcu A.D. 68 na wspólnotę Qumran-Feshkha w okresie wojny żydowskiej:

Prof. Laperrousaz swoim wystąpieniem uczcił pamięć O. Rolanda de Vaux, dominikanina i dyrektora Ecole Biblique w Jerozolimie, kierującego wykopaliskami w Qumran i podkreślił liczne zasługi J.T. Milika podczas eksploracji grot i osady nad Morzem Martwym – szczególnie w zakresie interpretacji znalezisk, jako ich esseńskiej proveniencji, oraz ogromne jego znaczenie dla epigraficzno-filologicznej edycji tekstów i ich identyfikacji.

W drugiej części kolokwium zaprezentowano aktualne kierunki badań studiów nad rękopisami znad Morza Martwego i ruinami osiedla w Qumran w dziedzinach:

- archeologii i interpretacji stanowiska w Qumran
- teologii i problematyki mesjanizmu tekstów z Qumran
- aspektów językoznawczych aramejszczyzny i hebrajszczyzny, charakterystycznej dla wspólnoty z Qumran.

Sesji przewodniczył prof. André Caquot z Instytutu Studiów Semickich College de France, członek Instytutu Francuskiego. Jego obecność była wyrazem jego żywych stosunków z polskimi biblistami i badaczami rękopisów z Qumran, ze zmarłym wybitnym hebraistą prof. Witoldem Tylochem z Uniwersytetu Warszawskiego i z prof. Milikiem.

Dr Zdzisław J. Kapera z Instytutu Orientalistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, wydawca i promotor studiów zwojów z Qumran oraz periodyku *The Qumran Chronicle*, otwierając drugą część kolokwium, w interesujący sposób ukazał dynamiczny rozwój kariery naukowej prof. Milika. Ku czci jubilata dr Kapera zorganizował międzynarodowe kolokwium w Mogilanach pod Krakowem, którego efektem było wydanie świetnych prac pt. „Intertestamental Essays in Honour of Józef Tadeusz Milik” (Kraków 1992), zaś z okazji paryskiego kolokwium opublikował reedycję polskiej książki prof. Milika „Dziesięć lat odkryć na Pustyni Judzkiej” (The Enigma Press, Kraków 1999). Zasługą prof. Milika – jak to podkreślił dr Kapera – jest ogromna ilość opublikowanych tekstów z Qumran, przewyższająca dokonania pozostałych członków zespołu o. de Vaux. Jakość i poziom edycji tekstów

autorstwa Milika w pełni uzasadnia nadawane mu tytuły „The fastest man with a scroll fragment” i „Champlion des rouleaux de la Mer Morte”.

Ks. Emile Puech, dyrektor studiów w paryskim Centre National de la Recherche Scientifique (CNRS) i pisma *Revue de Qumran*, oddelegowany do Ecole Biblique w Jerozolimie, nie mógł być obecny i jego referat pt. „Milik, editeur des manuscrits de désert de Juda”, odczytany przez prof. Caquot, podkreślił zasługi polskiego uczonego w pracach związanych z Qumran.

Z kolei głos zabrał prof. André Lemaire, dyrektor Studiów w Sekcji Nauk Historycznych i Filologicznych w Ecole Pratique des Hautes Etudes, jeden z najwybitniejszych na świecie specjalistów inskrypcji zachodniosemickich, a zwłaszcza palehebrajskich. W swym referacie podkreślił rolę odkrycia w Qumran dla poznania życia w Palestynie 2000 lat temu z powodu odkrycia ruin osady i olbrzymiej biblioteki zwojów. Rękopisy i ich publikacja zmierzają ku ukończeniu, natomiast wciąż brak, mimo świetnych raportów wstępnych R. de Vaux, definitywnej publikacji danych archeologii.

Na tle panoramy różnorodnych stanowisk badaczy w sprawie interpretacji ruin Qumran-Ain Feshkha, prof. Lemaire przywołał uwagę M. Delcora z 1954 r. „iż cała wspólnota stanowiła rodzaj szkoły egzegezy” i wysunął własną tezę egzystencji *beit midrash* wspólnoty esseńskiej w Qumran. Istnienie i znaczenie tej instytucji w Palestynie jest świetnie poświadczone już w połowie II wieku przed nar. Chr. w księdze Jezusa ben Sirah, obecnej w Qumran. Liczne analogie z epoki hellenistycznej zdają się potwierdzać tezę A. Lemaire o „esseńskiej *beit midrash* (wspólnocie)” w Qumran.

Problemy teologii i mesjanizmu tekstów Qumran poruszył inny wybitny ich badacz prof. Florentino Garcia-Martinez, dyrektor Instytutu Qumran na Uniwersytecie Groningen (Holandia) i sekretarz renomowanego pisma *Revue de Qumran* w wystąpieniu „La figure de Melki-Sedeq et le messianisme qumrânien”. Profesor uzasadnił wybór tematu ścisłym związkiem z osobą jubilata, prof. Milika, który opublikował w 1972 r. tekst 11Q13 w *Journal of Jewish Studies*.

Drugi aspekt wystąpienia Garcia-Martineza dotyczył

mesjańskiego charakteru „posłańca” z Izajasza, we fragmencie źle zachowanym, lecz dzięki rekonstrukcji Milika możliwym do interpretacji (Izajasz 52,7). Opis owego „posłańca” czyni możliwą jego identyfikację z Mistrzem Sprawiedliwości eschatologicznej, ale jego interpretacja jako „mesjasza”, „pomazańca”, nie wydaje się być oczywista. Uczony uważa, że postać „posłańca” różni się więc od postaci niebiańskiego Melki-Sedeqa obecnego w dalszej części tekstu.

W części filologicznej interpretacji tekstów z Qumran, dr Ursula Schattner-Rieser, profesor języków biblijnych w Instytucie Katolickim w Paryżu, przedstawiła pracę nt. „Observations sur l'araméen de Qumran: la question de l'araméen standard reconsidéré”, rozpoczynając od charakterystyki części tekstów aramejskich w Qumran, stanowiących mniejszość w stosunku do rękopisów hebrajskich (60 tekstów aramejskich wobec około 750 zwojów hebrajskich). W konkluzji uczona wskazuje, że zespół cech innowacyjnych w zakresie fonologii i morfologii aramejskiej jest zapowiedzią jego ewolucji późnej jako judeo-aramejskiego, znanego z Targumu Onkelosa i Galilei. Dlatego należy wyraźnie odróżnić formy kompozycji aramejskich przed Qumran od tych z przełomu ery chrześcijańskiej.

Autorem finałowego wystąpienia „Le statut de l'hebreu quomrânien comme une langue parlée” był dr Piotr Muchowski z Instytutu Orientalistyki na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, którego wielką zasługą jest pełny polski przekład „Rękopisów znad Morza Martwego. Qumran. Wadi Murabba'at. Masada”. (The Enigma Press, Kraków, 1996). Młody uczony z Poznania wystąpił z nowymi propozycjami statutu hebrajszczyzny w tekstach z Qumran, przypominając na wstępie, że dotychczas istniał *consensus* wśród filologów, że hebrajski poświadczony w zwojach z Qumran to forma diachronicznej kontynuacji hebrajskiego późnego biblijnego. Proponowany wówczas model zakładał istnienie dwóch typów hebrajskiego literackiego: normatywnego i mniej formalnego z odcieniem dialektu, kojarzonego z hebrajskim z Qumran, został on jednak poddany krytyce przez E. Qimrona, który opiera się na tezie, że hebrajski qumrański jest różny i niezależny od formy późnej biblijnej.

Wśród wielu zaproszonych gości kolokwium należy

wymienić: Elisabeth Fontan – konserwatora Departamentu Starożytności Wschodnich Muzeum Luwru, której uprzejmości publiczność zawdzięcza pokaz w stacji PAN kopii słynnego Zwoju Miedzianego, odkrytego w Qumran w 1952 r. przez H. de Contessaona (również obecnego na kolokwium) i opublikowanego przez J.T. Milika.

Dariusz DŁUGOSZ

Jubileuszowy Kontakt 2000

Festiwal Teatralny KONTAKT w Toruniu, który zainicjowała Krystyna Meissner, a od kilku lat prowadzi Jadwiga Oleradzka, odbył się w tym roku po raz dziesiąty. Ogólna formuła zbliżania kultur i narodów wschodu i zachodu oraz właśnie – nawiązywania i podtrzymywania wzajemnych kontaktów – utrzymała się, a fakt ten podkreśla międzynarodowy charakter jury. Długoletniego przewodniczącego Jerzego Koeniga zastąpił tym razem litewski dramaturg i krytyk Rolandas Rastauskas, a w skład jury wchodzili: krytyk teatralny z Bułgarii Violetta Detczewa, aktorka rosyjska Lidia Szukszyna, dramaturg z Bochum Schauspielhaus Klaus Missbach. Polskę reprezentował prorektor Akademii Teatralnej w Warszawie Tomasz Kubikowski. Jubileuszowy festiwal miał wyrównany poziom (co nie zawsze było regułą w przeszłości), a dla kraju gospodarzy zaznaczył się tym, że po raz pierwszy Polak był zdobywcą głównej nagrody.

Jak zwykle, niemal wszystkie rodzaje sztuki teatru były na festiwalu obecne. Teatr kukielkowy reprezentowany był przez spektakl toruńskiego Bajów Pomorskiego, ale z białoruskim reżyserem Aleksiejem Leliawskim (tym samym, którego własny zespół nie otrzymał w zeszłym roku pozwolenia władz Białorusi na udział w KONTAKCIE) oraz przez autorski

spektakl holenderskiego mistrza tego gatunku Feike Boscha. Francuski zespół La Salamandre z Monclay w plenerowym spektaklu „Ogień” odwoływał się do rytuałów ludów pierwotnych.

Jeśli chodzi o monodramy, nie zanadto podobała się opowieść Olega Bogajewa „Narodowa poczta rosyjska” o starym weteranie piszącym listy do osób nieżyjących lub wymaganych, w wykonaniu Teatru Armii Bułgarskiej i w reżyserii 28-letniego Jawora Gardeva. Sukces odniósł natomiast holenderski Theatergroep Hollandia w czterech monologach Pier Paolo Pasoliniego i jednym dyrektora koncertu Shella, ukazujących anomalie i arogancję współczesnego kapitalizmu. Uzyskał on III nagrodę festiwalu i nagrodę tygodnika *Polityka* za spektakl „najlepiej odzwierciedlający niepokoje naszych czasów”, zaś wcielający się z wielką zręcznością i wyobraźnią w rozmaite postaci Jeroen Willems otrzymał nagrodę dla najlepszego aktora. Podobał się też szwajcarski spektakl „Gopf”, łączący mim, taniec, akrobatykę, clownadę, przedstawiający poprzez miotanie się dwóch mężczyzn w zamkniętej kubistycznej przestrzeni metaforę współczesnej cywilizacji.

Również na pograniczu kilku dyscyplin stał spektakl „Wojna” w wykonaniu Compagnia Pippo Delbono z Mediolanu, w którym słaby kabaret z początkowych scen przekształca się w niewiarygodną wprost w swym komiżmie i grozie zarazem pantomimę końca świata; to mocne uderzenie we wrażliwość widzów było ponadto wykonane przez niepełnosprawnych aktorów. Widzowie byli nieco zagubieni, ale i pod dużym wrażeniem.

Natomiast Teatro Tatro ze słowackiego miasta Nitra podbił widzów spektaklem „Bianka Braselli, kobieta z dwiema głowami” Jana Weissa, w reżyserii Ondreja Spišáka. Sam spektakl stanowił kanwę dla nieustannej feerii „cyrkowych” pomysłów, precyzyjnie realizowanych poprzez farsę, clownadę, akrobatykę.

Niemcy, a konkretnie Schauspielhaus z Düsseldorfu, pokazali sztukę młodej autorki Theresii Walser „Córki King Konga”, której akcja rozgrywa się w domu starców. Autorka i 29-letni reżyser Patrick Schlässer zaszokowali widzów przez połączenie drastycznego realizmu (fizjologiczne niedomogi

pensjonariuszy, fekalia na scenie itp.) z okrutną groteską. Tak ostre pokazanie istotnego dziś problemu społecznego wzbudziło nawet protesty niektórych dyskutantów po przedstawieniu, twierdzących obłudnie, że los starców jest lepszy w Polsce!

Tegoroczny festiwal był jednakże zdominowany przez klasykę. Estoński Linnateater z Tallina zaprezentował czterogodzinną adaptację „Zbrodni i kary” Dostojewskiego w reżyserii Elmo Nüganena. Ów bardzo młody zespół starał się oddać sprawiedliwość niemal wszystkim wątkom tej wielkiej powieści, nie bez powodzenia zresztą – niektóre sceny rozebrane były bardzo pięknie.

Awangardowa inscenizacja „Kaliguli” Camusa w wykonaniu Państwowego Teatru Akademickiego im. Liensowietia z Sankt Petersburga (reżyser Jurij Butsov) odznaczała się dobrym aktorstwem i oszczędną scenografią, ale z zamierzonego przez autora traktatu o naturze absolutnej władzy wyparowała polityka, co było zadziwiające jak na teatr z dzisiejszej Rosji.

Gospodarze – Teatr im. Horzycy – przedstawili „Wujaszka Wanię” w inscenizacji swego dyrektora artystycznego Andrzeja Bubienia. Reżyser ten studiował m.in. w Petersburgu i zrealizował tam szereg spektakli, nic więc dziwnego, że toruńskie przedstawienie było dobrze zakorzenione w „rosyjskości” i zachowało właściwą równowagę pomiędzy tradycyjnym a nowoczesnym odczytaniem Czechowa.

Inny wielki klasyk, Szekspir, reprezentowany był aż trzema, bardzo zresztą różniącymi się od siebie, spektaklami. Dwa z nich były dziełem teatrów polskich. „Koriolan” w reżyserii Jacka Głomba (Teatr im. Modrzejewskiej z Legnicy) wystawiony został po zmroku w plenerze na rozległych terenach toruńskiego Fortu IV i miał charakter widowiska, częściowo z aktywnym udziałem widzów. „Burzę” w reżyserii Zbigniewa Brzozy przywiózł Teatr Jaracza z Łodzi. Nie wyszła ona najlepiej: pomimo efektownych scen i dobrze zagranych ról, całość koncepcji nie tłumaczyła się jasno.

Szekspirowskim triumfatorzem festiwalu był młody litewski reżyser Oskaras Koršunovas. Jego „Sen nocy letniej” olśnił widzów wyobraźnią, śmiałością koncepcji, precyzją wykonania. Dość powiedzieć, że partnerem każdego aktora była nie-siona i wykorzystywana na wiele sposobów – deska. Precyzyj-

ną choreografię ruchu dopełniają efekty świetlne i arealistyczna wokalizacja. Jeśli nawet Koršunovas nawraca do biomechaniki Meyerholda, to po 60 latach od zamordowania tego wielkiego artysty przez siepaczy Stalina, taki nawrót jest – nowatorstwem. Ów pełen młodzieńczej żywiołowości spektakl został przyjęty entuzjastycznie przez widzów i otrzymał drugą nagrodę festiwalu.

Pierwszą nagrodę otrzymał natomiast Teatr Rozmaitości z Warszawy, za „Magnetyzm serca”, a twórca tego spektaklu, Grzegorz Jarzyna został uhonorowany nagrodą dla najlepszego reżysera i nagrodą dziennikarzy. Cóż to więc za wspaniałe dzieło zaćmiło wszystkie inne festiwalowe spektakle? Po prostu pocziwe „Śluby panieńskie” Fredry, które Jarzyna wyjął z połowy dziewiętnastego wieku i wsadził w koniec dwudziestego. Uczynił to stopniowo. Najpierw mamy staroświecki salon, kostiumy i *savoir vivre*. Tylko dziwne efekty akustyczne, świetlne itp. to znaki, że coś się ma stać. Stopniowo zmienia się stylistyka i sposób bycia postaci, stroje, meble, pojawia się stare radio, w końcu znajdujemy się w naszych czasach. Postaci sztuki symulują kopulację, oddają się orgietkom, widzimy Gustawa nagiego od frontu (choć zakrywa przyrodzenie rękami), potem nagiego od tyłu pod prysznicem za przezroczystą zasłonką... Słowem, zabawa na całego, w szybko zmieniających się scenkach, z krótkimi strzępami Fredrowskiego tekstu, zresztą brak wyraźnego zakończenia. Sugestia reżysera, że to, co pokazał tkwiło już w sztuce starego libertyna Fredry, należało to tylko wyjąć na widok publiczny, jest mocno przesadzona. Jarzynie chodziło chyba raczej o to, by przyciągnąć młodych ludzi do teatru i stać się idolem teatromanów u progu XXI wieku. 32-letni utalentowany reżyser wszedł teraz w buty Krystiana Lupy jako modny reżyser KONTAKTU, ale przyszło mu to zbyt łatwo, a buty te mogą być dla niego za duże. Legitymacją Lupy był ciężki trud artystyczny i intelektualny, a nie inkrustowanie gołych tyłków w klasykę.

Nie chciałbym jednak sprawiać wrażenia, że moje wątpliwości dotyczące zbyt wysokiego uhonorowania w końcu nie najgorszego, a charakterystycznego dla naszego czasu spektaklu wpływają w sposób zasadniczy na moją pozytywną ocenę KONTAKTU jako zjawiska. Bywało już, jak mi się

wydaje, że jury robiło większe pomyłki przy rozdziale nagród, a raz nawet zupełnie rozminęło się z odczuciem widzów. Nie nagrodami KONTAKT stoi, ale niepowtarzalnym charakterem samej imprezy. Z perspektywy dziesięciolecia można stwierdzić, że KONTAKT jako zdarzenie mające przyczynić się do wypełnienia kulturowej przepaści Wschód/Zachód, zaistniałej po Jałcie, sprawdził się. Wbrew sceptykom uważam, że nie ma podstaw do wyciągania wniosku, iż np. teatry „wschodnie” ograniczają się do perfekcyjnego (?) przekazywania klasyki, a „zachodnie” skupiają się na problemach społecznych itd. Widzę natomiast zanik wzajemnego poczucia „egzotyki” oraz niwelację różnic, co oznacza, że świat normalnieje.

Uderzającą jest też młodość uczestników i wykonawców. Prawie wszyscy reżyserzy tegorocznych spektakli są ludźmi tuż po trzydziestce. Młodzi są ich aktorzy, scenografowie, autorzy. Młode są też – w sensie idei, pomysłów i żywiołowości – ich spektakle. Ta wymiana pokoleniowa oznacza również tworzenie się wspólnoty na płaszczyźnie kontaktów ludzkich. Ludzie KONTAKTU, jak by ich można określić, już nie tyle przypatrują się sobie i dziwią, ale lubią się, rozumieją i podziwiają. Nie ma już podstaw dawny podział na „Wschód” i „Zachód”. Choć świat wciąż daleki jest od niebiańskiego spokoju (*nomen omen*), ludzie teatru są w swych aspiracjach coraz bardziej obywatelami świata bez podziałów. A KONTAKT – oby trwał i tę cenną wspólnotę nadal umacniał.

Bolesław TABORSKI

Książki

Goście Lechonia

Na skutek zbiegu kilku okoliczności typu: znajomi znajomych, „warto by...”, „no może kiedyś...” etc., ta spora rozmiarami książka-album¹ znalazła się w moim domu i od dłuższego czasu domaga się zrobienia z nią „czegoś”, tak jak list pozostawiony długo bez odpowiedzi. Dodatkowym kłopotem jest to, że nie jestem wielbicielem poezji Lechonia (a z upływem lat – z coraz mniej licznymi wyjątkami – poetyczności w ogóle), toteż ta „relikwia” nie wzrusza mnie tak, jakby w intencji jej wydawcy powinna. Niemniej jest to pewne osiągnięcie historycznoliterackie i edytorskie z zakresu „emigracji”, toteż zasługuje na uwagę (i parę uwag krytycznych).

Rdzeniem pracy czyli wspomnianą relikwią jest tu fotograficzna reprodukcja (na str. 11-100) ocalonej przez poetę z tułaczki wojennej jego „Księgi Gości”, obecnie przechowywanej w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku. „Księga” rozpoczyna się w 1932 r. za czasów Lechoniowej świetności jako radcy Ambasady RP we Francji i jest kontynuowana – już w smutniejszych okolicznościach – w Brazylii i Ameryce aż po ostatnie miesiące przed jego dramatyczną śmiercią w czerwcu 1956. Zawiera więc prawie ćwierć wieku oprawy towarzyskiej jego życia – i 567 podpisów, często opatrzonych okolicznościowymi uwagami, choć przeważnie mało dowcipnymi (ogólna bolączka takich sztambuchowych improwizacji). Jak pisze we wstępie (str. 7) autorka opracowania (pracownik naukowy Instytutu Badań Literac-

1. „Księga Gości Jana Lechonia”, opracowała Beata Dorosz. ALGO, Toruń 1999; 200 str.

kich PAN w Warszawie, specjalizuje się w dokumentacji piśmiennictwa emigracyjnego i „podziemnego”:

„Z kart ‘Księgi’ wylania się ‘plejada gwiazd’ – różnej jednak wielkości. Największym blaskiem błyszczą m.in. nazwiska Boya, Szymanowskiego, Rubinsteina, Małcużyńskiego, Landowskiej, Lifara, Cocteau czy Valéry’ego – już wtedy powszechnie znane. Wśród nich pojawiają się postacie, których nazwiska dopiero z biegiem lat nabrały swoistego znaczenia, jak choćby Miłozza. Znaleźli się tu też i tacy, którzy zapisali się w pamięci tylko nielicznych znajomych i przyjaciół, a jednak wówczas były jakieś względy po temu, by byli życzliwie podejmowani przez poetę, który podsunął im swą ‘Księgę Gości’ do złożenia autografu. Uczestnik nowojorskich spotkań u Lechonia, prof. Jerzy Krzywicki wspomina bowiem, że zaszczytu tego dostępowali nie wszyscy goście i nie przy każdej okazji. Gospodarz ‘zapraszał’ do niej wybranych – według jemu tylko znanego klucza. W rezultacie w takim kształcie – jak dziś ją oglądamy – nie może ‘Księga Gości’ Lechonia odzwierciedlać pełnego obrazu jego kontaktów towarzyskich, bo wielu gości w niej nie ma. Byłaby to więc ‘Księga «niektórych» albo «co lepszych» Gości’ poety?”

Niewątpliwie – należy mieć bowiem nadzieję, że nie ma tam nazwiska osobnika, o którym w niedawno wydanych „Listach”² (cz. 2, str. 381: list z 9.08.56) wyczytać możemy następującą informację Mieroszewskiego: „Weintraub mówił mi (...), że Amerykanie odmówili Lechoniowi obywatelstwa amerykańskiego z powodu udowodnionego homoseksualizmu. Złożył na niego donos rodak, który najpierw Lechonia szatanizował, a nie mogąc nic już z niego wydusić, zrobił donos. W prawie amerykańskim jest to traktowane na równi z komunizmem. Lechoń (...) straszliwie się tym przejął i oświadczył, że nie pojedzie na [planowany w 1956 r.] Kongres [pisarzy emigracyjnych w Paryżu] na *travel document* – tym bardziej, że faceta na amerykańskim *travel document* oficer emigracyjny przy powrocie może nie wpuścić do Stanów. Takie wypadki się zdarzały. Wystarczy donos.” Kongres wprawdzie i tak nie doszedł do skutku, ale wydaje się, że ta administracyjna „infamia” była ostatnią kroplą, która przeważała szalę goryczy poety i skłoniła do skoku w nowojorską przepaść. Materiał do refleksji i zadumy... – szczególnie na tle *mutatio rerum* w

2. Jerzy Giedroyc, Juliusz Mieroszewski, „Listy 1949-1956”, (Archiwum Kultury 6), Czytelnik, Warszawa 1999

obyczajowości Ameryki, w której obecnie w pewnych kręgach (m.in. akademickich) niemal nie wypada *nie* być homoseksualistą (-tką).

Wracając do samej „Księgi” warto jeszcze oddać głos p. Beacie Dorosz (*ibid.*):

„Jeśli przyjrzeć się uważnie kolejnym stronom ‘Księgi Gości’, można wyraźnie zauważyć różne etapy życia poety. Wydaje się bowiem, że okres paryski to wspaniały czas, kiedy Lechoń – radca lub *attaché* kulturalny ambasady – snobował się na kontakty z francuską elitą artystyczną i intelektualną: niepoślednie osobowości, znakomite nazwiska... Epizod brazylijski – choć trwający niemal okrągły rok – to czas ‘prześciowy’, na którym nie odcisnęły swojego śladu żadne szczególnie ważne znajomości, bo goście Lechonia w Rio de Janeiro to przede wszystkim jego starzy (...) warszawscy przyjaciele i nowo poznani, chyba raczej przypadkowi przedstawiciele grupy polskich uchodźców. Okres nowojorski zaś ukazuje zamknięcie się poety w środowisku niemal wyłącznie polskim (spotykamy zaledwie kilka amerykańskich nazwisk), w kręgu najczęściej powtarzających się tych samych osób – jakby emigracyjne życie towarzyskie miało sens o tyle, o ile odtwarza dawne, przedwojenne wspomnienia, pozwala pokonać nostalgię za minionym czasem i utraconym krajem oraz żywić wspólną temu środowisku nadzieję na powrót do ojczyzny.”

Ostatnie zdanie tego fragmentu zawiera utrwalony już stereotyp (podszyty lekkim wyrzutem) „zamknięcia się w środowisku polskim” – tak, jakby emigracja była skądinąd wspaniałą okazją do „otwarcia się”, czyli zawierania ekscytujących nowych znajomości i trwałych przyjaźni, a olśnieni cudzoziemcy garnęli się ochoczo do wizyt u nieznanego w ich środowisku, niezamożnego i jak się zdaje kiepsko mówiącego po angielsku starego kawalera. Tak nie jest – dla inteligentów europejskich (zwłaszcza wschodnio-) emigracja jest zawsze i nieuchronnie swoistą deklasacją i „zapuszczaniem korzeni w płytszej glebie”, jak to dawno temu sformułował Orwell, obserwując (dobrowolnych!) angielskich *expatriates* we Francji. Lechoń miał w istocie dużo szczęścia w tej dziedzinie, gdyż ilość i jakość wiernych mu osób („choć Polaków”) w Nowym Jorku była imponująca i bez nich jego fatalny skok nastąpiłby zapewne dużo wcześniej.

„Jakości” osób występujących w „Księdze” poświęcona jest druga część pracy, pt. „Leksykon przyjaciół i znajomych” (str. 101-188), stanowiąca małą encyklopedię typu „Who is who”. Zawiera ona ok. 300 nazwisk (nie wszystkie podpisy bowiem udało się zidentyfikować – zarówno graficznie jak i w sensie „kto zaczął”) opatrzonych danymi biograficznymi, a niekiedy także fragmentami Dzienników Lechonia, o ile zachaczą o daną osobę. Jest to szczególnie cenna część książki, m.in. dlatego, że do pewnego stopnia zastępuje nieistniejącą jak dotąd monografię polskiego środowiska emigracyjnego w Nowym Jorku i okolicach.

Wspominałem na początku o ew. uwagach krytycznych. Dotyczą one – niezbyt licznych na szczęście – niestaranności typu redakcyjnego (tzn. wątpliwych tłumaczeń obcojęzycznych zwrotów) i edytorskich (czyli złej korekty). Czytelnikom tej recenzji muszę wyjaśnić, że obok każdej reprodukcowanej strony oryginału „księgi” na marginesach omawianej książki odtworzono w formie drukowanej imiona i nazwiska podpisanych (często niewyraźnie) gości oraz ich uwagi; przy tych ostatnich – o ile są w obcych językach – podane zostały ich polskie przekłady. Kilka z nich budzi zastrzeżenia; szczególnie jaskrawym błędem jest oddanie idiomatycznej angielskiej formuły życzeń urodzinowych *Many happy returns (of this day)* [czyli *ca. „Wielu szczęśliwych lat!”*] na str. 95 dosłownie, jako „Wielu szczęśliwych powrotów” – co w ówczesnej sytuacji Lechonia brzmi jak niewczesny żart. Złej korekcie przypisać należy mylne powtórzenie marginesu ze str. 67 na str. 66, na skutek czego kilka łątwo czytelnich nazwisk z tej strony (m. in. Hieronima i Barbary Morawskich) „wypadło” z opracowania (nie ma ich też w „Leksykonie”). Także i to, że znana i szanowana wśród nowojorskiej Polonii i wielokrotnie występująca w „Księdze” pani Felicja Krancowa została uwieczniona na str. 52 jako „Francowa”. *Non decet* — zwłaszcza w „pysznym graficznie” wydaniu albumowym i z autorytetem placówki naukowej w tle.

M. BRONSKI

O UFO, jedynym garnku i metafizyce pamięci

To znakomicie, że wreszcie, po tylu latach, wydana została ostatnia, nieukończona książka Marii Kureckiej, tłumaczki, poetki, eseistki, zmarłej w Berlinie w 1989 roku*. Dobrze, że książka ukazała się w gdańskim wydawnictwie – jak na dzieło dawnej gdańszczanki przystało, świetnie, że zdobią ją stare fotografie w urokliwej sepii. Tylko jaka szkoda, że opatrzone ją tytułem „Niedokończona gawęda”, tyleż mało mówiącym, co banalnym. Zgodnie z zamiarem autorki rzecz winna nosić tytuł „rozmyślnie barokowy” – „UFO czyli mój jedyny garnek”. Tu jednak trzeba już przystąpić do rzeczy, to znaczy do materii książki. A jest nią spotkanie z pewną niezwykłą biografią, spotkanie na rozległych, rządzących się swoimi prawami obszarach pamięci.

Maria Kurecka urodziła się w 1920 roku w Płocku, wczesne dzieciństwo i młodość spędziła w Gdańsku, wojnę – czy też znaczną jej część – przeżyła w Warszawie, niemal dziesięć lat mieszkała w Szczecinie, by powrócić znów do Warszawy, a w 1970 roku wraz z mężem, Witoldem Wirpszą, opuściła Polskę. Zahaczyła o Austrię i Szwajcarię, by na czas dłuższy i już do śmierci zarzucić kotwicę w Berlinie, podówczas Zachodnim. Wszystkie te miejsca zakreślają nie tylko geograficzny obszar jej życia, nadając mu charakter szczególnego pielgrzymowania, ale – o czym trzeba też pamiętać – są znakami rozmaitych, mniej lub bardziej świadomych wyborów, które złożyły się na pewien wzór losu.

Owe istic meandryczne sploty to wylaniają się, to giną w rytm snującej się opowieści. Niekiedy zacierają się w malowniczej gęstwinie detali, a miejscami widać je bardzo wyraźnie – wydobyte celową refleksją autorki. I oto docieramy do tytułowego UFO. Sięgając pamięcią do lat trzydziestych

* Maria Kurecka, „Niedokończona gawęda”, Tower Press, Gdańsk 2000.

Maria Kurecka napisała: „Czy to wtedy? Czy to się wtedy już zaczęło? (...) Wyjeżdżają. Niepostrzeżenie, zwolna jedynie narastając, zaczyna się ów *exodus*, wielka wędrówka ludów – któraż to już z kolei? (...) Kropelki to na razie tylko. Niepozorne odpryski. Stopniowo łączyć się zaczną w strumyczki i strumyki coraz większe, coraz żywiej płynące, niepostrzeżenie zamienią się w wielki potok, by z kolei groźnie już zahuczeć spienioną falą potężniejącej z każdym rokiem rzeki. Wędrować, przemieszczać się w najrozmaitszych kierunkach zaczną gęste masy ludzkie. (...) Tych pierwszych, osobiście niekiedy znanych, można było jeszcze nazwać i określić. Opisać ich wygląd, wiek, ubranie, stan rodzinny, zawód. Z biegiem lat zatarło się to wszystko, starło na niedające się zdefiniować drobiny, które z coraz większą szybkością przemieszczają się w czasach, miejscach, przestrzeni. UFO – *unidentinifed flying object* – jak do dzisiaj brzmi nazwa współserio tylko (...). Ale przypatrzmy im się uważnie. Przypatrzmy się – w lustrach – sobie. Pędzi świat i oni – niepostrzeżenie rozpędzeni – w nim coraz dalej się pchają. Ja / ty / on / my / wy / oni. Po cóż w niemałym trudzie szukać określić jeszcze bardziej dokładnych i ścisłych? UFO, UFO najzupełniej wystarczy”.

Kiedy los ten stał się udziałem Marii Kureckiej? Czy wówczas, kiedy we wrześniu 1939 roku wróciła do Gdańska z kanikuły w Karlsbadzie i przekonała się naocznie, że nie ma już domu, skonfiskowanego przez Niemców wraz z firmą ojca? A może nieco później, kiedy w 1940 roku jako obywatelka Rzeszy (taki prezent zrobił gdańszczanom Hitler zajmując miasto) udała się z Berlina do okupowanej Warszawy, by przeżyć tam resztę okupacji na nielegalnej polskiej kennkarcie? Czy też dopiero wtedy, kiedy opuściła na zawsze komunistyczną Polskę? W każdym razie los ten oznaczał wykorzenienie. Zapewne było ono niekiedy bolesne, bo wiązało się z wieloma pożegnaniami, rozstaniem, ale też i wyzwalało, pozwalało zrzucić okowy przywiązań i sentymentów, dawało swobodę bycia wszędzie u siebie w domu. Tak przynajmniej było w przypadku Marii Kureckiej.

I kto wie, być może nie mogłaby powstać ta piękna, niezwykła książka, gdyby u jej źródeł nie legło owo wykorzenienie, tak piętnujące życiowe wędrówki mieszkańców dwu-

dziestego wieku. Bo korzenie to „przywiązanie do ziemi”, do konkretnego miejsca, mającego swoją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, miejsca, które określa sposób widzenia własnego „tu i teraz”, miejsca, które może zawładnąć człowiekiem, ale które człowiek też chce mieć, posiadać, zawłaszczać, już choćby jako element własnej tożsamości – i wreszcie – które boi się utracić. Nie można natomiast utracić czegoś, czego się nie posiada, z czym się pożegnało. Taki jest właśnie świat przywołany przez Marię Kurecką – bezpowrotnie zaginiony, ale nieutracony. Nie ma on przyszłości, a jednak trwa, w czasie, w przestrzeni raczej metafizycznej niż historycznej, chociaż pełnej detalicznie przedstawionych realiów. A jeśli chodzi o tożsamość, to kwestią tą Maria Kurecka nie zaprzęta sobie właściwie głowy. I chociaż polityka zmusza ją do decydujących życiowych wyborów (wyjazd do Warszawy w 1940 roku czy emigracja do Berlina), nie uznaje potrzeby deklarowania czegokolwiek, jak gdyby kierując się przeczuciem, że sedno jednostkowej tożsamości wypływa z innych źródeł.

Dlatego też wspomnienia te dalekie są od zaklinalnia arkadii dzieciństwa czy sentymentalnego wywoływania duchów przeszłości. Próżno by szukać tu żalu za minionym, czy pragnienia cofnięcia czasu. Powstaje nieobjęta czasoprzestrzeń, gdzie wszystko dzieje się jednocześnie – mała dziewczynka z długimi warkoczami stoi przerażona w kącie dziedzińca klasztornej szkoły, gdańskie przekupki hałaśliwie zachwalają ryby na straganach, strzelają korki od szampa na początek roku 1939, a młoda dziewczyna w pantoflach na koturnach idzie ulicą okupowanej Warszawy.

Ten sposób obcowania z przeszłością przywodzi na myśl jedyną w swoim rodzaju autobiografię wielkiego Władimira Nabokowa, który podobnie bez żalu, a pełen niekłamanego zachwyty każe trwać minionemu światu. Łączy ich zresztą jeszcze jedno: wyostrzona do najdrobniejszych detali pamięć, przechowująca okruchy chwil i całą zmysłową poezję kształtów, barw, dźwięków, smaków i zapachów. To przez nie prześwituje metafizyka przeszłości.

Na początku był Gdańsk. Gdańsk przedwojenny, miasto szczególne poprzez jego status, który niejako sankcjonował ową naturalną mieszaninę języków, narodowości, obyczajów, kultur. Ale tę żywą przestrzeń tworzyła też niepowtarzalna

architektura, atmosfera miasta portowego, jego dynamizm. To niezwykle, acz obiektywne w swej istocie tło pojedynczej egzystencji dałoby się rozmaicie opowiedzieć. Maria Kurecka widzi je na swój sposób i tak też obrazuje – to ona stawia akcenty, szkicuje zarysy, wydobywa na powierzchnię pamięci błahe-niebłahe detale. I jak w dziecinnej zabawie zaczyna: „Na moje rozkazy: niech Miasto wstanie! (...) I wstaje Miasto, Wolne Miasto. W dostojności swojej gotyckiej i renesansowo-barokowym przepychu. W dźwięku dzwonów niezliczonych swoich kościołów i niepowtarzalnych zapachach słonej wody, smołowanych, słońcem nagranych desek, świeżo parzonej kawy i kwaśno dymiących cygar. W różnorodności kamiennych przedproży – sławetnych *belschlagów*, na które wspiąć się można po paru schodkach, zawsze zakończonych potężnymi kulami albo łbem jakiegoś potwora, do którego otwartej paszczy koniecznie trzeba wsunąć trochę drżącą ze strachu rękę. W złoceniach patrycjuszowskich kamienic i krętych, ciemnych zaułkach”.

Całą tę przestrzeń wypełnia życie. Miasto gra swoją muzykę: dzwonią dzwony, dzwonią tramwaje (kremowo-żółte), słychać „hurgocące koła wozów po kociołbiastym bruku”, wykrzykują, nawołują handlarze, każdy w swoim własnym, jedynym rytmie: *Kartoffel! Kohlen! Hering!* Te ostatnie – czyli po prostu śledzie – smaży się potem ostro na smalcu, w podwórkach roznosi się smakowity zapach a najlepsze są chrupkie śledziowe ogonki. Miasto żyje w rytmie czterech pór roku, znaczonej powtarzającymi się widokami w oknach wystawowych, zmienną aurą, oczekiwaniem na kolejne święta. W domu na „arcypolską wigilię” jest oczywiście „opłatek, a potem barszcz z uszkami, kapusta z grzybami, karp z wody, kluski z makiem i kompot z suszu. (...) Bakalie i nieuchronny makowiec też, oczywiście, były, ale na samym drzewku żadnych słodyczy nie wieszano i na tradycyjne obdzierane choinki znów trzeba się było wymykać do inaczej mówiących, inaczej świętujących i inne – choć też liczne – kolędy śpiewających sąsiadów. Godziła wszystkich dopiero ‘Stille Nacht’ czyli ‘Cicha noc’, która choć różnojęzyczne miała słowa – kołysankowo-ciepłą melodią ogarniała na równi każdego.”

Tu dotykamy jeszcze jednej osobliwości Miasta, tak znakomicie uchwyconej przez Marię Kurecką. Granice językowe

przebiegają przez podwórka, nie przeszkadzając bynajmniej w dziecięcych zabawach. Polskie legendy (też o Wandzie, co to nie chciała Niemca) i patriotyczne pieśni splatają się w dziecięcej świadomości w jedną całość z baśniami Grimmów. I właściwie nie ma znaczenia, że Baba Jaga to tak naprawdę *Frau Hölle*, a na piłkę można równie dobrze powiedzieć *Ball*.

Jest też oczywiście dom, wewnętrzna przestrzeń dzieciństwa, tkwiąca w zewnętrzności Miasta. Są więc pokoje wypełnione sprzętami, z których każdy stoi na swoim miejscu, ma swój kształt, kolor, swoje znaczenie i jest stałym znakiem najwcześniejszej dziecięcej topografii świata. Takie na przykład piece. „Białe, połyskliwe, o wielkich kwadratowych kaflach, piece, od których w mroczne jesienne i najciemniejsze zimowe ranki zaczynał się dzień, rozpoczynało się całe życie domu. Rozpalane troskliwie, karmione hurgocącym na szufli węglem, pieczołowicie zakręcane w trudnej do ścisłego ustalenia chwili, żeby dobrze trzymały ciepło. Świat od nich się właśnie codziennie na nowo zaczynał – od buzującego w ich wnętrzu ognia, a niekiedy od trwożnych obaw i narad, gdy – mimo wszystkich starań – zabuzować nie chciał, bo nie było cugu”.

Wrastamy w ten sposób w ów świat wsłuchując się w jego odgłosy, smaki, zapachy, czując pod palcami chłodny, gładki, szarzielony materiał, którym kryta była rozłożysta kanapa, wdychamy słone, nadmorskie powietrze. Obcujemy też z ludźmi świat ten zamieszkującymi. Oto rodzice: niegdysiejsza nauczycielka znad Wisły podążyła za swym młodym małżonkiem, „pruskim młodzieńcem”, wywiezionym z Priwislanskiego Kraju gdzieś daleko na wschód; po latach zesłania osiedlają się nad Bałtykiem, gdzie dorasta biała dziewczynka z warkoczami. Zresztą matka, promieniująca polskim patriotyzmem, bardzo wcześnie umiera, a ojciec ginie później w obozie, do którego trafia za swe propolskie sympatie.

Uprzedzamy kolejność wydarzeń, ale chronologia nie jest tu najważniejsza. Również sama autorka poddaje się raczej kapryśnym zakrętom pamięci niż dba o czasowe następstwo wydarzeń. Wie czy przeczuwa, że ów czytelnik wzór losu staje się widoczny dopiero wtedy, gdy nałożą się na siebie różne wydarzenia, a więc – poza czasem. Niemniej jednak Gdańsk

jest tu stale obecny, jak muzyczny temat (...), staje się rodzajem kosmicznej przestrzeni która przyjaźnie ogarnia wydarzenia, przedmioty, ludzi. Zatem w Mieście jest też prawdziwa kaszubska babcia, rozliczne służące, dzieciarnia z sąsiedztwa, a wśród niej czarnooki Fil, do którego przyjdzie jeszcze powrócić. Poznajemy Nelly, damę prowadzącą dom po śmierci matki i będącą przez czas jakiś towarzyszką życia ojca. Poruszamy się stale tropem dziewczynki z warkoczami. Ponura klasztorna szkoła z obowiązkowym francuskim, podwarszawskie gimnazjum sióstr Niepokalanek, wypadki do Warszawy, Berlina, wakacyjne podróże. Poznajemy dyskretny urok luksusu i niedolę wojennej tułaczki.

Wszystko to układa się w pasjonującą historię niezwykłego życia, choć przecież nie same koleje losu są tu najważniejsze. Bohaterka wszystkich tych wydarzeń nie stawia bowiem siebie na pierwszym planie, niekiedy nawet pisze o sobie jak o kimś trzecim, daje się poznać pośrednio – jako narrator opowieści, jako ktoś, kto pozwala mówić pamięci. Dystans i nierzadko ironiczny komentarz sprawiają, iż ta szczególnie autobiografia jest raczej odczytywaniem własnego losu niż zwykłą relacją z życia. Odczytywanie zaś losu to zawsze interpretacja, szukanie formuły, tworzenie określonej gatunkowo opowieści. Może z tego powstać dramat albo zbiór anegdotek, epos albo zwierzenia. Maria Kurecka postrzega swą przeszłość jak mozaikę, na którą składa się wiele drobnych kamyków o różnych barwach, kształcie i znaczeniu. W którymś miejscu zapisuje swoje młodzieńcze pragnienie, a może już upodobanie: „Włóczyć się, przemieszczać po różnych krajach i kątach, chłonąć, poznawać piękno świata, które – mimo wszystko – jest i patrzeć, patrzeć, patrzeć”. I przecież cała jej opowieść, niezależnie do nieuchronnego dramatyizmu, tragicznych przeżyć, rozczarowań i porażek wpisanych w los, jest namiętą, gorącą pochwałą tego zapamiętanego, przeżytego piękna.

„Gdzieżecie zeszyty nasze o śnieżnobiałym papierze, niepowrotne bruliony wspaniałe w połyskliwe czarnych, ceratowych okładkach z jaskrawocynobrowym brzegiem – dotychczas gładkość waszą i zapach czuję.” Takie krótkie nostalgiczne westchnięcie wywołuje z niebytu tamtą, postrzeganą sensualnie przestrzeń, która jest jednak czymś zasadniczo róż-

nym od prostego zbioru pięknych przedmiotów i poetyckich detali. Nieprzypadkowo jednak inwokacja ta zwraca się do zeszytów, na pozór tak mało znaczących detali przeszłości. Towarzyszyły one autorce od wczesnego dzieciństwa, to znaczy od momentu odkrycia materii słowa. A obcowanie z nim stało się z czasem prawdziwą pasją późniejszej tłumaczki. Zapewne, przyczyniło się do tego dwujęzyczne – w zupełnie naturalny sposób – dzieciństwo w Mieście, gdzie oba języki egzystowały obok siebie, na równych prawach. Potem, już w latach szkolnych, przyszła fascynacja łaciną, jej szczególną strukturą i rytmem. Wszystkie te jamby, trocheje, daktyle spłotyły się w muzyczno-językowej pamięci z polskimi rymami i rytмами (nieprzypadkowo debiut translatorski adeptki sztuki słowa, opublikowany zresztą w przedwojennym *Filomacie*, to polski przekład fragmentu „Eneidy” rymowanym trzynastozgłoskowcem). Była też oczywiście niemczyzna, wczesne lektury i późniejsze przekłady – Mann, Hesse, Broch. Wszystko to ukształtowało żywy język Marii Kureckiej. A jest w nim bezbłędne wyczucie rytmu, niezwykła lekkość w konstruowaniu piętrowych niekiedy zdań, wyrafinowanie stylistyczne. Język zdaje się być tu solą pamięci – bo to on pozwala zobaczyć na nowo to, co minione, w nim przechowały się pierwsze zdumienia światem, pierwsze próby dotarcia do spraw ważnych. Fascynujące są przywołane tu dziecięce zmagania się z językiem modlitwy, religijnych pieśni i patriotycznych wierszy. I wreszcie język – jak czuły instrument – rejestrował początki politycznego szaleństwa – narastający szowinizm niemiecki i pierwsze totalitarne zapędy nazistów, co autorka też odnotowuje.

W którymś miejscu opowieści czytelnik nieoczekiwanie natyka się na kilka linijek z innego czasu – jest to „teraz” osoby zapisującej przeszłość. Zgrzyt w dotychczasowym toku narracji? Tylko pozorny, potwierdza bowiem ową jednoczesność, w której spełnia się cała opowieść. Dramatyizmu tego drobnego zapisu nie da się jednak przeoczyć: „Od marca (maja) 1987 do sierpnia, kiedy mnie wreszcie ze szpitala wypuścili: wiem – chora jestem na raka – ale akurat tę książkę (okazuje się, że po tomiku wierszy wydanym w niezależnej Oficynie Literackiej) – tedy tę książkę moją – piątą – teraz dalej pisać muszę – i chyba – może – czego bardzo chcę – skończyć. Postaram się – nie

wiem. Może to jednak – jeszcze ciągle – potrzebne?” Na innym planie opowieści trwa wojna, a narratorka – już po aresztowaniu ojca – przebywa chwilowo w Lipsku. *Nota bene* te wojenne wspomnienia to druga, epistolograficzna – by tak rzec – część książki, urywająca się zresztą zniemacka. Trzeciej, zaplanowanej części już nie ma. Natomiast adresatem owego niedokończonego listu jest wspomniany już Fil, przyjaciel z dni dzieciństwa i późniejszy towarzysz życia Marii Kureckiej, a więc Witold Wirpsza, znakomity a nieco zapoznany, nieco niedoceniony poeta, zmarły zresztą kilka lat wcześniej. Miałby to być list w kosmos? I dlaczego list? Czytamy: „Pisać zaczynam tę oto część – na ile się da udokumentowaną i już wielokroć przez nas dyskutowaną – tak jak obiecałam: jak list z Polski do Ciebie, którego w niej wtedy nie było. I cóż, że go już nie przeczytasz? Obietnica nadal obowiązuje.”

Zasadniczym tematem listu jest więc okupacyjna Warszawa, do której Maria Kurecka dotarła po niemałych perypetiach. Potem musiała znaleźć dla siebie miejsce w tej nieznannej rzeczywistości z jej ponurymi regułami gry. Ale świadomie pomija ona tu całą heroiczną i martyrologiczną warstwę tego czasu, po stokroć opisaną, wyśpiewaną, zmitologizowaną. Bo było też inaczej. I snuje pełną detali opowieść o okupacyjnej codzienności, napiętnowanej zwyczajną biedą i stałym poczuciem zagrożenia. Ale była i moda, która kazała stroić się dziewczynom, były tajne komplety, ale i spotkania przy legendarnym, a lejącym się strumieniami bimbze. Bywali też „normalni” Niemcy.

W tym miejscu trzeba zresztą wykroczyć poza książkę. Witold Wirpsza spędził długich sześć lat w niewoli, w oflagu, jako jeńiec wojenny. Po wspólnym czasie dzieciństwa stracili się na długo z oczu, a odnaleźli przypadkowo, listownie, dopiero w roku 42. „Panno Marylko! (...) Zabrałem się do pisania tego listu z wielką dawką wzruszenia. Właściwie jest to proustowskie szukanie straconego czasu – niech mnie Pani tylko źle nie zrozumie: tu nie chodzi o rzeczy niezdecydowane, tu chodzi o poezję. Bo cóż to jest, co nas łączy? – poemat zanurzony w dziecinnej mgle”. Przechowane przez syna, Leszka Szarugę, nigdzie dotąd niepublikowane listy Wirpszy do „narzeczonej sprzed dwudziestu lat” są nieoczekiwanym,

lirycznym dopełnieniem opowieści. Wykraczają w niewiadomą jeszcze przyszłość, której echo nie zdążyło już zabrzmieć. Zatrzymajmy jednak na koniec raz jeszcze do Miasta, do kaszubskiej babci, która zapobiegliwa i zaradna często powtarzała: „Bym jeno miała garnek, jeden jedyny garnek, a wnetki rychtyg pełny bendzie”. Wspominając ów legendarny garnek, w którym zresztą babcia przechowywała oszczędności, Maria Kurecka cytuje też swego ojca. Kładąc jej rękę na głowie powiedział: „A wiesz co? Ty też masz tu taki właśnie garnek. Jedyny. Ładuj, pakuj do niego, ile tylko zdołasz. Bo pieniądze, ubrania, rzeczy różne – to jeszcze nic. Raz są, innym razem mogą ci je odebrać. A to, co tutaj schowasz, tego ci już nikt nie odbierze i przydać się może zawsze, póki żyjesz, a kto wie, czy nawet nie dłużej!” I autorka komentuje: „No i ten garnek – jako tako pojemny, jedyny – zdołał istotnie przetrwać różne przeciwności losów. Gdyby inaczej się stało – któż by dziś o nim napisał?” Dodajmy – nie mógłby też stać się intrygującym elementem tytułu tej wyjątkowej książki.

Ewa CZERWIAKOWSKA

„Wyspy cudownych przeobrażeń”

W „Bih me!”* Janina Kościółkowska zauważa, że „prawdziwą przyczyną pisania jest nieposkromiony apetyt na drugiego człowieka”. A mnie się zdawało, że to jest przyczyna czytania! Niewykluczone, że obydwu czynnościom przyświecają jednakowe przyczyny. W każdym razie utwory autorki

* Janina Kościółkowska, „Bih me!”, wstęp, opracowanie i przypisy Wacław Lewandowski, Warszawa, 2000, OPEN, str. 211, nota edytorska, seria EMIGRACJA.

wzbudzają niepohamowaną ciekawość jej osoby, której nie skąpi, co dowodzi szczodrości umysłu i serca. W umyśle dokonuje się bezustanne przetwarzanie przeszłości z uwzględnieniem zmiennej perspektywy czasowej i przestrzennej. „Bih me!” przedstawia się więc jako „Łódź bukowa” podjęta w innym miejscu i na innym etapie życia. Zamiast realiów londyńskich mamy realia lalouberskie, wysokopirenejskie, jakże pociągające swoją egzotyką, a przy tym bardzo swojskie. W obydwu utworach pojawiają się te same symbole, orzeł na przykład. W „Łodzi bukowej” autorką wstrząsnął orzeł zaprezentowany podczas jednej z patriotycznych uroczystości. Ociekał krwią. Efekt podobno był nadzwyczajny. Dla Kościalkowskiej ta upokarzająca forma kiczu wyznaczała linię między „człowiekiem wolnym, a człowiekiem pomniejszonym”. Orzeł w „Bih me!” nie jest męczeński, ponieważ odzyskaliśmy wolną ojczyznę, a towarzystwo podeszłych wiekiem emigrantów zastanawia się nad tym jak upamiętnić wkład Polaków w budowę Zjednoczonej Europy. Padają różne propozycje. Pomnik, stacja benzynowa, z rodzimymi atrakcjami (taki polski *theme park*) a „nad samą stacją orzeł z neonu, żeby się świecił w nocy.” Nie wiadomo która koncepcja zwyciężyła. Jako zdecydowana przeciwniczka wszelkiej pomnikomanii, mam nadzieję, że żadna i dlatego doskonale rozumiem ulgę autorki, która sięgnąwszy po białe wino pisze: „odetchnęłam. Ten biały orzeł w neonowym wydaniu, może w dodatku migotliwy, nie będzie mnie straszył po nocach”. Dwa orły, dwie kompletnie odmienne historyczne sytuacje, jakże celne charakterystyki mentalności Polaków i ile ironii. Z tym, że w przypadku „Bih me!” jest to ironia, jeśli tak można się wyrazić, dobrotliwa (w przeciwieństwie do gryzącej), zaistniała w sprzyjających okolicznościach, kiedy ludzie niegdyś „pomniejszeni” mają pełną świadomość, że najgorsze już minęło, choć przyszłość nie zapowiada się różowo. I bardzo się o nią martwią. Bardzo!

Pan Unde też się martwi, mimo że nie jest emigrantem. Ale to nasz stary znajomy (*unde malum?* skąd zło?), szatan, który w „Łodzi bukowej” kusił Kościalkowską, żeby napisać o nim. Widać nie opuściła go niezłomna wiara w jej talenty, bo w „Bih me!” znowu się zgłosił, tym razem ze skargą na sekte satanistów, która ubliża jego boskiemu pochodzeniu.

Autorka dyplomatycznie odsyła go do specjalisty od demonologii na uniwersytecie w Pau. Zastanawiająca jest jednak ciągła, ich bezustanna obecność pana Unde, ingerencja pozaludzkiej mocy aktywność w legendzie, w rzeczach, w krajobrazie. Kościalkowska zanurza się we własnej przeszłości, we wnętrzach szaf, w nieprzebranej obfitości strychów, w rupieciarni antykwariatów, w swoim i cudzym domostwie, wydobywając stamtąd, z istic prestidigitatorskim talentem, rozmaite obiekty i ludzi. Jej pojemna pamięć zatrzymuje m.in. osiemnastowieczny naszyjnik, który „zamykał mały, rzeczny żółw”, tacę od Stempowskiego, profesora Pigionia, znaczek z Zanzibarem i groźnych wilkołaków grasujących po Laloupere, bo tak nazywało się niegdyś Laloubere. Tych wilkołaków imaly się tylko naboje z wosku, które autorka znalazła kiedyś w sklepie ze starociami. Otóż nie jest jasne dlaczego nie zwykłe kule. Tłumacząc to sobie tak: nabój z wosku zaczynał topnieć w kudłach wilkołaka, który chcąc zrzucić dokuczliwy balast „zażmucał go” jeszcze bardziej, aż padał pokonany nieskutecznością swoich wysiłków. Jest to nader ryzykowna spekulacja, na dodatek zawstydzająco amatorska w świetle wzorów, które przywołuje Kościalkowska w „Bih me!” Nie mogę jednak, zachęcona darem gawędziarskim autorki, skłaniającym do dialogu, oprzeć się pokusie wtrącenia swoich trzech groszy.

Kościalkowska i opowiada, i jest bardzo ruchliwa. Odbywa bezustanną wędrówkę między Wysokimi Pirenejami a Wileńszczyzną i Lwowem. Te wyprawy zainspirowane zostały dwiema książkami Jarosława Marka Rymkiewicza: „Rozmowy polskie latem 1983” i „Żmut”. Słowo figurujące w tytule tej drugiej powieści „zabiło [ją] z zazdrości. (...) Zazdrość ta nie zmalala z czasem lecz wzrosła” – wyznaje, zawsze wyczulona na niuanse języka. Wraz z językiem z odległej epoki, do książki wkraczają Filomaci i przenoszą, z czynnym udziałem autorki, Wileńszczyznę do okolic, w których się znalazła. Akcja „Bih me!” toczy się w pensjonacie „Świtez”, którego właścicielka, pani Ada, gości Polaków, starych emigrantów, przybywających z różnych stron świata. Okolica obfituje w grzyby, jest jezioro, rodacy spędzają czas na długich rozmowach, a na samym końcu przygotowana zostaje uczta z okazji imienin Ady. Ozdobą tej uczty jest

prezent od jednego z pensjonariuszy - półmisek z figurkami. To wszystko jest tak znajome i tak zgrabnie wplecione w tekst, że zaciera się dystans czasu i przestrzeni. A że żaden raj nie może trwać wiecznie, więc nad pirenejską „Świtezianą”, podobnie jak nad Mickiewiczowską, wisi groźba utraty. Speculanci węszący nowe tereny, szpiegują idylliczną okolicę, gotowi słono zapłacić za jej posiadanie.

„Bih me!”, książka traktująca o niepokoju emigrantów o przyszłość Polaków i Polski, o spadek duchowy, który pozostawia, jest utkana z arcybogatej materii. Przyznam, że właśnie ta materia wydaje mi się najbardziej interesująca, bo sprawia że tekst wychodzi poza przygniatającą codzienność. Powieść, nie-powieść, pamiętnik, wyznanie, autobiografia, refleksje językowe, historia, obyczaj, trochę traktatu botanicznego – wszystko tam jest. O czymś się mówi, przerywa, wprowadza nowy wątek, który się rozgałęzia, umyka, powraca w innym układzie; coś jak echa, mgnienia, błyski, przybliżenia i oddalenia obrazów. Przeszłość wchodzi w terażniejszość za sprawą nagłych, niespodziewanych asocjacji. W tej książce jest niepomahowana chciwość świata (któż lepiej od Kościłkowskiej potrafi pisać o oknach!) i gotowość wchłonięcia jego osobliwości, co zaświadcza sam tytuł. *Bih me*, to jedyna w swoim rodzaju zbitka (i jak bliżej wyjaśniła mi sama autorka, poszerzając informacje podane w przypisie na str. 192) występująca na całym terenie Małopolski południowo-wschodniej. Nie przynależąc konkretnie do żadnego języka, używana była powszechnie przez kupców okrężnych, sprzedawców starej odzieży. Oznaczała tyle co „Jak Boga kocham”, „Bóg mi świadkiem”, czyli wyrażała gwarancję jakości dóbr. Musiała być niepodważalna, skoro krył się za nią najwyższy autorytet. Tak samo niepodważalne, mimo dokuczliwej codzienności, jest następujące zdanie: „Az wstyd rozprawić o czymkolwiek, wstyd i grzech świecki, kiedy wkoło tkwi świat, który jest chyba esencją tego, co czuć można do naszej planety ... Jej jedyność. Jej uśmiech.”

„Bih me!” dostarcza wiele radości wyływającej z uwypuklenia urody i nieprzeniknionej tajemnicy świata, w którym Polska zajmuje miejsce szczególne. Autorka wspomina pewnego cudzoziemca, który zetknąwszy się z Wilnem i Wileńszczyzną „mówił, że doznał dziwnego uczucia

znalezienia się w głębi leksykonu nieznanego a zrozumiałego języka, gdzie odczytywał nie poszczególne słowa, ale całe wyspy cudownych przeobrażeń”. Te wyspy wędrują wraz z twórczą wyobraźnią. Podczas wędrowki Polska przenika najodleglejsze obszary, rozprzestrzenia się, przekształca, rośnie, trwa!

Maja Elżbieta CYBULSKA

Z ukrainoznawczych nowości

Na rynku księgarskim pojawiła się kolejna praca ukrainoznawcza badacza młodszego pokolenia (kolejna, bo omawiałam już na tych łamach pracę Grzegorza Motyki „Tak było w Bieszczadach” i doskonałą wręcz książkę „Petlurowcy” Jacka Bruskiego). Chodzi o „Ukraińską ideę narodową okresu międzywojennego” autorstwa Tomasza Stryjka. Stryjek postawił sobie za zadanie przedstawienie myśli głównych ideologów ukraińskich pierwszych dziesięcioleci XX wieku. Do tego grona młody historyk zaliczył Wiaczesława Łypynskiego – głównego ukraińskiego myśliciela konserwatywnego, Dmytra Doncowa – jednego z głównych twórców doktryny nacjonalistycznej (nacjonalizmu integralnego), Olgerda Boczkowskiego – reprezentanta nurtu narodowego, Mykytę Szapowała – reprezentującego niekomunistyczną lewicę ukraińską i Mykołę Skrypnyka, jednego z głównych ideologów i decydentów sowieckiej Ukrainy.

Przy czym, badacz zastrzega, że pomiędzy Skrypnykiem a czterema pierwszymi istniała fundamentalna różnica. Mianowicie o ile dla Łypynskiego, Doncowa, Boczkowskiego i Szapowała Ukraina, ukraińskość były wartością samą w sobie (choć bardzo różne były ich teorie narodu), to dla Skrypnyka „rozumienie narodu było konsekwentnie podporządkowane dogmatom myśli marksistowsko-leninowskiej”. Naród był dla

niego pozostałością burżuazyjnej nadbudowy powstałej w epoce ucisku i zniewolenia, jego trwanie było ograniczone w czasie, bowiem historia zmierzała do ostatecznego zniesienia narodów. Naród jako forma przejściowa, był dla Skrypnika – stawia tezę Stryjek – jedynie narzędziem tworzenia nowej, nie mającej niczego wspólnego z narodem rzeczywistości. Pozostających, poza Skrypnikiem, myślicieli ukraińskich łączyło tak pojmowanie kultury ukraińskiej jako kultury etnicznej, chłopskiej i peryferyjnej (taki status ich zresztą zupełnie nie zadowalał) oraz fakt, że wszyscy oni pozostawali pod wpływem myśli zachodnioeuropejskiej. Przy czym w tym kontekście różne rzeczy były dla nich ważne. Na przykład Doncow widział w Europie źródło siły duchowej, ekspansji na zewnątrz i pretendowania do dominacji ogólnoswiatowej. Punktem odniesienia i fascynacji były tworzące się właśnie w Europie ruchy faszystowskie. Dla Boczkowskiego zaś Europa była ostoją wartości humanistycznych, prawa do samostanowienia i ludzkiej solidarności. Stosunek do Zachodu był u ukraińskich myślicieli niekiedy paradoksalny. Wiaczesław Łypynskij wychowany w kulturze Zachodu (pochodził z polskiej rodziny szlacheckiej z Wołynia), był jednocześnie autorem koncepcji „trzech Rusi”, w której mieściło się poczucie dystansu wobec „demokratycznej” kultury Zachodu jak i dążenie do odgraniczenia się od „olchokratycznych” wpływów Wschodu.

Jednym z centralnych zagadnień dla wszystkich, z wyjątkiem Skrypnika, ideologów ukraińskich była kwestia własnej państwowości. Różne były strategie dowodzenia prawa i konieczności posiadania przez Ukraińców własnego państwa, w każdym zaś przypadku dochodzili oni do problemu historyczności czy niehistoryczności narodu ukraińskiego. W ostateczności też wszyscy oni próbowali przeprowadzić swego rodzaju rekonstrukcję historii Ukrainy. Przy czym różnili się w wyborze grup społecznych, które uważali za podmiot decydujący w jej historii (Łypynskij wybrał szlachtę, Doncow – chłopstwo, Boczkowskij – inteligencję i chłopstwo, Szapował – chłopstwo i proletariat). Różne też projektowali drogi, mające doprowadzić Ukraińców do własnej państwowości i równoprawnego bytu we wspólnocie europejskiej. Łypynskij proponował monarchię konstytucyjną. Doncow faszyzm, który wedle niego był „ideologią niezbędną Ukrainie do obrony przed żydofilstwem, socjalizmem i masonerią (...) ożywym odrodzeniem myśli

narodowej realizującym się poprzez umiejętność kreacji ideału przyszłości”. Skrypnik socjalistyczne państwo rad, które przejściowo będzie „ukraińskie w języku a proletariackie w treści”, a w którym ostatecznie narody przestaną istnieć.

„Ukraińska idea narodowa okresu międzywojennego” Tomasza Stryjka jest pierwszą pracą poświęconą ukraińskim ideologom narodowym, jaka ukazała się w Polsce (dodajmy, że podobnej pracy nie ma jeszcze na Ukrainie) i już z tej racji godna jest polecenia. Nie oznacza to, że nie można jej poczynić pewnych zarzutów. Najpoważniejszy, to dobór postaci ukraińskich ideologów, które autor postanowił przybliżyć polskiemu czytelnikowi. Obok postaci centralnych dla ukraińskiej myśli narodowej pierwszych dziesięcioleci XX wieku (Łypynskij, Doncow, Skrypnik) znalazły się także, których wpływ na kształt tej myśli, nawet w momencie kiedy tworzyli swoje koncepcje, był niewielki lub żaden, a dzisiaj jest zupełnie zapomniany. Innymi słowy, polski badacz dużo uwagi poświęcił na przedstawienie doktryn, które w przeszłości i dzisiaj nikogo poza najbardziej wytrwałymi historykami idei nie interesowały i nie interesują, to zaś musiało się odbyć kosztem prezentacji trzech centralnych postaci ukraińskiej myśli narodowej (Łypynskij, Doncow, Skrypnik). W efekcie może powstać z gruntu błędne wrażenie, że wpływ na kształtowanie się ukraińskiej myśli narodowej np. Doncowa i Boczkowskiego był porównywalny. Szkoda też, że przynajmniej prawem *post scriptum*, badacz nie zarysował recepcji przedwojennych koncepcji we współczesnej Ukrainie. Bo jednak jest pewnym fenomenem, że o ile intelektualnie przegrała koncepcja Skrypnika, to stosunkowo duże zainteresowanie budzi, nawet obecnie, myśl Łypynskiego (jego koncepcję narodu jako wspólnoty terytorialnej i koncepcję patriotyzmu terytorialnego lansowali na początku lat dziewięćdziesiątych liderzy ukraińskiego Ruchu) czy Doncowa (niedawno wyszła w Kijowie napisana z pozycji apologetycznych monografia poświęcona temu ideologowi, autorstwa Serhija Kwita). Pomimo tych zastrzeżeń i pewnego niedosytu, który pozostawia praca Tomasza Stryjka, jej pojawienie się jest istotnym wydarzeniem w polskich badaniach ukrajinoznawczych.

Na początku roku do księgarń trafił kolejny tom *Warszawskich Zeszytów Ukrajinoznawczych*. W tomie znalazł się pokaźny blok tekstów poświęconych ukraińskiej recepcji twór-

czości Adama Mickiewicza (zwracam szczególną uwagę na szkic Mykoły Ilnyckiego o zawiłym stosunku Iwana Franki do polskiego wieszca, co zaowocowało słynnym tekstem Franki „Poeta zdrady”). Obok mickiewiczianów polecam lekturę tekstu Andrzeja Stanisława Kowalczyka, poświęconego postaciom niezwykle zasłużonym dla dialogu polsko-ukraińskiego Stanisławowi i Jerzemu Stempowski; artykuł Jadwigi Sawickiej prezentujący poezję wybitnego poety ukraińskiego XX wieku – Jewhena Małaniuka; szkic poświęcony publicyście Iwana Kedryna Rudnickiego z *Biuletynu Polsko-Ukraińskiego* pióra Danuty Sosnowskiej. Tu autorce należą się odrębne podziękowania za przypomnienie tej jednej z najciekawszych postaci ukraińskiego życia publicznego okresu międzywojennego, sejmowego korespondenta największej gazety ukraińskiej w Polsce *Diło*, przekonanego demokrata i zwolennika normalizacji stosunków polsko-ukraińskich, który jednakże pod koniec lat 30-tych coraz bardziej tracił nadzieję, że taka normalizacja jest w ówczesnych warunkach możliwa, na koniec wreszcie autora jednych z najlepszych ukraińskich wspomnień jakie ukazały się po wojnie pt. „Żyttja – podiji – ljudy” (Nowy Jork 1976). Trudno wymienić wszystkich autorów omawianego numeru *Warszawskich Zeszytów Ukrainoznawczych*, więc poprzestanę na zasygnalizowaniu szkicu Doroty Hemi: „Pro-ukraińskie koncepcje Juliusza Mieroszewskiego”.

W ostatnim czasie dotarła do Warszawy najnowsza książka jednego z najciekawszych ukraińskich publicystów średniego pokolenia, Mykoły Riabczuka, pod znamienym tytułem „Wid Małorosji do Ukrainy” („Od Małorusi do Ukrainy”). „Wid Małorosji do Ukrainy” jest próbą wszechstronnego opisu ukraińskiej rzeczywistości. Główną tezę pracy Riabczuka jest konstatacja, iż współcześni Ukraińcy są *de facto* narodem postkolonialnym, a nawet, jak określa to sam autor, „niedonarodem”. Albowiem według kijowskiego publicyisty, proces kształtowania się nowoczesnego narodu ukraińskiego ciągle jeszcze trwa, a ukraińska tożsamość narodowa jest „religią mniejszości”; w którym większość społeczeństwa operuje nie tylko językiem kolonizatora (Rosjan) ale w gruncie rzeczy przyjęło rosyjski kod kulturowy i takiż zestaw stereotypów, w szczególności zaś stereotyp mniejszej wartości języka i kultury ukraińskiej. Według Riabczuka ten stan rzeczy praktycznie nie uległ zmianie w czasie ostatniej dekady już niepodległego

państwa ukraińskiego. I nie ulegnie zmianie bez aktywnej polityki państwa. Jeżeli proporcje między ludnością ukraińskojęzyczną (mniej więcej jedna trzecia Ukraińców) a rosyjskojęzyczną (około dwie trzecie) mają ulec zmianie na korzyść tej pierwszej, konieczna jest swoista akcja afirmacyjna języka i kultury ukraińskiej. Tyle tylko, że według ukraińskiego publicyisty, ukraińska klasa polityczna nie ma ochoty (oraz nie widzi swojego interesu) na tego typu działania.

Dla Mykoły Riabczuka najbardziej brzemiennym problemem, przed którym stoi Ukraina, jest Rosja. Wbrew pozorom nie chodzi tylko o Rosję jako największego sąsiada Ukrainy – była metropolię – który dysponuje szeregiem instrumentów, by wpływać na sytuację na Ukrainie (choćby instrumenty gospodarcze) – to według ukraińskiego publicyisty jest aspekt zewnętrzny rosyjskiego problemu. Ale jest też Rosja problemem wewnątrzukraińskim, a to poprzez wykształcenie się wśród pewnej, wcale niemałej części, ukraińskiego społeczeństwa „syndromu jasyru” czy wręcz „syndromu janczarów”. Bardzo skomplikowany stosunek Ukraińców do Rosji najlepiej też pokazuje jak wielkie wyzwania stoją przed ukraińskimi politykami. Jeżeli jest tak, dowodzi Riabczuk, że jedna część społeczeństwa postrzega w Rosji głównego sojusznika (23% respondentów), a inna uważa ją za główne zagrożenie (25% respondentów), to trudno wypracować spójną politykę bezpieczeństwa. Stąd według ukraińskiego publicyisty bierze się niekonsekwentna polityka kolejnych ekip rządzących: „Z jednej strony, Ukraina jest członkiem Wspólnoty Niepodległych Państw, z drugiej – na wszelkie sposoby odzęgnuje się od większości jej decyzji i unika uczestniczenia w jej strukturach. Z jednej strony, Ukraina flirtuje z NATO, z drugiej – stara się o dobre stosunki z Moskwą. Z jednej strony – deklaruje swoje dążenie do Europy, z drugiej – przypomina o wadze swoich związków ‘euroazjatyckich’”.

Pomimo, że diagnoza stanu ukraińskiego społeczeństwa i państwa przedstawiona przez Riabczuka jest bardzo surowa, to właściwie jest on optymistą. A źródłem tego optymizmu jest stan świadomości ukraińskich elit i tzw. przeciętnego obywatela: i tak europejską, obok narodowej, tożsamość deklaruje 52% ukraińskich elit (dla porównania, w Białorusi odsetek ten stanowi 28%, w Rosji 29%); za integracją z Unią Europejską opowiada się zaś 77% ukraińskich elit i ponad 50%

ukraińskiego społeczeństwa (w Rosji odpowiednio 26% i 20%, zaś w Białorusi 23% i 26%). I jest jeszcze jedno źródło do patrzenia z nadzieją na przyszłość Ukrainy, obok starych postkomunistycznych elit, które doskonale czują się w obecnej niedookreślonej sytuacji Ukrainy, w politykę i gospodarkę wchodzi młode pokolenie, bardziej dynamiczne, prorynkowe i proeuropejskie. „I choć – pisze Riabczuk – te nowe elity są oczywiście jeszcze słabe, to mają jednak szereg przewag nad poprzednikami (wiek, poziom wykształcenia, międzynarodowe poparcie, wewnętrzne tendencje rozwoju społeczeństwa), które z czasem mogą okazać się decydujące”.

Na koniec, krótka opowieść o nieoczekiwanej poincicie do historii sprzed lat. W 1959 roku nakładem Instytutu Literackiego wyszła w opracowaniu Jurija Ławrynenki antologia literatury ukraińskiej lat 20-tych i 30-tych „Rozstrzelane odrodzenie”. Tytuł antologii stał się wkrótce najpopularniejszym określeniem okresu odrodzenia kultury ukraińskiej, które dokonało się w pierwszych dekadach władzy sowieckiej na Ukrainie. 9 grudnia tego roku Jerzy Giedroyc pisał do Lewickiego: „Czy miał Pan jakieś nowe echa z Ukrainy? [na temat antologii]. Ja trochę egzemplarzy Ławrynenki wypchałem a teraz dostarczono dwa egzemplarze M[aksymowi] Rylskiemu jak był w Polsce. Wiem o doręczeniu, nie znam jeszcze szczegółów, jego reakcji etc.”. Dzięki ostatniemu za ubiegły rok numerowi charkowskiego pisma *Berezil*, wiemy już jak zareagował Rylski na antologię. A było to, jak referuje jedna z czytelniczek, tak: „jako członek delegacji pisarzy Rylski pojechał do Polski. Ktoś z polskich przyjaciół zaprosił go do siebie i między innymi zaproponował przejrzenie nowości wydawniczych, zaprowadził do sąsiedniego pokoju, a sam wyszedł przymknąwszy za sobą drzwi. Po pewnym czasie gospodarz wrócił. Rylski kartkował ‘Rozstrzelane odrodzenie’ i płakał”.

Bogumiła BERDYCHOWSKA

Tomasz Stryjek, „Ukraińska idea narodowa okresu międzywojennego. Analiza wybranych koncepcji”, Wrocław 2000.

Warszawskie Zeszyty Ukrainoznawcze nr 8/9 Warszawa 1999, red. Stefan Kozak, Mykoła Riabczuk, „Wid Małorosji do Ukrainy. Paradoxy zapizniťoho nacjetworennja”, Kyiw 2000.

Berezil nr 11/12 Charków 1999.

REPRESJONOWANI W ZSSR – IMIENNIE

Ciągle jeszcze tysiące ludzi w Polsce szuka informacji o bliskich zaginionych w ZSSR, a ci, którzy przeżyli – dokumentów potwierdzających pobyt. Do niedawna można było sądzić, że Sowietom udało się skutecznie zatrzeć większość śladów – tak jednak nie jest. Od 1988 roku powstaje „Indeks Represjonowanych” – imienny spis obywateli polskich prześladowanych w ZSSR. Ośrodek KARTA gromadzi w specjalnej bazie komputerowej wszelkie informacje; każdy z 640 tysięcy biogramów pochodzi z jednego źródła (jedna osoba może występować parokrotnie), także z archiwów posowieckich, co umożliwia w wielu przypadkach ostateczne zweryfikowanie danych. Do tej pory udało się jednoznacznie ustalić los 45 915 osób – w dziesięciu zestawieniach imiennych „Indeksu Represjonowanych”:

I Rozstrzelani w Katyniu (4410 osób) – jeńcy polscy z Kozielska zabici w kwietniu-maju 1940;

II Rozstrzelani w Charkowie (3739) – jeńcy polscy ze Starobielska zabici w kwietniu-maju 1940. Zawiera suplement – 240 osób, które zostały przewiezione do innych obozów i więzień, a zatem uniknęły egzekucji;

III Rozstrzelani w Twerze (6314) – jeńcy polscy z Ostaszkowa, głównie funkcjonariusze państwowi, zabici w kwietniu-maju 1940 w Twerze i pogrzebani w Miednoje;

IV Uwięzieni w Borowiczach (5795) – „internowani” w obozie jenieckim nr 270 w obwodzie nowgorodzkiem w latach 1944-49;

V Jeńcy w Griazowcu i Suzdalu (3640) – jeńcy wojenni z 1939 roku przetrzymywani w obozach sowieckich do sierpnia 1941;

VI Aresztowani w rejonie Lwowa i Drohobycza (5822) – aresztowani przez organa sowieckie między wrześniem 1939 a czerwcem 1941;

VII Uwięzieni w Stalinogorsku (6326) – aresztowani w latach 1944-45, „internowani” w obozie kontrolno-filtracyjnym nr 283 i jenieckim nr 388 w obwodzie moskiewskim;

VIII Uwięzieni w Donbasie i pod Saratowem (4782) – wywiezieni z Wilna w 1945 roku, „internowani” w obozach kontrolno-filtracyjnych nr 240 w Donbasie (Stalino) i nr 0321 pod Saratowem;

IX Jeńcy zmarli i zaginieni (1785) – jeńcy wojenni z 1939 roku zmarli w obozach jenieckich NKWD w latach 1939-41 oraz jeńcy „zaginieni” w czasie ewakuacji obozu lwowskiego latem 1941;

X Uwięzieni w łagrach w rejonie Workuty (4111) – aresztowani w latach 1939-44.

Wszystkie zestawienia dostępne są w wersji komputerowej i książkowej w Ośrodku KARTA; 02-536 Warszawa, ul. Narbutta 29, tel. 848-07-12, fax: 646-65-11, e-mail: ok@karta.org.pl

Nadestane nowości wydawnicze

- ABRAMOW-NEWERLY (Jarosław). *Nawiało nam burzę*. Str. 313. Twój Styl, Warszawa 2000.
- AMIEL (Irit). *Osmaleni*. Poślowie Michał Głowiński. Str. 108. Świat Literacki, Izabelin 1999.
- ANDRUCHOWYCZ (Jurij), STASIUK (Andrzej). *Moja Europa*. Dwa eseje o Europie zwanej Środkową. Str. 139. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2000.
- BANK (Melissa). *Poradnik wędkarsko-łowiecki dla dziewcząt*. Przełożył Tomasz Mirkowicz. Str. 243. Noir sur Blanc, Warszawa 2000.
- BIEREZIN (Jacek). *Linia życia*. Wybór poezji. Str. 130. Oficyna Literacka, Kraków 1999.
- BOBKOWSKI (Andrzej). *Wehmut? Wonach zum Teufel?* Tagebücher aus Frankreich. Band I 1940-41. Przekład z polskiego Martin Pollack. Str. 359. ROSPO Verlag, Hamburg 2000.
- DEDECIUS (Karl). *Panorama de la littérature polonaise du XXe siècle*. Poésie 1. Str. 941. Poésie 2: str. 906. Les Éditions Noir sur Blanc, Paris 2000.
- DEMI (Jakub). *Zapomniane światło*. Przełożył Andrzej Czcibor-Piotrowski. Str. 205. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2000.
- FEUERMAN (Eleasar J.). *Arka Noego*. Wybór esejów. Str. 145. Oficyna Bibliofilów, Łódź 2000.
- FRAJLICH (Anna). *W słońcu listopada*. Str. 84. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2000.
- Frontières et l'espace national en Europe du Centre-Est. Exemples*

de quatre pays : Biélorussie, Lituanie, Pologne et Ukraine. Red. Jerzy Kłoczowski, Piotr Plisiecki, Hubert Łaskiewicz. Str. 214. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 2000.

GROSS (Jan Tomasz). *Sąsiedzi*. Historia zagłady żydowskiego miasteczka. Str. 157. POGRA-NICZE, Sejny 2000.

Heinrich Böll – dokumentacja. Oprac. Krzysztof Okoński, Adriana Pilarska, Ewa Szczepańska. Str. 183. Nauczycielskie Kolegium Języków Obcych, Bydgoszcz 2000.

Jan Zachwatowicz. W stulecie urodzin. (Katalog wystawy). Str. 163. Zamek Królewski w Warszawie, 2000.

KERET (Etgár). *Gaza blues*. Przekład z hebrajskiego Agnieszka Maciejowska. Str. 126. Świat Literacki, Izabelin 2000.

KOLANKOWSKI (Jerzy). *Salomonowe portki*. Fraszki, aforyzmy, słówka. Str. 115. Mistar – Fundacja, Kraków-Jelenia Góra 2000.

KOPERSKI (Romuald). *Pojedynek z Syberią*. Str. 226. Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Leśnictwa i Drzewnictwa, Gdańsk 1999.

KURZAWA (Marian). *Kukła*. Str. 191. Wydawnictwo Nairam, Konin 2000.

KURZAWOWIE (Lidia i Eugeniusz). *Ogród sztuk*. Str. 90. Pracownia Wydawnicza AND, Zielona Góra 2000.

POLSKA I WCHODNI SĄSIEDZI

1.04.

Rozpoczęła działalność redakcja reaktywowanego *Przeglądu Historyczno-Wojskowego*, kwartalnika poświęconego polskiej powszechnej historii wojskowej. Ma on kontynuować tradycje założonego w dwudziestolecie międzywojennym przez gen. Juliana Stachewicza *Przeglądu Historyczno-Wojskowego*, jak i utworzonego w połowie lat 50-tych, staraniem gen. Kuropieski, *Wojskowego Przeglądu Historycznego*. Redaktorem naczelnym został ppłk dr Janusz Tomiło. Adres redakcji : ul. Ostrobramska 109, 04-041 Warszawa.

10.05.

Zakład Teorii Literatury Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Szczecińskiego zorganizował międzynarodową konferencję „Stanisław Lem – pisarz, myśliciel, człowiek” w ramach Deutsch-polnisches Literaturforum.

15.05.

Grażyna Staniszevska, przewodnicząca sejmowej komisji edukacji, podała, że obecnie około 5 tys. szkół w Polsce jest podłączonych do Internetu. Do końca września przybędzie kolejnych 2,5 tys. Pozostało jeszcze 25 tys. szkół do podłączenia. Największą przeszkodą są wysokie koszty dostępu do sieci. Większość szkół łączy się przez zwykłe linie telefoniczne, bo łączy stałe są za drogie. Telekomunikacja polska ofiarowała każdej szkole 30 godzin darmowego Internetu miesięcznie. Jest niezbędne, by dostęp do sieci dla szkół był bezpłatny.

27.05.

W dniach 25-27 maja w Witebsku odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa „Białorusko-rosyjsko-polskie językoznawstwo i literaturoznawstwo porównawcze”. W konferencji brali udział naukowcy z Białorusi, Ukrainy, Rosji, Litwy, Polski oraz Irlandii.

30.05.

W Związku Polaków na Litwie doszło do rozłamu. ZPL ma obecnie dwóch prezesów: Jana Sienkiewicza, który reprezentuje zdecydowaną większość oraz reprezentanta mniejszości Ryszarda Maciejka. ZPL liczy obecnie 10 tys. członków.

1.06.

Armia polska zostanie w ciągu najbliższych trzech lat zredukowana do 150 tys. żołnierzy. Stan obecny - 196 tys.

5.06.

Mirosław A. Supruniuk na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu obronił pracę doktorską na temat: „Kultura-kraj: pomoc paryskiego Instytutu Literackiego w latach 1946-1990. Koncepcje i realizacje”.

14.06.

Muzeum Narodowe we Wrocławiu przygotowuje wystawę „Panoramy Wojciecha Kossaka i Jana Styki”. Wystawa będzie trwać do 27-go sierpnia br. Na wystawie będą zaprezentowane ocalałe fragmenty panoram, m.in. słynna „Szarża Mameluków” – fragment z panoramy „Bitwa pod piramidami”, projekty do niezrealizowanej panoramy Kossaka „Samosierra”, rozmaite szkice rysunkowe i archiwalne fotografie. Przygotowane są specjalne fotograficzne kopie poszczególnych panoram, by widz mógł je obejrzeć tak, jak wyglądały pierwotnie.

30.06.

Białoruski periodyk *Czasopis*, wychodzący w Białymstoku, obchodzi 10-tą rocznicę istnienia. Redaktorem naczelnym jest Jerzy Chmielewski.

1.07.

Tadeusz Walczak ufundował nagrodę *Archiwum Emigracji* za pracę magisterską i doktorską na temat emigracji polskiej po 1939 r. Nagrody, w wysokości 1000 zł każda, przyznaje się za wybitną pracę magisterską i osobno za rozprawę doktorską obronioną w roku kalendarzowym. Nagrodę przyznaje się raz w roku, w maju. Jury nagrody stanowi komitet redakcyjny czasopisma *Archiwum Emigracji*. Opiekę nad nagrodą sprawuje honorowa kapituła w składzie: Maria Danilewicz Zielińska, Jan Kott, Stefania Kossowska, Danuta Mostwin, Olga Scherer. Niepublikowane prace magisterskie i rozprawy doktorskie w dwóch egzemplarzach mają prawo zgłaszać instytuty naukowe, promotorzy i recenzenci w terminie do 31 grudnia roku, w którym zostały obronione, na adres redakcji: *Archiwum Emigracji*, Biblioteka UMK, ul. Gagarina 13, 87-100 Toruń.

4.07.

Wbrew naszym obawom, premierzy Polski i Norwegii podpisali umowę o imporcie do Polski norweskiego gazu. Polska ma zakupować przez 5 lat 5 mld m³ gazu. Gazociąg zbudują Norwegowie.

20.07.

Ciągle trwają pertraktacje z Gazpromem w sprawie drugiej nitki gazociągu. Gazprom domaga się, by przechodziła przez Białoruś i południową Polskę na Słowację, omijając Ukrainę.

ZACHÓD

3.05.

Zmarł w Paryżu w wieku 84 lat brat Władysław Sznakiewicz (SChr). Pracował w Polskiej Misji Katolickiej we Francji od 1947 r. Był znany z wielkiej uczynności. Współpracował z *Kulturą*, której oddał wielkie usługi w czasie jej instalowania się we Francji.

26.05.

Magdalena Abakanowicz, najwybitniejsza polska rzeźbiarka, otrzymała tytuł doktora *honoris causa* sztuk pięknych nowojorskiego Pratt Institute. Ponadto 29-go maja rzeźbiarka została przyjęta przez prezydenta Republiki Niemiec w poczet członków Zakonu Zasłużonych dla Nauki i Sztuki.

29.05.

Zmarł w Wilnie w wieku 80 lat kardynał Vincentas Sladkeviczus. W okresie sowieckim był inicjatorem nielegalnej „Kroniki Kościoła katolickiego na Litwie”. W ostatnich latach był orędownikiem trzymywania się Kościoła z dala od polityki. α ONZ-owski administrator Kosowa, Bernard Kouchner, mianował p. Agnieszkę Klonowiecką-Milart drugim w prowincji sędzią międzynarodowym. Agnieszka Klonowiecka-Milart, sędzia Sądu Rejonowego w Lublinie, od października 1998 r. pracowała w misji Narodów Zjednoczonych w Bośni.

1.06.

Ukazało się sprawozdanie Aide a l'Église en Détresse z wykazem dotacji udzielonych w 1999 r. Pomocy udzielono 139 krajom. Podajemy wykaz krajów nas interesujących: Białoruś: 520.898 dolarów, Estonia : 47.508, Węgry: 1.039.677, Łotwa: 117.322, Litwa: 553.013, Polska: 3.780.251, Rosja katolicka: 1.549.332, Rosja prawosławna: 1.844.021, Słowacja: 1.669.812, Ukraina: 3.913.384.

13.06.

Dr Reda Griékaite otrzymała nagrodę Towarzystwa Polsko-Litewskiego w Paryżu za rok 1999 za pracę „Adam Mickiewicz – Teodor Narbutt. Trzy punkty styczności”, wyd. Metai. ■ W Instytucie Polskim w Paryżu we współpracy z Ambasadą Ukrainy odbyło się spotkanie z ukraińskim pisarzem Youriyem Androukhovytchem z udziałem prof. Daniela Beauvois i Andrzeja Seweryna z Comedie Française.

16.06.

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego i Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego odbył się pokaz filmu „Ogniem i mieczem” zrealizowanego przez Jerzego Hoffmana. Po pokazie odbyła się dyskusja nad filmem.

20.06.

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbył się wieczór poetycki poświęcony W. Szymborskiej, E. Lipskiej i H. Poświatowskiej.

26.06.

W Instytucie Polskim w Paryżu odbył się pierwszy wieczór litewski wypełniony koncertem w wykonaniu Ieva Panomariovaitė, Valdasa Kijauskasa, Beaty Kijauskienė. Na wieczór przybyli ambasador Litwy p. Asta Skaisgirytė-Liaučėkienė oraz ambasador Polski p. Stefan Meller.

30.06.

W Centre du Dialogue w Paryżu ks. Czesław Parzyszek, prowincjał księży pallotynów w Warszawie, oraz przewodniczący Konferencji Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich w Polsce, wygłosił odczyt „Książd Robak dzisiaj (zakon a życie)”. ■ Tradycyjny Zjazd Katolicki w Osny, corocznie organizowany przez księży pallotynów, odbył się w niedzielę 2-go lipca.

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Listy do Redakcji

Caen, 27 maja 2000 r.

Szanowna Redakcjo!

W artykule profesora Edwarda Możejki „Moskwa-Krym”. Wrażenia z podróży (II)” *Kultura* nr 5/632) znajduje się interesujący *passus* o rosyjskich intelektualistach polskiego pochodzenia. Wspomniany jest m.in. filozof Gutaw Szpet, któremu „Jurgis Baltrušaitis, ówczesny poseł Litwy w Moskwie, zapewniał (...) litewskie obywatelstwo i bezpieczny przejazd do Wilna. Szpet odmówił”. Chodzi oczywiście o przejazd do Kowna, ponieważ Wilno należało wtedy do Rzeczypospolitej Polskiej. *Nota bene* syn poety (tworzącego zarówno po rosyjsku jak i po litewsku) i dyplomaty Jurgisa Baltrušaitisa, również Jurgis (1903-1988), był wybitnym francuskim historykiem sztuki. Poczta litewska wydała ostatnio znaczek, na którym widnieją oblicza obu Jurgisów Baltrušaitisów.

Warto z tej okazji przypomnieć, że wybitnym Rosjanom polskiego pochodzenia Jan Ciechanowicz poświęcił cztery książki: „Twórcy cudzego świata” (Toronto 1996), „Na styku cywilizacji” (Wilno-Rzeszów 1997), „W bezkresach Eurazji” (Rzeszów 1997), „Z rodu polskiego” (Rzeszów 1998).

Z poważaniem

Tadeusz KOWZAN

Szczecin, 9 czerwca

Szanowna Redakcjo!

Chciałbym podzielić w całej rozciągłości diagnozy Pana L. Podkaminera co do polskiej gospodarki. Dowodem spełnienia w niedalekiej przyszłości jego prognóz, jest ucieczka z Rządu ekipy p. Balcerowicza, zaślepionego twórcy „niewidzialnej ręki rynku”. Jak wskazuje Pan, to nie deficyt jest groźny, ale zadłużenie.

Jak najbardziej wskazane jest ograniczenie importu, poprzez

opodatkowanie dóbr konsumpcyjnych luksusowych. Przecież w samych Stanach dobra luksusowe są obłożone wyższymi podatkami i nikt z tego powodu nie kwestionuje istniejącej tam gospodarki rynkowej. Również słuszna jest diagnoza co do cen surowców i towarów zaopatrzeniowych do dalszego przerobu. Jeszcze trochę takiej polityki w tym względzie i brak radykalnych zmian, a będziemy musieli je sprowadzać w całości z zagranicy.

Należy także podzielić Pana pogląd co do dochodów i wydatków dokonywanych przez obywateli o niższych dochodach. Już teraz, jako że mieszkam przy granicy z Niemcami, opłaca się kupować wiele towarów codziennego użytku za granicą. Wielu sprzedawców oferuje ich towar, nieraz jakościowo lepszy, za niższe pieniądze niż polski, w tym artykuły rolnicze.

Osobnego potraktowania wymaga sprawa Rady Polityki Pieniężnej. Jak najbardziej słuszna jest ocena tej instytucji przez Pana. Ja sam wzięłam kredyt na używany samochód w przeliczeniu markowym, gdyż stopy ustalone przez Radę powodują, iż nasz kredyt jest o 1/3 wyższy. Rozumiem wahania marki, jednak tak nie powinno być, gdzie różnica stóp procentowych wynosi jak 1 do 3.

Tak więc, o ile nie nastąpią szybkie i w pewnym sensie radykalne zmiany w podejściu do „niewidzialnej ręki rynku” jak zmiana kategorii myślenia przez sterowników polskiego życia gospodarczego, będzie nam bliżej do Meksyku niż Malezji.

Z pozdrowieniami

Grzegorz MIESZKAŁA

Paryż, 27 czerwca 2000 r.

Drogi Panie Redaktorze !

Mam nadzieję, że zechce Pan Redaktor list ten zamieścić w *Kulturze*.

Otóż, prof. dr Krzysztof Dybciak, w liście z 3 czerwca 1992 r., zwrócił się do mnie z prośbą o opracowanie kilku haseł do „Leksykonu kultury polskiej poza krajem od roku 1939” (w pierwszej wersji było „na obczyźnie”), który powstawał – jak pisał autor tego listu – „w ramach prac badawczych prowadzonych przez Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, kierowane przez prof. dr hab. Stefana Sawickiego”. Redaktorem nac. „Leksykonu” został prof. Dybciak a sekretarzem mgr Zdzisław Kudelski. Do 1995 r., w nawiązanej wówczas korespondencji, wymieniliśmy z prof. Dybciakiem kilkanaście listów.

Z zaproponowanych przeze mnie i aprobowanych przez prof.

Dybciaka haseł opracowałem następujące: Księgarnia Libella i Galeria Lambert w Paryżu, Oficyna Poetów i Malarzy w Londynie (OPiM), Towarzystwo Historyczno-Literackie i Biblioteka Polska w Paryżu. W liście z 27 marca 1995 r. pp. Krzysztof Dybciak i Zdzisław Kudelski, potwierdzając odbiór tych haseł m. in. pisali: „Teksty o Libelli i OPiM świetnie trafione objętościowo, natomiast wcześniejsze o Towarzystwie Historyczno-Literackim i Bibliotece Polskiej znacznie przekraczają objętość, jaką możemy poświęcić poszczególnym hasłom”. Prosimi przeto o skrócenie tego hasła, co też zrobiłem i wysłałem (listem poleconym) dnia 6 czerwca 1995 r.

Od tego czasu nie miałem żadnej wiadomości i sądziłem, że opracowanie innych haseł nie było wówczas aktualne. Byłem pewny, że po wyjściu z druku „Leksykonu” otrzymam egzemplarz. O jego publikacji dowiedziałem się dopiero z recenzji w prasie. Dnia 29 kwietnia 2000 napisałem przeto do prof. Dybciaka list z prośbą o egzemplarz „za ewentualnym zwrotem kosztów”. List ten wysłałem na jego adres w Warszawie, podany mi dawniej do korespondencji. Jednocześnie skierowałem podobny list do mgr. Kudelskiego na adres Towarzystwa Naukowego KUL w Lublinie, wydawcy „Leksykonu”. Do dzisiaj nie otrzymałem od żadnego z tych panów kilku chociażby słów; egzemplarza tej publikacji również nie. Z tego, co mogłem się na odległość dowiedzieć – hasła przeze mnie opracowane nie zostały w „Leksykonie” zamieszczone. Komentarze są chyba zbyt liczne. Warto jednak przypomnieć i podkreślić, że „Leksykon” został opracowany i wydany „w ramach prac prowadzonych przez Towarzystwo Naukowe KUL”.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tadeusz WYRWA

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Robert L., Polska: – Dziękujemy za profesjonalne potraktowanie naszych uwag o Pana twórczości. Niestety, kolejna porcja wierszy nie przekonuje o Pana artystycznych umiejętnościach. Najbardziej interesujący wydaje się początek wiersza rozpoczęty słowami „ulice czarne i puste...” – niestety, jego rozwinięcie jest przykładem braku językowej dyscypliny, podobnie jak dystych z utworu „Jakież to głupie i przewrotne”: „Miłość nie tłumaczy, a / tyle chciałbym wytłumaczyć”. A szkoda.

KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Goście Lechonia</i>	193
Ewa Czerwiakowska:	<i>O UFO, jedynym garnku i metafizyce</i>	197
Maja Elżbieta Cybulska:	<i>„Wyspy cudownych przeobrażeń”</i>	205
Bogumiła Berdychowska:	<i>Z ukraiноznawczych nowości</i>	209
—	<i>Represjonowani w ZSSR – imiennie</i>	215
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	216
—	●	
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	217
—	●	
T. Kowzan, G. Mieszkała,		
T. Wyrwa:	<i>Listy do Redakcji</i>	221
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	223

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3^{ème} trimestre 2000.

Akredytowany korespondent Kultury w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskiej obł.,

164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

**Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04**

Fax: 01-39-62-57-52

e-mail: kultura@club-internet.fr

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna

Ceny na rok 2000

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: « <i>Libreria Polaca</i> », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: <i>Księgarnia Polska</i> , 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: W. Luterek (adres w Szwecji). Konto w BG-Bank A/S nr1-687-7179	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: <i>Barbara Malak-Minkiewicz</i> , Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: <i>Księgarnia Polska</i> , E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: <i>Krystyna Krakowska</i> , 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; <i>Księgarnia Polska w Ottawie</i> , <i>Andrzej Lifsches</i> , 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; <i>Z. Micherdziński</i> , 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: <i>Kubon & Sagner</i> , Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; <i>Księgarnia Wawel</i> , Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: <i>Krystyna Wasung</i> , 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: <i>Wojciech Luterek</i> , Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: <i>Ada Dziewanowska</i> , 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; <i>St. Kwiatkowski</i> , 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; <i>POLONIA Bookstore</i> , 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; <i>Księgarnia Ludowa</i> , Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; <i>Szwede Slavic Books</i> , 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; <i>Księgarnia «Nowego Dziennika»</i> , 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: <i>Orbis Books (London) Ltd.</i> , 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: <i>Elżbieta Zahorska</i> , 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.

Przesyłka pojedynczego numeru – F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. 18-228-56 W020 (z Francji)
lub C.C.P. 18-228-38 B020 (z zagranicy)**

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSLAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 511 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO TRZYDZIESTY DRUGI

zawiera opracowania: A. Strońska: *Litwo, ojczyzno Wasza*; Grzegorz Mazur: *Kontakty polsko-jugosłowiańskie w czasie II wojny światowej*; *Jaka Polska? – Przestanie „Kultury”*; *Fragmenty wspomnień N.S. Chruszczowa*; R. Pichoja: *Dwie solidarności: socjalistyczna i polska*; J.J. Milewski: *Biuletyn historii pogranicza*; M.K. Dziewanowski: *Obraz pokolenia*; W. Sznarbachowski: *„Dzienniczek” błogosławionej Faustyny Kowalskiej*; M. Patelski: *Ochotnicy amerykańscy w wojnie polsko-bolszewickiej. Z działalności dyplomatycznej gen. Tadeusza Jordan Rozwadowskiego*; *Relacja Bogusława Miedzińskiego z wydarzeń majowych 1926 r.*; oraz obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 55 F